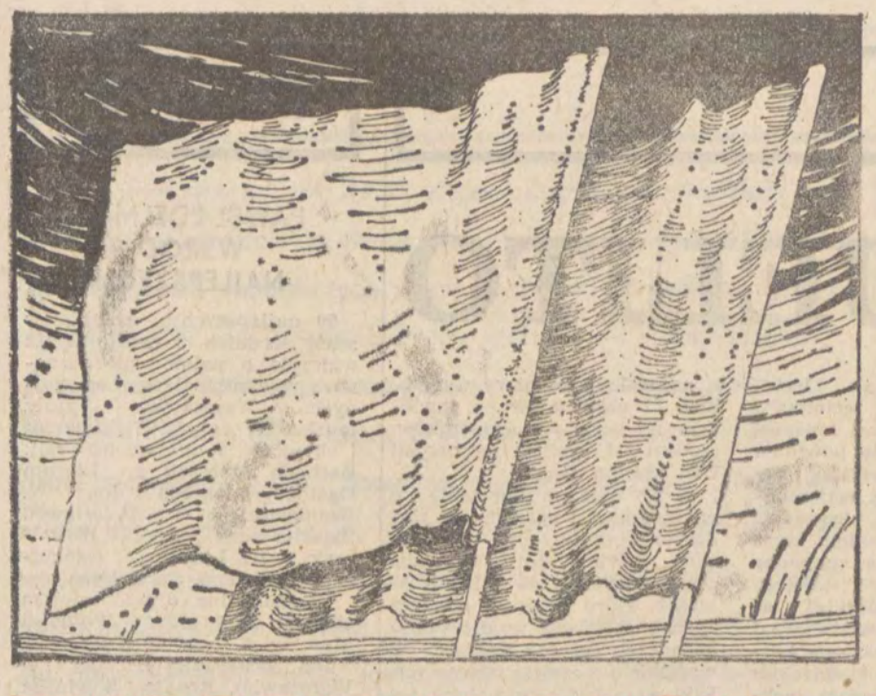

MIASTO

PRZEORANIE ŚRÓDMIEŚCIA

Andrzej Makowiecki

W świadomości ludzi i na przestrzeni ich krótkiego życia miasto jest tworem wiecznym i niezmiennym. Gdzieś tam rozrastają się peryferie, przybywają całe nowe dzielnice, ale centrum: ów trzon, serce i wizytówka każdej wielkiej aglomeracji — uparcie broni się przed zakusami urbanistów. Nieraz, niby ząb, usuwa się jakąś kamienicę i stawia strzelisty wieżowiec; nieraz znowu — coś jakby okresowa wymiana plomb i ściąganie kamienia — remontuje się stare budynki: wzmacnia stropy; maluje, szlifuje, tynkuje ściany; dokłada piętra, poszerza okna, wycina podcienia. Jest to wszystko, można powiedzieć, krzątanina gospodarska — troskliwa, ale pozbawiona inwencji i rozmachu.

Przeorać miasto, wtargnąć w sam jego pulsujący środek z buldożerami i koparkami — ooo!... tu już potrzebna jest odwaga. No i, oczywiście, środki, potężne środki, których przez dwadzieścia kilka lat po wojnie biedna Łódź nie mogła się jakoś doprosić.

Zatem centrum trwało sobie w swojej ciasnej, starej zabudowie. Kiedy stawiano pierwszy szesnastopiętrowy biurowiec na rogu Sienkiewicza i Głównej, była to gazetowa sensacja. Sensacją był wiadukt kolejowy na Chojnach, choć to przecież żadne śródmieście.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 18 (1012)
1 MAJA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

ROLNICTWO

SCHEDA DLA NAJMŁODSZEGO

RYSZARD BINKOWSKI

Dom jest nowy, wielopokojowy, dach ma spadzisty, z przodu ganek wsparty na kolumienkach. W środku czysto i biało, za białymi drzwiami obszernej kuchni siedzi w kąciku, ze zwieszoną głową, prababcia. Czarna chustka na głowie podkreśla zwiędłą żółć jej starczej twarzy.

1

— Oj, panie, żeby pan wiedział — mówi słabym głosem — **ile w tej gospodarce roboty. Ale ja już im nie pomogę. Z nóg całkiem siła wyleciała, ledwie ustoję, no i słabo widzę, na oczy mgła zaszła...**

Pochyla się w gorzkiej zadumie, milknie. Do kuchni wbiega młoda, przystojna blondynka o dużych, podłużnych niebieskich oczach. To młoda **Kłosowa, Jadwiga.**

— Pan chciałby z młodym czy ze starym? — pyta.

— Może być młodszy.

— To będzie. Bo teść akurat dziś wyjechał.

Prababcia ożywia się, poprawia chustkę pod brodą.

— Heniu to się dziś aż popłakał — mówi z żalem.

— Dlaczego?

— Ano, niech pan spojrzy przez okno, czy tam co stoi.

Za oknem stoi mały zielony „Ursus" z przyczepą wyładowaną buraczanymi wysadkami. To są zeszłoroczne buraki, puszczają zielonkawe pędy, jak się je zasadzi, będą nasiona.

— Miał sadzić sadzarką, ale do maszyny potrzeba trzech ludzi — wyjaśnia prababcia. — **Ale ludzie są teraz niesłowni, nie przyszli. A ja mu nic nie pomogę** — powtarza z żalem, jakby przygnębiona swoją

Dalszy ciąg na str. 5

PRZEMYSŁ

WCZEŚNIAK

JACEK INDELAK

Był piękny zdziczały ogród i stare zabudowania fabryczne. Tak stare i zmurszałe, że pewnego dnia dekarz, który naprawiał dach, przebił poszycie i strop, spadając na salę produkcyjną. Śmiechu było co niemiara, ale i nie mniej strachu, bo jakże to — ludzie tu pracują, a wszystko grozi zawaleniem.

250-osobowa załoga oddziału Zakładów Przemysłu Wełnianego im. Wiosny Ludów pracowała do ostatniej chwili. Do momentu, kiedy buldożery wgryzły się w walące mury, przewracać jęły ściany, wyrywać z korzeniami drzewa. Machali łopatami nie tylko saperzy, również i dyrektor, i księgowa, i pozostali pracownicy nie istniejącego jeszcze zakładu.

Minęło kilka lat. Nie ma już sadu i nie ma starej hali. Jest za to jedna z najnowocześniejszych w Europie fabryk włókienniczych.

Dalszy ciąg na str. 9

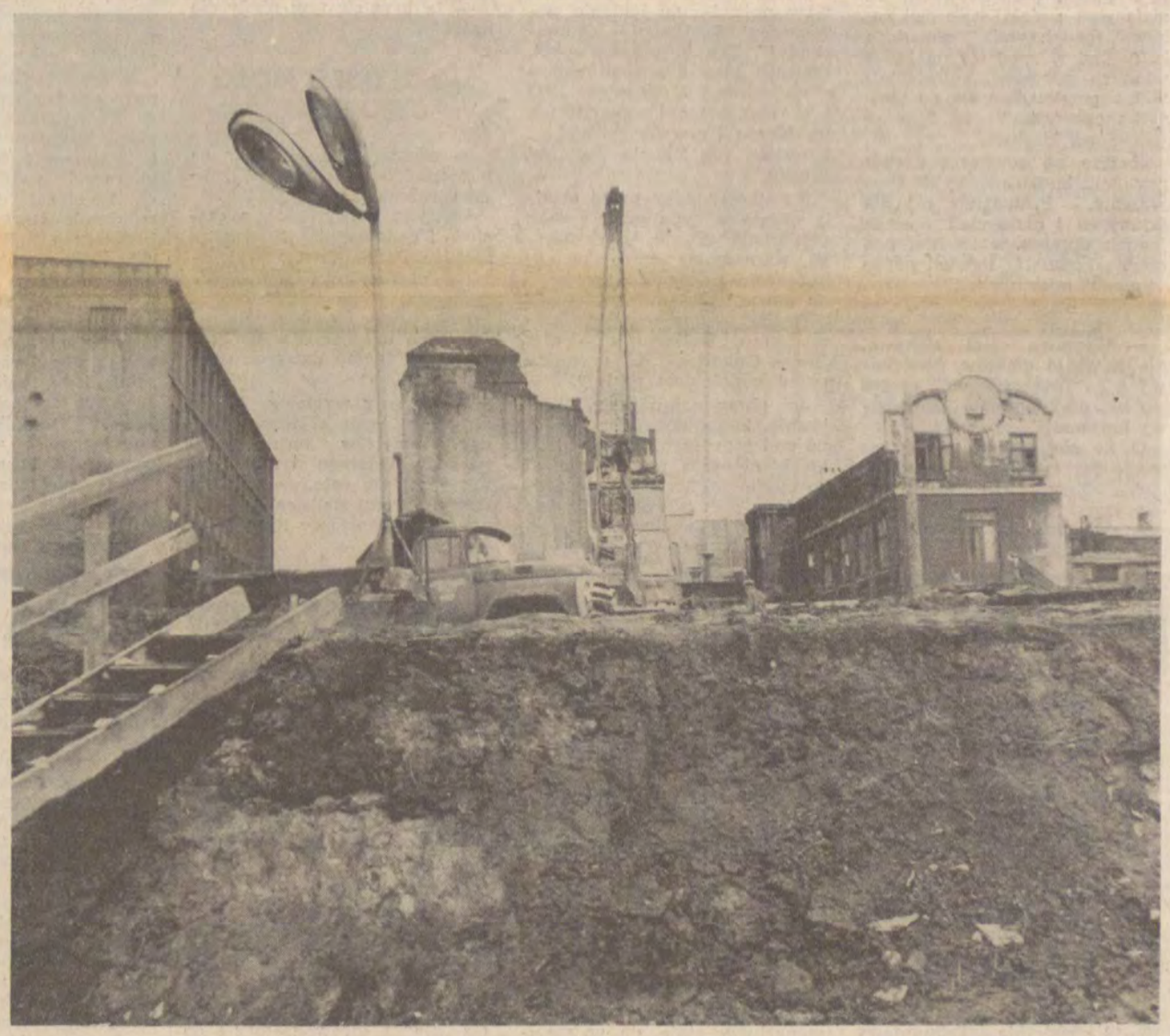

1

Inne wiadukty były już sensacją nieco mniejszą — zainteresowanie wzrosło dopiero w latach siedemdziesiątych, kiedy w wielu punktach śródmiejskich odbywały się kompleksowe wyburzenia i łódzkie city zaczęło piąć się w górę, oddychać, łapać wielkomiejską perspektywę, na co składały się zarówno poszerzone arterie (takie, jak Kopcińskiego — Promińskiego, Broniewskiego, Towarowa) jak i zbudowane od podstaw rejony centralne (Łódzka Ściana Wschodnia, okolice Dworca Fabrycznego, Piotrkowska pomiędzy Tuwima a Wigury, gdzie dwudziestopiętrowce wspaniale kontrastują z secesją oraz szereg innych, punktujących miasto budowli).

Łódź wysoka i rozgęszczona potrafi nieraz zaskoczyć, ba! zachwycić. Ten stary dom z kopułą róg Kościuszki i Andrzeja widziany — po gruntownych wyburzeniach — z przystanku tramwajowego przy ulicy Gdańskiej, nabiera nagle nieoczekiwanych blasków; cerkiewka przy Kilińskiego, oglądana z trzynastego piętra Hotelu Centrum, jest nową wartością estetyczną. Wiele jeszcze mógłbym podać takich przykładów, ale nie w tym rzecz...

Chodzi o to, że skoro już powiedziało się A, skoro już — wciąż te dentystyczne metafory — usunęło się część próchnicy, inna, odkryta przy okazji próchnica, zaczęła nieprzyjemnie kłuć w oczy i też domagać się usunięcia. Skoro poszerzyło się jedne ulice, inne ulice, a szczególnie ich przedłużenia w linii prostej, też zaczęły domagać się poszerzenia. Taka Armii Czerwonej... Od Widzewa do Towarowej auta suną jak po torze wyścigowym setką, a dalej — wpadając w wąską gardziel Głównej — poruszają się dwudziestką. W ogóle przecięcie miasta ze wschodu na zachód stało się problemem. W porach szczytu na Tuwima — Andrzeja i Narutowicza — Zielonej tworzą się prawdziwie paryskie, kilometrowe zatory, tramwaj linii 24 pokonuje 50-metrowy odcinek od Piotrkowskiej do Kościuszki w 10—15 minut. A samochodów przecież bez przerwy przybywa, niedługo rodzina bez syrenki czy fiacika będzie czymś zgoła nienormalnym...

Sądzę więc, że budowa łódzkiej Trasy W-Z — i to bez względu na wysokie, wciąż rosnące koszty — jest rzeczą niezbędną, najlogiczniej wynikającą z potrzeb. Tej właśnie trasie i jej budowniczym chcę poświęcić dalszą część reportażu.

2

Jest to bezwzględnie największa, komunalna inwestycja Łodzi wszechczasów. Nie trzeba być znawcą — nawet laik wyciągnie ten wniosek, kiedy stanie sobie nad wykorem przy rogu Żeromskiego — Mickiewicza i popatrzy w lewo i w prawo.

Prace przygotowawcze rozpoczęto w tym rejonie jesienia siedemdziesiątego czwartego roku i — jeśli mam być szczery — sam w owym czasie należałem do malkontentów. Bałem się o kilka domów przy Mickiewicza, która była ulica mojej młodości i sadziłem, że na zawsze zachowa swój wygląd... Bałem się także o inne obiekty... Przed kilkunastu laty były tam pomiędzy Żeromskiego a Wólczańską dwie prywatne knajpki z tarasami oraz jedna państwowa mordownia; był tam rzeźnik, grawer, szewc oraz — po obu stronach —

Dalszy ciąg na stronie 8

KORESPONDENCJA Z WARSZAWY

DNI RADZIECKIEJ NAUKI I TECHNIKI · PRL 1977

KOSMICZNE JELITO

Od miesiąca pod pępkiem Warszawy tkwi wielkie „kosmiczne jelito". Ów pępek — to oczywiście Pałac Kultury i Nauki. A „jelito" — wyższe od najwyższego drzewa na skwerze przed PKiN i dłuższe od najdłuższego istniejącego na tym świecie jelita — to około 100-metrowej długości oraz 30-metrowej wysokości pawilon wystawy „KOSMOS 77".

LUDZIE WALĄ...

Przez kilkudziesięciometrowe rękawy pawilonu — namiotu, przypominające jako żywo gigantyczne kiszki, co parę minut wsuwa się do wnętrza blisko setka osób. Podczas „szczytu", w ciągu godziny, wielkie jelito pochłania ich do 10 tysięcy. Ponieważ „szczyt" trwa właściwie nieprzerwanie, przez olbrzymi hangar przewija się dziennie bez mała 70 tysięcy zwiedzających!

Ale ekspozycja „KOSMOS 77", pierwsza tego typu w Polsce, jest tylko częścią wystawy osiągnięć radzieckiej nauki i techniki, zorganizowanej w kwietniu dla uczczenia 30-lecia współpracy naukowo-technicznej Polski i ZSRR równocześnie w Warszawie i Katowicach.

18 kwietnia, na półmetku, liczba gości na obu wystawach przekroczyła 1,5 miliona.

POD CZARNĄ KOPUŁĄ

Wprawdzie bodaj najdłuższa obecnie w Polsce kolejka sprawnie porusza się, pod czujnym okiem porządkowych, ku ziejącemu z dala otworowi rękawa (podobnymi, ale dużo krótszymi schodzi się na ląd z wielkich promów), zniecierpliwiony przekradam się do „kosmicznego jelita" od tyłu — wyjściową kiszką.

Jeszcze na zewnątrz kształt pawilonu budził niezwykłe skojarzenia. Prawdziwy raj dla fantastów i marzycieli czeka jednak dopiero w środku, pod czarną kopułą. Pewien napotkany tu miłośnik książek fantastyczno-naukowych powiedział mi tak:

— Wystawa jest ciekawa, ale za mało efektów dźwiękowych „z dreszczykiem", czegoś co by przypominało prawdziwy kosmos.

O ile się nie mylę, w kosmosie jest względnie ciemno i cicho. Tymczasem projektanci ekspozycji — inżynierowie z warszawskiego „Mostostalu" zapewnili stały, dyskretny dopływ „kosmicznych", „nieziemskich" efektów akustycznych. Zimne blaski reflektorów, zwielokrotniane w odbiciach od lśniących powierzchni metali, wraz ze szmerami i samymi eksponatami, które jak fantastyczne martwe owady górują nad tłumem, współtworzą tu nastrój niezwykły, odczłowieczony, groźny.

Ożywia on jednak wyobraźnię patrzących.

— Oglądając tę wystawę korzystaliśmy z prawa ludzkiej wyobraźni: przez kilka chwil czuliśmy się jak na prawdziwej wyprawie w kosmos — zwierzyli mi się szczerze zachwyceni chłopcy z „klubu astronomów" „Pluton".

Ktoś inny jednak uznał efekty za zbyt skromne:

— Mimo tej muzyki i odgłosów, człowiek nie odczuwa dreszczu podniecenia. Na kopule powinny być jakieś gwiazdy i podłoże bardziej księżycowe, np. kratery...

Przewodników zaś zasypywano wręcz pretensjami z powodu braku na wystawie... próbek księżycowego gruntu. Grubą warstwę pyłu księżycowego imituje więc nadwiślański piasek. Oto zbliża się pierwszy pojazd do badania powierzchni Księżyca — „Łunochod I". Ten kosmiczny robot, czerpiąc moc z energii słonecznej podczas 11 miesięcy 1970 i 71 roku, przebył ponad 10 km na Morzu Deszczów, pobrał i przesłał na Ziemię próbki gruntu.

Staruszek, który przed chwilą objaśniał wnukowi sposób pobierania gruntu księżycowego, wzrusza się słysząc na zakończenie pokazu przygotowań do startu statku kosmicznego „Wostok" — na makiecie kosmodromu „Bajkonur" — głos Jurija Gagarina na sekundy przed odpaleniem rakiety.

Jej obraz pojawia się na ekranie, łomot wypełnia „jelito" aż pod sam dach. Z łomotem i błyskiem ognia na ekranie i makiecie (tak!) miesza się podniesiony głos człowieka. Ludzie zastygają w napięciu. Ciarki przebiegają po plecach, kiedy stojący obok staruszek łapie mnie za rękę i histerycznym głosem krzyczy:

— Czy słyszy pan? To głos pierwszego człowieka w kosmosie!

Po skończonym pokazie ludzie niechętnie odrywają oczy od ruchomej makiety „Bajkonuru". Ustawiają się w kolejkach przed pasjonującymi eksponatami. Zaglądają przez okrągłe szyby do przedziału orbitalnego statku „Sojuz". Tu każdy może wyobrazić siebie na miejscu gumowych manekinów kosmonautów, stłoczonych w ciasnej kabinie. Do pustej komory mieszkalnej przez właz bezceremonialnie pchają się maluchy, gorliwie podsadzane przez równie podgorączkowane mamy. To zainteresowanie „sprawami socjalno-bytowymi" kosmonautów jest zrozumiałe.

Co się je w kosmosie, wyjaśnia gablota z próbkami wysokokalorycznego prowiantu radzieckich kosmonautów. Tuby z rosołem, twarogiem, konserwy i pączuszki pieczywa są tak zminiaturyzowane, że samą swoją wielkością niepokoją zwiedzających, którym przecież nie grozi na razie takie menu. Często słyszy się westchnienia:

— Ja bym się tym nigdy nie najadł.

„WIELKI JEST MÓZG CZŁOWIEKA..."

— zachwycił się ktoś w uniesieniu na widok tych „cudów techniki".

W gęsto zapisywanej, a często i ozdabianej rysunkami Księdze Pamiątkowej, wyłożonej w pawilonie „KOSMOS 77", znalazłem wiele autentycznych słów podziwu i uznania dla radzieckich uczonych, wiele serdecznych życzeń dalszych osiągnięć.

„Tego typu wystawy mogą służyć za wzór zbliżenia wiedzy i umysłów ludzi innych narodów. Odnoszę wrażenie, że udało mi się zobaczyć cząstkę duszy Narodu Radzieckiego" — napisał Konstanty Szerszunowicz.

„Wystawa wspaniała. Jesteśmy zaszokowani techniką", „Wystawa jest wprost fenomenalna. Uważam, że powinien ją obejrzeć cały świat", **„Pasjonujące, naprawdę pasjonujące! Opuszczam tę ekspozycję zachwycony i pochłonięty przez kosmos. Gratuluję sukcesów ludziom nauki ZSRR", „Osiągnięcia nauki radzieckiej są fascynujące. Podziwiam zapał i upór na drodze badania kosmosu", „Chwała Radzieckim Przyjaciołom. Wspaniała technika!"** — oto niektóre zapiski wybrane z Księgi.

A pewien student Politechniki Gdańskiej przyznał:

— Widzę tu dopiero siłę i potęgę Związku Radzieckiego. Taki stopień rozwoju technicznego może osiągnąć jedynie państwo wysoko rozwinięte. Wyrazy podziwu dla ludzi z Kraju Rad.

Wyrazy szczerego zachwytu płyną nie tylko od naukowców czy młodzieży technicznej.

„Po obejrzeniu fantastycznej wystawy wychodzimy pełni żalu i postaramy się wrócić tutaj, aby jeszcze raz przeżyć coś niepowtarzalnego" — napisali członkowie Kółka Teatralnego z Radomia.

OTRZEĆ SIĘ O KOSMOS...

Co jeszcze, oprócz już wspomnianych eksponatów, można zobaczyć w „kosmicznym jelicie" pośrodku Warszawy?

Wszystkie eksponaty ogromem przewyższa 22-metrowy model połączonych na orbicie stacji kosmicznych „Sojuz—4" i „Sojuz—5", zawieszony nad głowami zwiedzających. A oprócz niego: modele stacji miedzyplanetarnych pionierskio badających Księżyc („Łuna 16"!), Marsa i Wenus, stacje meteorologiczne typu „Prognoz" i „Meteor" do przewidywania pogody, sztuczne satelity Ziemi typu „Aureole" (wynik współpracy radziecko-francuskiej) i te, które wysyłano z Ziemi w ramach współpracy krajów socjalistycznych nad pokojowym wykorzystaniem przestrzeni kosmicznej (program pod nazwą „Interkosmos"), silnik rakiety i teleskopy radiokosmiczne...

— Główną zaletą wystawy są naturalne rozmiary wszystkich 27 eksponatów — powiedział mi jeden z przewodników, student IV roku astronomii UW Marian Gola.

— To daje wyobrażenie o wielkościach i sprawia, że złudzenie autentyczności jest tak silne. Wielu ludzi wychodzi przekonanych, że oglądali obiekty, które latały. A przecież aparaty wysłane w przestrzeń kosmiczną już nie wracają. Z wyjątkiem części załogowych. Taki prawdziwy, osmalony lądownik rakiety „Apollo" pokazano niedawno na Targach Poznańskich.

Ludzie na ogół mają słabe wyobrażenie o budowie rakiety. Tutaj, dzięki skali 1:1, różnorodności eksponatów i precyzji wykonania, uczą się technicznych konkretów. Szkoda tylko, że wystawa obejmuje eksponaty jedynie z lat 1969—1972. W tej dziedzinie postęp jest z roku na rok ogromny. Ale i tak ludzie skarżą się, że wystawa za duża.

Po „kosmicznym jelicie" oprowadza na dwie zmiany 9 przewodników. Co najmniej 20 razy w ciągu 4 godzin każdy z nich powtarza ten sam komentarz. Ich głosy pohukują, zlewają się w jeden, wraz z puszczanymi z magnetofonów głosami lektorów do filmu o „Łunochodzie" i przy makietach. Krótka wymiana słów z przewodnikiem przeciąga się w jego wykład. Po chwili jesteśmy otoczeni zbitą gromadą młodzieży, a i ci, którzy tylko przechodzą, chciwie nadstawiają uszu. Niestety, szybkie tempo zwiedzania nie sprzyja pogłębianiu wiedzy. Porządkowi poganiają. Wąż ludzki przed Pałacem Kultury i Nauki nie maleje, niecierpliwi się. Więc jedni obiecują rychły powrót na wystawę, a inni zapisują Księgę Pamiątkową prośbami i postulatami.

— Chcemy, aby takich wystaw było jak najwięcej...

Czy więc słowa jednej ze zwiedzających:

— Dzięki wystawie i ja otarłam się o kosmos...

— nie oddają zarazem najzwięźlej i najgłębiej pierwszego wrażenia wędrujących po „kosmicznym jelicie?".

TOMASZ SOLDENHOFF

INFORMACJE

PAWEŁ EDELMAN WŚRÓD NAJLEPSZYCH

90 najlepszych polonistów szkół średnich z całego kraju walczyło o palmę pierwszeństwa w eliminacjach centralnych w Warszawie. Tytuły laureatów zdobyło 17 dziewcząt i chłopców. I miejsce uzyskali: Barbada Marczuk z Liceum Ogólnokształcącego im. W. Broniewskiego w Bolesławcu Śląskim oraz Marek Kowalczyk z III Liceum Ogólnokształcącego w Szczecinie.

Równorzędne drugie miejsca zdobyło aż 6 osób: Wojciech Marchwica (I LO w Krakowie), Anna Nasiłowska (IV LO w Warszawie), Renata Sowińska (II LO w Tomaszowie Maz.), Leonard Cichos (LO w Rybniku), Małgorzata Sugiera (I LO w Siedlcach) i Paweł Edelman z XXIV Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi. Trzecią lokatę wywalczyło 5 osób.

Wszyscy zwycięzcy olimpiady mają zapewnione indeksy studenckie na filologię polską, kulturoznawstwo, bibliotekarstwo i filologie obce, pod warunkiem posiadania oceny bardzo dobrej na świadectwie maturalnym, z języka, który zamierzają studiować.

PLENER W FABRYCE

ZPB im. Obrońców Pokoju w Łodzi zorganizowały z okazji 150-lecia istnienia plener w fabryce, w którym uczestniczyło 11 artystów-plastyków. W jednej ze świetlic kombinatu otwarta została wystawa poplenerowa i odbyło się spotkanie twórców z włókniarzami. Podczas wernisażu malarze mówili o swojej pracy, a przedstawiciele załóg dzielili się wrażeniami odniesionymi w tym bezpośrednim spotkaniu z twórczością plastyczną przedstawiającą wartości artystyczne i dokumentacyjne. Tematyką eksponowanych prac są bowiem ludzie, którzy w fabryce pracują i weterani pracy oraz dzień dzisiejszy, kiedy to zakład zmienia szybko oblicze w wyniku modernizacji.

„ŁEZTERN" SPODOBAŁ SIĘ ŁODZIANOM

Teatr Polski z Bielska gościnnie bawiący w Łodzi zaprezentował popularną komedię R. Gorzelskiego i F. Erola (z muzyką P. Hertla) pt. „ŁEZTERN" w reżyserii W. Wilhelma. Tym razem ta inscenizacja znacznie różniła się od znanej łodzianom sztuki naszych autorów, a wystawianej przed laty na scenie Teatru „7,15". Reżyser bowiem podyktował zespołowi ostre tempo, skomplikował sceny bójek czyniąc z nich w wielu wypadkach układy niemal akrobatyczne, co licznej widowni przypadło do gustu. Na wszystkich przedstawieniach był komplet widzów. Były nawet próby handlowania biletami „po cenie" przez „koniki". Publiczność nie szczędziła braw aktorom. Wniosek z tego prosty: jeśli jest się z czego śmiać — my chętnie się śmiejemy. A jak wiadomo, nasze teatry pod tym względem zbytnio nas nie rozpieszczają. A szkoda...

„VENUS 77" W KRAKOWIE

Na początku maja otwarta zostanie w Krakowie pierwsza część pokonkursowej wystawy VIII Międzynarodowego Salonu Fotograficznego — akt i portret kobiety „Venus 77". Międzynarodowe jury dokonało przeglądu i kwalifikacji nadesłanych na wystawę prac.

Zdaniem jednego z dwóch przewodniczących jury — członka dyrektoriatu Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (FIAP), profesora Instytutu Fotograficznego w Bukareszcie — Sylviu Comanescu, tegoroczna wystawa „Venus" będzie szczególnie znacząca. Pomijając, że jest to jedyny salon o tak szerokim zasięgu na świecie: w bież. roku nadesłano ok. 4500 prac z 45 krajów i że dotychczas najlepsze prace były czarno-białe, na „Venus 77" znajdzie się wyjątkowo dużo prac kolorowych.

9 ŁÓDZKA WIOSNA ARTYSTYCZNA

SCENARIUSZ— TEORIA I PRAKTYKA

Jedną z pierwszych imprez należących do programu IX Łódzkiej Wiosny Artystycznej była sesja „Warsztat scenarzysty filmowego" zorganizowana przez Łódzki Dom Kultury 18—19 kwietnia. Dwudniowy program sesji przewidywał zarówno referaty dotyczące problemów scenariopisarstwa filmowego ujmowanego pod kątem jego miejsca w procesie produkcji filmów oraz w aspekcie teoretycznym, jak i dyskusje dotyczące tych zagadnień. Poglądy, jakie ujawnione zostały podczas sesji przekonują jasno, że problem scenariuszy należy do wyjątkowo skomplikowanych. Powstają filmy, twórcy zdobywają za nie nagrody, sytuacja filmu polskiego jest obecnie na pewno lepsza niż było to przed paroma laty — z drugiej zaś strony podczas dyskusji padały zdania, których autorzy wyrażali wątpliwość, czy analiza problematyki scenariuszy nie jest mówieniem o czymś, czego nie ma.

Tezy te znalazły się również w referacie **Jerzego Niecikowskiego** „Analiza polskiego scenariopisarstwa" który stwierdzając, że kwestia scenariuszy jest bardziej zagmatwana niż problemy całej kinematografii, przeprowadził rozumowanie wiodące do stwierdzenia, że obecna forma oceny i rozliczania scenariuszy staje się w rezultacie sankcjonowaniem chałtury. Zdaniem Niecikowskiego nie ma w Polsce scenariopisarstwa, a jedynie można mówić o zjawisku „serializmu telewizyjnego". Brak scenarzystów i scenariuszy doprowadził do sytuacji, w której scenarzystą może zostać każdy. Zarazem jednak problem scenariuszy nie jest kwestią istotną dla kinematografii najwyższego lotu. Ale kiedy oczekujemy nie tylko indywidualności w filmie, lecz także przeciętnej produkcji o istotnym znaczeniu społecznym, wówczas jest to sprawa ważna. Jej rozwiązanie wymaga daleko idących zmian i to nie tylko na poziomie oczekiwań zgłaszanych przez politykę kulturalną. Wydaje się jednak, że również oczekiwania odbiorców — uformowane przez średnią produkcję filmową — nie byłyby w stanie spełniać swojej roli. Przekonała o tym dyskusja o scenariuszu oparta na konkretnym materiale filmowym — „Sam na sam" Andrzeja Kostenki. Spotkanie to przerodziło się niestety szybko w dość luźno związany z tematem spór o to, czy film był „dobry" czy też „zły" i sprowadzało się do wyrażania przez dyskutantów poglądów na temat tego, komu się on podobał, a komu nie. W trakcie dyskusji popołudniowej słusznie zauważono, że przyczyną takiego stanu rzeczy stało się uniemożliwienie uczestnikom sesji dostępu do scenariusza filmu, w związku z czym mówiono nie o scenariuszu, ale o filmie. Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Dyskusja wykazała bowiem zbyt małą zdolność widzów do postawienia problemu scenariusza nie tylko na płaszczyźnie jego konstrukcji, ale także jej efektów w planie interpretacji.

Największe kontrowersje wywołał referat **Grzegorza Królikiewicza** „Warsztat scenarzysty filmowego". Królikiewicz zanegował konieczność istnienia scenariusza, widząc w nim obciążenie motywowane poglądami o przyliterackości filmu. Jego zdaniem akcja, literackość filmu — podobnie jak brak dźwięku w filmie lub posługiwanie się ujęciami, są zjawiskami zupełnie przypadkowymi i zagrażającymi obecnie autonomiczności sztuki filmowej. Nie ma scenariusza. Jest idea dzieła i szczegółowe rozwiązania formalne i techniczne. Koncepcja przyliterackości filmu jest szkodliwa: powoduje możliwość rozliczania tworu, który filmem nie jest — i to przed powstaniem filmu oraz zamiast filmu. Głosy opozycyjne w trakcie dyskusji podważały przede wszystkim konieczność stosowania rozróżnień polegających na przyjmowaniu w filmie jedynie tego, co specyficznie filmowe.

Walka o czystość sztuk jest sztuczna i nieumotywowana. Awangarda, to mówienie prawdy. Można by dodać jeszcze jedną wątpliwość: co innego jest protestować przeciwko scenariuszowi, jako przedmiotowi analizy ideologicznej filmu, który jeszcze nie powstał, a co innego podważać jego istnienie. Przecież przed rozwiązaniami technicznymi w filmie pojawia się wcześniej jego wizja, która musi istnieć w postaci werbalnej, a rzeczą prawie obojętną jest to, czy ją zapisujemy, czy jedynie myślimy.

Przy końcu dyskusji konsternację spowodowała wiadomość, że na sesję przybył tylko jeden scenarzysta, co pozornie udowadniałoby pogląd na nie istnienie u nas tego zawodu. Faktem jest, że nie ma „szkoły scenarzystów", co potwierdza treść referatu Ireny Bołtuć, która przedstawiła nie najlepszą sytuację nauczania scenariopisarstwa studentów w PWSFTviT. Ci, którzy zajmowali się kiedyś pisaniem scenariuszy, obecnie zaczęli także sami robić filmy (i to najczęściej nie dorównujące ich poprzednim dokonaniom), lub w ogóle przestali interesować się ich pisaniem. Pojawiająca się parokrotnie propozycja podniesienia stawek autorskich dla scenarzystów, jest w gruncie rzeczy nawoływaniem do podjęcia broni obosiecznej. Z jednej strony skierowuje się przeciw chałturze pisarskiej poprzez zainteresowanie scenariopisarstwem tych, którzy mają w tej dziedzinie coś istotnego do powiedzenia z drugiej zaś strony zmiany finansowe zachęca prawdopodobnie w nie mniejszym stopniu grafomanów. A przecież ich zawsze jest więcej, co rozpatrując w kontekście planowanego rozwoju kinematografii (ponad 40 filmów rocznie) staje się faktem jeszcze bardziej niebezpiecznym niż jest to obecnie. Pozostaje więc sytuacja, od dłuższego już czasu charakterystyczna, o której mówił Kazimierz Kutz: korzystanie z dorobku literatury w postaci przeróbek dokonywanych na użytek filmu. Ale jasne jest, że na tej podstawie trudno opierać rozwój polskiego kina.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

1 MAJA

Jednolitofrontowy rok 1936 utwierdził przekonania klasy robotniczej o korzyściach płynących ze zjednoczonego działania. Spośród partii robotniczych wagę problemu doceniała przede wszystkim KPP. Jej strategia frontu jednolitego i antyfaszystowskiego frontu ludowego wzbogacona została nowymi elementami. Na V Plenum KC w lutym 1937 roku partia zatwierdziła program szerokiego frontu demokratycznego, którego podstawą miało być – podobnie jak przy programie frontu ludowego – wspólne działanie klasy robotniczej. Do najważniejszych zadań, które realizować miał front demokratyczny, KPP zaliczała obronę niepodległości Polski zagrożonej przez hitleryzm, walkę o pokój, oparcie polityki zagranicznej o system bezpieczeństwa zbiorowego, obalenie panowania sanacji i powołanie rządu demokratycznego.

Reakcja władz sanacyjnych przeciwko solidarności ludzi pracy łączyła się z konkretnymi posunięciami politycznymi. W lutym 1937 roku powstał Obóz Zjednoczenia Narodowego. Miał on spełnić — jak to przewidywali jego założyciele — rolę narzędzia oddziaływającego na świadomość społeczną i skupiającego naród wokół programu sanacji. Obok ONZ przejawiało też aktywność endeckie Stronnictwo Narodowe. Zwalczało ono, podobnie jak sanacja, ruch robotniczy, postępowych działaczy społecznych. Oba ugrupowania, mimo że SN należało oficjalnie do opozycji, wykazywały inklinację w kierunku dyktatury jednostki. Jednak tradycje wolnościowe i demokratyczne zakorzenione wśród Polaków były poważną tamą dla tego rodzaju zakusów. Sanacja zmuszona była uznawać znaczny margines swobód i wolności obywatelskich.

Możliwości te wykorzystywały wrogo ustosunkowane do reżimu klasy i grupy społeczne. Robotnicy występowali w 1937 roku głównie w formie krótkotrwałych strajków okupacyjnych, których liczba wyniosła 1093, osiągając tym samym najwyższy wskaźnik okresu II Rzeczypospolitej, lecz ilość strajkujących w porównaniu z rokiem 1936 zmniejszyła się o ponad 100 tys.

W ŁODZI

Ważną rolę w wystąpieniach antysanacyjnych odegrała Łódź. Wiosna 1937 roku upłynęła w tym mieście pod znakiem masowych strajków protestacyjnych przeciwko rozwiązaniu Rady Miejskiej 30 marca 1937 roku. Protestacyjne wystąpienia strajkowe Łodzi określa się jako największy strajk proletariatu wielkoprzemysłowego w skali kraju.

Tak więc w atmosferze napięcia politycznego zbliżał się 1 Maja. Propaganda łódzkiej komórki KPP szła po linii zgodnej z koncepcją szerokiego frontu demokratycznego. W tym tonie utrzymano odezwę pierwszomajową KC KPP. Oto jej fragmenty:

„Jeden jest tylko wróg — faszyzm sanacyjny i endecki. Nie ma wroga na lewicy. Wszyscy razem — komuniści, socjaliści, zetzetowcy, robotnicy z „Pracy", z Chrześcijańskich Zw. Zaw., robotnicy z Polskiej Pracy, cały lud miejski do wspólnych obchodów majowych (...).

Niech cały lud Łodzi zademonstruje w zjednoczonych szeregach: O rozwiązanie senatu mianowańców! O wolne i powszechne wybory! O 5-przymiotnikową ordynację wyborczą! O jak najszybsze rozpisanie wyborów do Rady Miejskiej! O zniesienie Berezy Kartuskiej, o amnestię dla więźniów politycznych! (...).

Za konsolidację ludzi pracy lecz bez komunistów, wypowiadał się również pepeesowski **„Łodzianin"**, reprezentujący stanowisko władz centralnych PPS.

Tendencjom solidarnościowym sanacja starała się zapobiec odpowiednimi zarządzeniami. W kwietniu zadecydowano, że partie robotnicze innych narodowości nie mogą uczestniczyć w pochodze PPS. Ostatecznie 27 kwietnia 1937 r. na konferencji w Starostwie Grodzkim, w której udział wzięli przedstawiciele legalnych ugrupowań partyjnych, ustalono program obchodów majowych, w tym także trasy pochodów dla poszczególnych partii. PPS i klasowe Związki Zawodowe demonstrować miały od miejsca zbiórki na Wodnym Rynku ulicami Główną, Piotrkowską, Śródmiejską na Polesie, przy czym wyrażono zgodę, by razem z PPS demonstrowała Niemiecka Socjalistyczna Partia Pracy. Trasę pochodu dla Bundu i żydowskich związków zawodowych ograniczono do bardzo krótkiego odcinka: od miejsca zbiórki przy zbiegu ulic Andrzeja i Alei Kościuszki do Filharmonii Łódzkiej. Tak więc zasadę narodowościową zastosowano ostatecznie tylko w stosunku do Żydów. Taka sytuacja miała też miejsce w Warszawie, Zagłębiu Dąbrowskim i innych ośrodkach.

Komuniści w tym czasie, podobnie jak w latach 1935 i 1936, czynili wysiłki w kierunku zawarcia odpowiednich porozumień z PPS i ruchem związkowym. W wyniku rozmów, po pokonaniu wielu trudności, doszło do pewnych uzgodnień stanowisk odnośnie samej manifestacji (m. in. w Łodzi). Powstawały również wspólne komitety pierwszomajowe.

Prosanacyjny **„Kurier Łódzki"** podał do wiadomości, co następuje:

„Dzień 1 Maja zarówno w Łodzi, jak i okręgu minął całkowicie spokojnie (...), nie było większych wystąpień, tak że na ogół policja nie interweniowała".

Uderza jednak wyraźna niekonsekwencja. Nie mogło bowiem być „całkowicie spokojnie" skoro wykluczono tylko „większe wystąpienia". Innego zdania był wojewoda łódzki:

— Święto robotnicze w Łodzi — twierdził — **stanowiło w dużym stopniu rewię sił PPS, bez innych ugrupowań.**

W rzeczywistości manifestacja w Łodzi liczyła 50—60 tys. demonstrantów wobec 70—75 tys. w Warszawie i ponad 60 tys. w Zagłębiu Dąbrowskim. Uczestniczyli w niej komuniści i grupy robotników pozostających pod ich wpływami. Bez ich udziału nie byłoby **„rewii sił PPS"**. Pochody mogły jednak robić wrażenie li tylko pepeesowskich choćby ze względu na to, że KPP musiała zrezygnować z własnych sztandarów. Był to warunek dopuszczenia komunistów do udziału w pochodzie pepeesowskim. Można więc stwierdzić, iż również w roku 1937 manifestacje pierwszomajowe miały w zasadzie charakter jednolitofrontowy i liczebnie nie były mniejsze niż w 1936 r.

STRAJKI

Manifestacje pierwszomajowe odegrały też rolę impulsu do dalszych akcji strajkowych. Jednak już w końcu 1937 roku zaobserwować można spadek fali strajków. Jest to okres, gdy państwo sanacyjne czyniło próby ingerowania w życie gospodarcze kraju. Częściowe ożywienie gospodarcze napawało masy robotnicze nadzieją na poprawę swego położenia materialnego. Poprawę sytuacji gospodarczej wykorzystała też PPS dla własnej koncepcji strategicznej eliminującej strajki z arsenału proletariackiej broni. Wzmogła również terror policja. Szczególnym represjom poddani zostali działacze KPP i środowiska robotnicze z nią związane. Równolegle wokół KPP wytworzyła się atmosfera nie sprzyjająca jej działalności. Łączyło się to z niesłusznymi zarzutami pod adresem komunistów, rodzącymi się w łonie III Międzynarodówki w wyniku rozwijającego się kultu jednostki.

Równocześnie, obok coraz silniejszych tendencji faszystowskich w polityce wewnętrznej, sanacja prowadziła niezgodną z interesami narodu politykę zagraniczną. Antyradzieckość dyktowana antykomunizmem i wiązanie się z hitlerowskimi Niemcami niepokoiły społeczeństwo. Narastała obawa utraty niepodległości.

ROK 1938

W takiej to sytuacji, mimo piętrzących się trudności, komuniści polscy podjęli hasło obrony zagrożonej niepodległości w imię interesów całego narodu. W duchu troski o losy Polski, konieczności jej obrony przez wszystkich ludzi pracy zredagowano w 1938 roku odezwę pierwszomajową KC KPP:

„1 Maja — święto całej demokracji (...). Groźba najazdu Hitlera sprawia, że walka o obalenie systemu sanacyjnego, o demokratyczne wybory, o rządy zaufania mas ludowych, staje się zagadnieniem bytu lub niebytu Polski (...). W tej przełomowej dla demokracji polskiej chwili Komunistyczna Partia Polski wyciąga bratnią dłoń do socjalistów, ludowców, demokratów, do pracujących mas katolickich, do wszystkich, co gotowi są walczyć ze znienawidzonym reżimem sanacyjnym i endecją (...) o rząd zaufania mas ludowych, rząd ocalenia Polski".

Jednak pierwszomajowym akcjom propagandowym towarzyszyły znów ograniczenia ze strony władz sanacyjnych. Wzorem roku 1937 zabroniono Bundowi i żydowskim związkom zawodowym manifestować pod sztandarami PPS. Napisy i hasła organizatorzy pochodu musieli uzgadniać w starostwach. Zdając sprawę z przebiegu manifestacji pierwszomajowej w Łodzi, Urząd Wojewódzki Łódzki podkreślał:

„Do udziału komunistów ustosunkowano się negatywnie, (...) straż porządkowa nie dopuściła do pochodu usiłujące wedrzeć się grupy komunistów (...). Do utrzymania spokoju w dniu 1 Maja przyczyniła się w dużym stopniu akcja prewencyjna władz i organów bezpieczeństwa".

Mimo nie sprzyjających warunków pochód w Łodzi był dość liczny. Pod sztandarami PPS i klasowych Związków Zawodowych manifestowało 60 tys. osób (bez Bundu i żydowskich związków zawodowych). Manifestację warszawską obliczano także na 60 tys demonstrantów wobec 70 tys. w Zagłębiu Dąbrowskim. Jednak udział komunistów był mniej liczny niż w roku 1937. Niemniej jednak wyróżnili się oni aktywnością w inicjowaniu haseł skierowanych przeciwko reżimowi sanacyjnemu i jego zgubnej polityce zagranicznej. I jeszcze jeden godny odnotowania fakt. Otóż w Łodzi na Polesiu podczas wiecu rozwinięto sztandar KPP. Najprawdopodobniej fakt ten nie miał precedensu w innych miastach Polski.

Działalność KPP przerwana jednak została już w lipcu 1938 r. Nastąpiło to w wyniku niesłusznej decyzji Komitetu Wykonawczego III Międzynarodówki. Partia przestała istnieć jedynie formalnie. Ludzie — komuniści zostali i walczyli nadal mimo wyjątkowo trudnych warunków.

ROK 1939

I tak nadszedł rok 1939, a z nim ostatnie w II Rzeczypospolitej Święto Robotnicze. Władze sanacyjne zabroniły jednak organizowania pochodów pierwszomajowych. Manifestacje pierwszomajowe — jak to próbował uzasadnić swoją decyzję reżim sanacyjny — mogłyby przyczynić się do rozłamu w społeczeństwie, a zagrożenie wojną wymagało szczególnej konsolidacji. Dopuszczono jedynie możliwość urządzania akademii i wieców pierwszomajowych, lecz nie o charakterze międzypartyjnym. Każda legalnie działająca partia mogła zorganizować jedynie własne, wewnętrzne uroczystości. Pepeesowski afisz okolicznościowy. wydany w Łodzi z okazji 50 rocznicy ustanowienia 1 Maja podkreślał:

„Rocznicę tę obchodzić będziemy w okolicznościach specjalnych: coraz bardziej zarysowującej się groźby nowej, straszliwej, powszechnej katastrofy wojennej (...). Naczelnym hasłem święta 1 Maja w roku bieżącym niech będzie Obrona Niepodległości Polski.

Ze względu na międzynarodową sytuację polityczną nie uzyskaliśmy pozwolenia na urządzanie obchodów i manifestacji zewnętrznych".

Tak minął ostatni polski i łódzki Maj w okresie II Rzeczypospolitej. Obchody Święta Robotniczego w latach 1937—1939, aczkolwiek odbywające się w trudniejszych warunkach, przyczyniły się do zrozumienia przez większość społeczeństwa polskiego niepodważalnej prawdy, iż odpowiedzialność za losy Polski wziąć musi na siebie walcząca klasa robotnicza jako siła przewodnia frontu demokratycznego.

MARIAN STROBIN

TRZY LATA PRZED WOJNĄ

Rys. Janusz Szymański-Glanc

NIE TYLKO HISTORIA

Metodologia

Pasmo modnych ongiś narzekań na brak wśród historyków poważniejszych zainteresowań i badań metodologicznych zostało przerwane przed niemal dziesięciu laty. Najzupełniej niespodzianie dla nie wtajemniczonych ukazały się w 1968 r. dwa wielkie dzieła metodologiczne, oba napisane przez zawodowych, wybitnych historyków. Była to „Metodologia historii" Jerzego Topolskiego i „Metodologii historii zarys krytyczny" pióra Wandy Moszczeńskiej. Oba te dzieła zostały przyjęte z żywym zainteresowaniem przez środowisko historyczne, były wielokrotnie i wszechstronnie dyskutowane i recenzowane na łamach prasy naukowej, zwróciły na siebie uwagę również i specjalistów zagranicznych. Dzieło J. Topolskiego doczekało się już dawno drugiego polskiego wydania, w 1973 r. pojawiło się jego tłumaczenie na język włoski, w roku bieżącym zaś przekład angielski, wydany w kooperacji polsko-brytyjskiej. Rok bieżący przyniósł również ponowne wydanie „Metodologii historii zarysu krytycznego" (PWN 1977) w opracowaniu ucznia zmarłej autorki, znanego historyka historiografii Jerzego Maternickiego. Wydawca uzupełnił pracę W. Moszczeńskiej przedrukiem kilku wybranych rozpraw, ogłaszanych przez nią po czasopismach, a wiążących się ściśle z metodologiczną problematyką historii. Opatrzył wreszcie dzieło obszernym wstępem własnego pióra, przedstawiając w nim „Wandy Moszczeńskiej drogę do metodologii historii".

Z pewnością warto przypomnieć tu sylwetkę W. Moszczeńskiej. Urodzona w 1896 r. na Ukrainie rozpoczęła ona wyższe studia w Moskwie jeszcze podczas I Wojny Światowej, kontynuowała i ukończyła jednak w Warszawie, gdzie też uzyskała w 1923 r. stopień doktorski. Jej ówczesne zainteresowania koncentrowały się na problemach mediewistycznych: była wychowanką Jana K. Kochanowskiego oraz wybitnego historyka czasów średniowiecza, a jednocześnie badacza nowożytności, znakomitego pedagoga i wychowawcy całego pokolenia historyków polskich — Marcelego Handelsmana. Na jego to seminarium zrodziła się koncepcja przyszłej rozprawy habilitacyjnej W. Moszczeńskiej, on też patronował jej habilitacji na podstawie pracy o arystokracji w państwie frankońskim. Będąc docentem Uniwersytetu Warszawskiego W. Moszczeńska pracowała zawodowo w warszawskim szkolnictwie średnim, co obudziło w niej żywe zainteresowania dla zagadnień dydaktyki historii, którymi poczęła się zajmować. Podczas okupacji pracowała w tajnym nauczaniu, prowadziła zajęcia uniwersyteckie, brała udział w konspiracji. Przypłaciła to Pawiakiem i Oświęcimiem, a następnie pobytem w Ravensbrück, gdzie doczekała się wyzwolenia w czasie... ucieczki z transportu. Po powrocie do kraju przystąpiła do pracy w Ministerstwie Oświaty, a od 1946 r. powróciła na Uniwersytet Warszawski zrazu jako docent etatowy, następnie (1951) profesor nadzwyczajny. Profesorem zwyczajnym mimo podjętych w 1964 r. starań... nie została nigdy, co jest bez wątpienia smutnym przyczynkiem do historii naukowych karier naszych wybitnych uczonych w naszych czasach.

W. Moszczeńska przeszła długą i skomplikowaną drogę do marksistowskiego pojmowania historiografii. Włączyła się aktywnie w nurt metodologicznej przebudowy historiografii polskiej, ale nie kryła swoich wątpliwości, kiedy spotykała się z wulgaryzacjami i uproszczeniami. Myśl jej stroniła od schematu, od wszystko rozwiązującej recepty, kroczyła swoją, niejednokrotnie bardzo indywidualną i zawiłą drogą, co na pewno nie zawsze przysparzało jej zwolenników. Ale ta właśnie refleksja zrodziła bogate intelektualne dzieło, jakim jest „Metodologii historii zarys krytyczny". Jej wartość jako świadomie inspirowanej przez dyrektywy marksizmu — leninizmu ambitnej próby przewartościowania i zsyntetyzowania zagadnień metodologicznych historii jest — jak się okazuje — nieporównywalna z tym wszystkim, co mieli do zaproponowania różni gorliwi i krzykliwi krytycy, dla których poglądy W. Moszczeńskiej zawsze były zbyt indywidualne. Niezależnie od tego, jak będziemy przyjmowali takie bądź inne jej ujęcia — a okazji do poważnej dyskusji daje W. Moszczeńska sporo — nie ma co do tego wątpliwości, że pozostawiła ona po sobie dzieło, jakie potrafili dać tylko nieliczni w historycznym zawodzie.

„Rozczarowana do polityki obozu sanacyjnego, z którym wiązał ją niegdyś kult Piłsudskiego — wspomina o swym profesorze J. Maternicki — jeszcze w okresie wojny, w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu przepowiadała powstanie nowej ludowej Polski. Związała się też z nią, z ideologią socjalizmu i marksizmem w sposób autentyczny, szczerze, z całym wewnętrznym przekonaniem". Droga to indywidualna, swoista, ale czyż jednocześnie typowa dla wielu przecież polskich intelektualistów, którzy wnieśli trwały wkład do polskiej kultury narodowej? Dobrze, że dzieło W. Moszczeńskiej nie zostało po jej śmierci (1974) zapomniane. Dobrze że ukazało się ponownie, w troskliwym opracowaniu jej bliskiego ucznia i współpracownika.

Uwag krytycznych do tej edycji mam niewiele. Szkoda może, że wydawca nie poszukał w archiwum Kwartalnika Historycznego pierwotnego tekstu rozważań „O zakresie metodologii historii zarysu krytycznego". Rzecz była pierwotnie znacznie dłuższa — miałem ją w tej postaci w ręku — niż ostateczna wersja rozprawy. Jeśli jest do odnalezienia, czego nie wiem, warto byłoby ją opublikować w całości. Mam na koniec drobną pretensję do J. Maternickiego o to, że pisząc o dziele swego profesora jako o „trzeciej" polskiej wybitnej pracy z metodologii historii i „pierwszej" próbie ogarnięcia tej problematyki „ze stanowiska marksistowskiego" nie wspomniał ni słowem o pracy J. Topolskiego, która ukazała się niemal równocześnie z książką W. Moszczeńskiej. Nie stanowi dla nikogo ujmy, że ktoś inny wydaje książkę na ten sam temat, i to książkę wybitną, akurat w tym samym czasie co on sam. Zwłaszcza gdy dzieło W. Moszczeńskiej — tak inne przecież od pracy J. Topolskiego — ostało się i wytrzymało tę niełatwą konfrontację. A że nie jest to mało, więc godzi się i o tym rzec słów kilkoro.

ANDRZEJ F. GRABSKI

LITERATURA

TADEUSZ GICGIER

ZAGRODNICY

Wyprawiając się do podmiejskich lasów, łodzianie mieli zwyczaj ogradzać nieduży teren sznurkiem i na tym terenie bawić się w swoim gronie.

To nie są opowieści
lasku wiedeńskiego,
panowie w melonikach,
panie w krynolinie,
perkal, cajgowe spodnie,
dama siedzi w halce,
zamiast lampionów, girland,
sznur konopny wisi.

To jest moje obejście,
sznur to moja miedza,
nie mam ziemi, mam wyrko,
na dachu gołębnik,
a tutaj jestem panem
na spłachetku lasu,
dziedzicem, fabrykantem,
bogaczem niedzielnym.

Wachlarz w niewieściej dłoni
to wachlarz z paproci,
nie smyczki, a harmonia
do tańca przygrywa,
butelka z lemoniadą
krąży tak jak bąk,
śmiechu nikt nie tuszuje,
na sękach zawisa.
Teraz tańczą pod ściółką,
z drzewami pod glinę
zeszli, razem twardnieją,
czernieją na węgiel,
nie stracili wigoru
i fason ten sam,
przyłóż ucho do ziemi —
harmonię usłyszysz.

1976

KAMIL PRZYBYLSKI

W POKOJACH SAMOTNOŚCI

ich czas odmierza
otwarcie drzwi
łączących ze światłem

zamknięci w marzeniach
pochyleni nad białą
kartą losu
żądają prawa do milczenia

w pokojach pozbawionych zegarów
układają petycję o naprawie świata
zaprzeczają obowiązującym normom
i prawu do miłości

za oknem przepływa życie
jesienne słońce złoci drzewa

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

KRÓTKIE DNI

Rozdęte tuby olejne jak wam dzisiaj
Słabo —
Białocynkowe chmury obsypują nas sadzą
Na szybach naszych latach siada smutek
I zanim cukrówka siwa z parapetu spadnie
Na dobre nasz spokój
Zawiesimy nad miastem

Cieniutkie takie jak opiłki powiek
Ledwo słyszalne drżenie rąk
Dopóki nie przyjdziesz nic nie pomoże
Choć bramy miasta otwarte jak szkło
Na szybach naszych latach
Cień spadających ptaków

POSEZONOWA WYPRZEDAŻ

...a wiersze dzisiaj na fortepianie
gram
Tak już od wielu godzin polarnych
Gdzie
po pierwszej setce przyjaciół
Została
cała beczka soli
Więc nie martwię się o mój interes
I tak
kupicie to
Ziarnko prawdy.

ANTONI KASPROWICZ

ROMANTYK

Mój Wacek to dobry chłopak, nie żaden chuligan! Grzeczny, posłuszny, prymus Szkoły Rzemiosł Budowlanych, niepijący i niepalący, a jednak o mało co nie wyleciałem przez niego z roboty.

Pracowałem wtedy na nocną zmianę w Zakładach Bawełnianych im. Mickiewicza, obsługując cztery krosna. Wiadomo, że robota tkacza nielekka. Osiem godzin w bawełnianym pyle, w nieustannym klekocie warsztatów i skisłym zapachu oliwy — to nie żarty. A mowy ludzkiej nie usłyszysz tu za Boga! Chyba na migi. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Najlepszy dowód, że po zakończeniu wojny i powrocie z niemieckiej niewoli zgłosiłem się natychmiast do fabryki, w której przed wojną tyrałem okrągłe dwadzieścia lat.

Pewnego popołudnia, leżąc w łóżku wyspany i wypoczęty po nocnej harówce, powiadam ja do mojego chłopaka:

— Te, Wacuś, słuchaj no! Kto to był właściwie ten nasz Mickiewicz? Ot, co mi strzeliło do łba.

— To ojciec nie wiesz?

— Ano, nie!

— Poeta, romantyk.

— Znaczy się?

— Tworzył ballady, poematy... Zresztą — powiada mój chłopak — czytać tata potrafi, więc jak sobie życzysz, przytacham ci od kumpla knigę z tymi balladami, co?

— Ano, przytachaj — powiadam. — A żyje jeszcze ten romanta?

— Co też ojciec wygadujesz — oburzył się mój mądrala — Zmarł na cholerę przeszło stówę temu i leży razem z królami na Wawelu.

— Na Wawelu, z królami? — zawołałem zdumiony, podrywając się na łóżku.

— A ojciec myślał, że z kim i gdzie?

— Ho, ho, ho! Więc dawaj synu, migiem tę jego knigę, poczytamy.

Następnego popołudnia, leżąc w łóżku, wyspany, dukałem już na głos: „Switeź", „Lilie", „Czaty". A przy „Pani Twardowskiej" to pękaliśmy ze starą od śmiechu. Takie tam były komy i hopy! Prawdę mówiąc, wszystko to było dalekie od prawdy i rzeczywistości, ale takie jakieś ludzkie, urzekające, jak choćby ten wojewoda, co to „z ogrodowej altany — wybiegł zły i zdyszany". A wszystko to tak ułożone, jakby się działo naprawdę. Czuć nawet zapach prochu przy wystrzale z gwintówki.

Podobały mi się te ballady, ale najbardziej to „Switeź", z której jednej zwrotki w żaden sposób nie mogłem pojąć, więc wykułem ją na pamięć.

Wreszcie pewnego dnia powiadam ja do mojego chłopaka:

— Te, Wacuś, jak to należy zmiarkować? Uważaj no!

„Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce".

— To ojciec jeszcze nie kapujesz? — zdziwił się mój mądrala.

— Jakoś nie.

— No, jedne gwiazdy na niebie, drugie odbite w jeziorze — tłumaczy mi Wacuś. — Jeden księżyc w górze, drugi w wodzie na dole. No, teraz, tata, pojmujesz? Zresztą codziennie wieczorem i rano w drodze do fabryki i do domu przechodzisz ojciec Przędzalnianą obok stawu, to przystań, popatrz i wymiarkuj — poradził mój mądrala i wyszedł.

„Chłopak ma rację — pomyślałem i zastanowiłem się jednocześnie. — Jak to mogło być, że przez tyle lat, przechodząc obok stawu do fabryki, ani razu nie dojrzałem w wodzie gwiazd ani księżyca. Jak to mogło być? A może wielu, wielu jeszcze takich jak ja, którzy śpiesząc do pracy ani razu nie zerknęli na niebo i księżyc! Fabryka i rodzina ważniejsza"

— Te, matka — powiadam tedy do starej. — Rzuć ino okiem na kalendarz i powiedz o której godzinie wstaje dziś księżyc. Muszę go wreszcie zmiarkować, słyszysz?

— Co ci znów do łba strzeliło, łysoniu? Zwariowałeś pewnie przez te twoje poety i jeszcze jakieś nieszczęście sprowadzisz do domu — zaskwierczała stara, ale pokicała do kuchni, gdzie wisiał kalendarz.

— O dwudziestej! — usłyszałem po chwili i zerwałem się z łóżka.

— Trzeba dziś wcześniej wyskoczyć do budy, by te „gwiazdy nad sobą i te gwiazdy pod sobą, i dwa obaczyć księżyce" — postanowiłem i przed dwudziestą wyprysnąłem już z chaty, i dawaj drała nad staw przyfabryczny.

Pogodny wieczór czerwcowy nastroił mnie marzycielsko, więc uśmiechnięty, coraz częściej spoglądałem ku niebu i rozćwierkanym przyulicznym ogródkom, potrącając przechodniów, aż wreszcie jeden z nich ucapił mnie za rękę.

— Dokąd to Jaworszczak z tą zadartą łepetyną? — wykrzyknął.

— Jak to dokąd? Do roboty! — odpaliłem.

— Przecież jeszcze za wrześnie.

— Niby tak, ale ja po drodze, uważasz, Wasiak, nad staw, popatrzeć trochę jak w tej wodzie gwiazdy i księżyc, uważasz...

— Księżyc i gwiazdy? — zdumiał się Wasiak, stukając palcem w czoło. — Gwiazdy i księżyc, gwiazdy i księżyc — powtarzał, po czym odskoczył ode mnie jak oparzony.

Ruszyłem dalej, skrzętnie omijając przechodniów, aż wreszcie zatrzymałem się nad wodą. Zatrzymałem się i spojrzałem. Rzeczywiście jak w balladzie: gładka szyba wody, otoczona przybrzeżnym sitowiem, ocieniona wierzbami i kasztanami, a w tej wodzie, w tej zielonej, grążelki, grzybienie, a turzyce, a kaczeńce i ten trzciniak rozdzwoniony... A księżyca jak nie widać, tak nie widać. „Cholera, jeszcze się spóźnię do roboty" — pomyślałem, wyczekując nad brzegiem, ale w tej samej chwili, na wschodnim horyzoncie nieba ukazała się ognista ryba, pławiąc się w wodzie. Odezwała się gdzieś pliszka, zarechotały radośnie żaby, pojaśniały znieruchomiałe wierzby i błogo uczyniło mi się w sercu.

Po raz pierwszy w życiu oglądałem takie uroczyste zjawisko i dziwiłem się bardzo, że nikt z przechodzących ulicą obok stawu nie zatrzyma się na chwilę, by spojrzeć na wodę z pławiącym się księżycem. „Ciekawe — pomyślałem — co by na ten widok powiedział na przykład taki Grobelny albo taki Matczak, albo sąsiad Mikuś, który w swym życiu poza dom i fabrykę nosa nie wyściubił. Szkoda, szkoda, że nie mieszkamy gdzieś tu, w pobliżu stawu" — żałowałem i nagle przypomniało mi się, że czas do roboty. Poderwałem się więc jak wystraszony wróbel i przez wyłamaną w płocie sztachetę dawaj chodu na ulicę i wprost do fabryki.

Spóźniłem się i portier nie chciał mnie wpuścić, ale wymigałem się jakoś. Gorzej poszło z majstrem, który na sali pogroził mi ręką i zanotował coś w notesie, bo widział moje krosna nie na chodzie.

Przestukałem jakoś całonocną zmianę i o szóstej rano leżałem już w łóżku, nie wspominając starej nic a nic o księżycu i spóźnieniu się do fabryki. Mało tego, poprzysiągłem sobie w duszy, że już nigdy więcej nie zatrzymam się nad tym przeklętym stawem.

W południe jednak mimo woli zerknąłem ukradkiem w kalendarz — o której księżyc wznosi łepetynę, a przez okno — czy niebo czyste.

O normalnej porze, jak codziennie, wyruszyłem do roboty razem z tłumem śpieszących robotników. No i co? Już w pobliżu fabryki, jak lunatyk przeszedłem na drugą stronę jezdni, by przez rzadkie sztachety, odgradzające staw od ulicy, spojrzeć choć jeszcze raz przez chwilę na nieruchome drzewa nad wodą i na przywodne ugorzysko, porosłe chwastami i dziką trawą.

Ludzie szli i szli, a ja patrzałem i patrzałem, dziwiąc się bardzo, że przyfabryczne płachcie ugoru leżą tak od dawna nie wykorzystane. „Przecież można by tu — pomyślałem — urządzić kąpielisko, plażę, albo rozparcelować ugór robotnikom pod ogródki działkowe. O, tak, tak, pod ogródki działkowe, by w letnie wieczory mogli się wsłuchiwać w pogwizdy ptasząt, w poszumy wierzb i kasztanów i dwa podziwiać księżyce. A przecież ten płat ugoru wystarczy na dziesiątki takich ogródków". Patrzałem, rozmyślałem i nagle cisza na opustoszałej ulicy targnęła mną — przecież czas najwyższy do pracy! Porwałem się więc i pobiegłem.

Tym razem portier spojrzał tylko na zegar, pokiwał głową i przepuścił mnie na salę, gdzie majster czekał już przy moich krosnach. Najpierw podszedł do mnie, bym chuchnął, czy nie jestem na bańce, a potem wręczył mi karteluszek, z którym kazał mi się zgłosić w południe w radzie zakładowej. Kląłem w duchu te przeklęte ballady i całą noc dreptałem nerwowo przy swoich warsztatach.

A gdy wróciłem do domu, nie polazłem jak zwykle do łóżka, tylko obijałem się po mieszkaniu markotny i rozdrażniony.

— Łazisz naburmuszony jak zbój! Pewno znów coś zwojowałeś — utyskiwała żona, ale ja ani mru-mru, bo w duchu przyznawałem jej rację.

Nie wytrzymałem jednak do południa, bo już o dziesiątej wyrwałem się do tej cholernej rady zakładowej, nie wspominając babie, dokąd idę.

„No cóż? — rozmyślałem po drodze. — Każdemu w życiu może coś się przydarzyć, bo człowiek jest tylko człowiekiem i łazi po ziemi, a na tej ziemi nie żadne cuda, tylko odwieczna szarpanina, a wszystko to razem wzięte śmiechu warte. Ot, co!"

W radzie zakładowej wygawor nie z tej ziemi: dyscyplina, demoralizacja, plany, deficyt, absencja! — aż mnie głowa rozbolała. Słucham więc, słucham, aż wreszcie powiadam:

— To wszystko przez ten cholerny księżyc!

— Przez co? — wykrzyknął przewodniczący, podrywając się z krzesła.

— No, przez księżyc, powiadam, bo chciałem po raz pierwszy w życiu zobaczyć, jak przebija się w wodzie.

— No i co?

— No i nic. Ujrzałem go, zagapiłem się i przez to spóźniłem się dwa razy do roboty. Ale radziłbym i wam zobaczyć to błyszczące zjawisko. No i nie tylko wam, bo wielu ludzi mogłoby je podziwiać, gdyby nad tym przyfabrycznym stawem urządzić kąpielisko lub założyć ogródki działkowe dla robotników. Aż serce boli patrzeć na ten szmat nie wykorzystanego ugoru. Powiadam uczciwie. A znajdą się chętni, znajdą! Pokopią, zagrabią, posadzą drzewka, krzewy i warzywa, nawdychają się po pracy świeżego powietrza, popatrzą na księżyc, na gwiazdy, no i gleba obrodzi, zamiast leżeć ugorem.

— Ogródki działkowe, powiadacie? Ogródki? — zastanawiał się przewodniczący, skrobiąc się za uchem. — Ano, zobaczymy, pomyślimy. Ale czy zdajecie sobie sprawę, Jaworski, ile to trzeba trudu, pracy i praktyki, żeby odpowiednio i z pożytkiem uprawiać i wykorzystać działkę? Ja o tym coś wiem, bo przed wojną posiadałem płachetkę ziemi i orientuję się w odmianach landsberskich i welthach i wiem, jak zwalczać szkodniki, jak opryskiwać truskawki euparenem, jak pielęgnować renklody i zrywać klapsy. No, ale pomyślimy, zobaczymy. Przecież i wśród robotników znajdą się tacy, którzy znają się na uprawie ogródków i sadów. W każdym razie niezły pomysł z tymi ogródkami. A ponieważ te wasze spóźnienia do pracy pójdą prawdopodobnie na ludzki użytek, więc możecie, Jaworski, spokojnie pójść do swojej roboty. A pamiętajcie, że w razie czego wam pierwsza działka przyzakładowa, boście projektant, no i... romantyk — zakończył przewodniczący ściskając mi łapę.

Przyszedłem do domu uśmiechnięty i zadowolony, aż stara się dziwiła. Co tam dziwiła, postawiła nawet kielicha z kupionego na niedzielę pół basa.

Nie wiadomo jakim cudem, ale po kilku dniach cała fabryka bębniła już o ogródkach działkowych, że oglądali ugór, mierzyli parcele, wytyczali działki, a nawet mówili, że zapomogi udzielać będą na zakup narzędzi ogrodniczych. Mówili, plotkowali, ale ja nie widziałem, żeby się coś działo na tym przyfabrycznym ugorze.

Aż tu pewnego dnia stara moja szarpie mnie za koszulę i zrywa zaspanego z pościeli. Niby jakieś pismo listonosz przytaskał do mnie. Zrywam się więc, przecieram oczy, rozrywam kopertę i czytam. Że co? Że rada zakładowa oddaje mi w bezpłatną dzierżawę działkę przyzakładową o powierzchni trzystu metrów kwadratowych, oznaczoną numerem...

Była jedenasta w południe, jak wyprysnąłem z betów i podrałowałem w pole. Pędziłem jak wiatr. Wreszcie dobiegam i co ja widzę. Mrowie kobiet, mężczyzn i dzieci szpadluje ziemię, mierzy, grabi, ogradza sznurami. Krzyki, śpiewy, rwetes.

Odnalazłem wreszcie moją parcelę, wymierzyłem pożyczonym metrem, postałem chwilę, pogawędziłem z sąsiadem i wróciłem do domu, dzieląc się radością z połowicą.

Do późnego wieczora gawędziliśmy i radziliśmy się, jakie to drzewka i krzewy, jakie to warzywa i kwiaty będziemy sadzili i siali w tym naszym ogródku działkowym. Stara nawet przebąkiwała coś o ogrodzeniu drucianym, ale ja udawałem, że nie słyszę, bo wiedziałem, że tak czy owak, z odłożonej z wielkim trudem forsy niemało jeszcze grosza poleci na ten ogródek działkowy.

Po kilku tygodniach niektórzy działkowicze skopali już teren, uporządkowali grządki, wytyczyli ścieżki, odrutowali działki, a nasz sąsiad Kolasa to nawet sobie willę z dykty postawił, że hej! Trzy metry na dwa i pół, tak że nawet kozetkę w niej pomieścił i stolik, i dwa krzesła. Mała ta jego willa mała, ale pomalowana w różne kolory, z gwiazdą na dachu i okienkiem ze szkła karbowanego. Drugi już tydzień nocuje w niej Kolasa i, jak powiada, lepiej się czuje na serce, o wiele lepiej niż w kamienicznym podwórku.

Zazdroszczą mu też inni działkowicze, ej, zazdroszczą, ale najbardziej to moja stara, która ciągle mi wypomina, że dałem się Kolasie wyprzedzić.

— Ale tak czy tak, ta cała jego willa jest do kitu — pocieszała się moja stara — bo nie posiada chorągiewki blaszanej na dachu. A za rok w naszej willi będzie stał nie tylko tapczan, ale i stół, i radio, i umywalka, a na ścianie będzie wisiał obraz święty nie tak jak u tego bezbożnika — paplała w kółko moja połowica.

Prawdę mówiąc, to nasza kolonia działkowa rozrastała się i pięknniała z dnia na dzień, bo tkacze łaknęli słońca, powietrza i zielonej przestrzeni. Były już na terenie naszego miasta liczne ogródki działkowe, jak „Jaworzynka", „Beldonka", „Jabłonka", ale nasz przyfabryczny „Pod Księżycem", jest najurodzajniejszy i najpiękniejszy w tym zakopconym, robotniczym mieście.

SCHEDA DLA NAJMŁODSZEGO

Dalszy ciąg ze str. 1

starczą bezsiłą. — **Tyle, co na prawnuka popatrzę...**

W łóżeczku śpi twardo najmłodszy z Kłosów, 9-miesięczny Waldek, zdrowy i pucołowaty chłopak. Lubi dokazywać, wierci się, skacze, często wpada w siatkę, trzeba go wyplątywać. Ale to łóżko takie niesposobne, lepsze by było z drewnianych prętów, a nie jakieś tam siatki...

2.

Mieli swoją glinę, kopali więc, wypalali cegłę i postawili nowy dom. A jak wichura zwaliła drewnianą stodołę, zbudowali nową, z własnej cegły i niemal własnymi rękami. Stodoła jest piękna, ma w ścianach symetrycznie ułożone otwory dla przewiewu i lśniący jak srebro dach. Bez przesady, bo pokryty jest papą aluminiową, rolka kosztuje 860 zł.

— Gdyby wiatr zerwał, byłaby duża strata.

— **Ee, nie zerwie! Najpierw kładłem zwykłą papę, potem najlepszy lepik i na to aluminium. Ta papa wytrzyma 10 lat, nie trzeba jej smarować. Ale po deszczu to się na ten dach nie wejdzie. Jedzie się na dupie, aż miło!**

Henryk Kłos, na początku trochę zakłopotany niespodziewanym nalotem i pewnie stremowany, zresztą całkiem bez racji, swoim roboczym, zmiętym drelichem, który szybko zrzucił, wkładając czarną bluzkę i golf, rozluźnił się wyraźnie. Rozmowa toczy się bez potknięć, wkracza na tereny intymne, włącza się do niej matka, 60-letnia **Joanna Kłosowa**. Ma nienagannie uczesane popielate włosy, jest bardzo żywotna i elokwentna. Aż dziw bierze, że w tym dużym, 20-hektarowym gospodarstwie, gdzie kupa roboty, a na dodatek wciąż ta cholerna budowa, kobiety potrafią być tak schludne i zadbane.

Heniek ma 29 lat, ale mimo ciężkiej harówy wygląda na mniej. Twarz chłopca o wielkich szarych oczach, tylko blond czupryna lekko przerzedzona.

— **Wie pan, jak to było dawniej: na gospodarce zostawał najmłodszy i najgłupszy. Ale u nas ojciec do tego nie dopuścił. To znaczy jako najmłodszy zostałem, ale musiałem ukończyć Technikum Rolnicze w Sedziejowicach. No i tam poznałem żonę, Jadwigę, ona też ma wykształcenie rolnicze, panny bez pojęcia o gospodarstwie bym nie wziął. Zostałem, bo po prostu miałem smykałkę do ziemi i maszyn. A z dwóch starszych braci jeden ukończył Akademię Medyczną i mieszka w Warszawie, drugi zaś pracuje w budownictwie w Łodzi.**

— Nie zazdroszczą panu teraz?

— **Bo ja wiem? Może i zazdroszczą, ale jak przyjadą i popatrzą, jak tutaj trzeba zasuwać, to szybko chce im się uciekać.**

— A pan pewnie myśli jeszcze o poszerzeniu gospodarstwa?

— **Jasne, trochę ziemi bym przybrał.**

— **O, co to, to nie!** — wtrąca gwałtownie matka. — **Przynajmniej nie teraz, na czas budowy. Zresztą** — dodaje — **w zeszłym roku dokupił 2 hektary. Sąsiadowi się zmarło, a ta ziemia przyległa, przez miedzę...**

— **Ale w tym roku koniec z bałaganem** — oświadcza Heniek. **Muszę doprowadzić wszystko do porządku** — wyjaśnia — **ponieważ wytypowany jestem na „Złotą Wieche". Wie pan, ta nagroda nie jest wysoka, ale splendor pozostaje. A najważniejsze, że taki konkurs dopinguje do szybkiego wykończenia robót.**

3.

Podwórze jest wielkie i niemal kwadratowe, zabudowane ze wszech stron nowymi murowanymi budynkami gospodarczymi. I właściwie czyste, tylko jedna oryzma żwiru, ale przecież wykańcza się garaże. W jednym z garaży stoi „Żuk".

Stajemy przy wyjeździe na pole.

— **Trochę tu błota** — mówi z zakłopotaniem Kłos — **ale wkrótce wybetonuję ten wjazd. O, aż tam, po tę grusze. I pociągnę silosy będzie można między nimi przejeżdżać i dostawać się z pobrana karma wprost do obory.**

Za stodołą stoją maszyny rolnicze, dalej ciągnie się niski budynek z pustaków.

— **To kurnik, będę musiał go otynkować. Ferma liczy 2 tysiące szt., głównie karmazyny. Obsługują ją w zasadzie rodzice.**

Wszędobylska **Joanna Kłosowa** śpieszy z wyjaśnieniem:

— **Kury to już trzymamy od 15 lat. Jak przenieśli skup jaj do Wielunia, to myślałam, że zrezygnuję. Bo mój Edmund** (mowa o ojcu Heńka) **ma 67 lat i słabuje na serce, już tyle nie wyrobi, co kiedyś. No, ale Henick odwozi te jajka „Żukiem", co tydzień 5—6 tysięcy sztuk. Kury to nasza, babska sprawa. No i gotowanie, bo jak pracują wynajeci ludzie, to trzeba stołówkę otwierać.**

W ciągu 2 lat **Henryk Kłos** zbudował oborę o wymiarach 25 x 11 m, na 31 stanowisk, z użytkowym strychem, na który wchodzi 25 przyczep słomy lub siana, i garaże. Obora kosztuje milion, ale jest taka, że między stanowiskami przejedzie ciągnik z przyczepą. Obok wyciągów powietrznych znajdują się w suficie otwory, z których spuszcza się ze strychu słomę i siano. Zimą z tej obory nie trzeba wcale wychodzić. Na razie kręcą się po niej jeszcze elektrycy, bo trzeba wykończyć „siłę"; do każdego silnika, a jest ich trzy, prowadzi osobny kabel. Woda ocieplona, poidła automatyczne, toteż krowy piją, kiedy im tylko dokuczy pragnienie.

Heniek pokazuje rozgniatacz do buraków i magazyn paszowy, gdzie można wykorzystać miejsce na jednoczesne zgromadzenie zapasu kiszonki i buraków. Odkrywa płachtę i pokazuje spawarkę. Kupił, bo się wnerwił, kiedy nie mógł złapać fachowca. Spawa sam. W pomieszczeniu zwanym „mleczarnią", znajduje się basenik, umywalka z bojlerem na ciepłą i zimną wodę, dojarki. Jak się wszystko wykończy, będą i kafelki, i biały fartuch.

— **Jak przyjedzie ktoś z rodziny i wspomni starą obórkę, z której wyrzucało się gnój widłami, to nie może wyjść z podziwu, że ja tu będę chodził w białym fartuchu. Chociaż z początku szlag mnie trafiał. Bo jałówki już stały, a elektryczna wyrzutnia obornika nawalała i POM z Zapola nie mógł sobie poradzić z naprawą. Zresztą do dziś mam sęki z dojarkami. Montowali je jeszcze przed Bożym Narodzeniem i wciąż są usterki. Trzeba doić rękami, robimy to z żoną, trochę pomaga teść. Kłopot, bo niektóra krowa ciężko się doi. A mam wszystkiego 25 sztuk: krów 14, w tym 3 jeszcze do wycielenia, reszta opasy, takie do 560 kg wagi.**

— To ile mleka odstawia pan dziennie?

— **Na razie średnio 100 litrów.**

— A ile wzięliście ostatnio kredytu?

— **Pół miliona...**

— Kiedy krowy panu „spłacą" ten kredyt?

Przez chwilę waha się, jakby dopiero teraz obliczał rentowność tego przedsięwzięcia.

— **Myślę, że jak dobrze pójdzie, to za 3 lata...**

4.

Brzeźnio leży 14 kilometrów od Sieradza i **Henryk Kłos** stara się o założenie telefonu, żeby nie musiał mitrężyć czasu na załatwianie różnych spraw związanych z produkcją. **Bo Henryk Kłos to już firma.** Nastawił się na hodowlę bydła mlecznego i jako jeden z pierwszych uzyskał kartę gospodarstwa specjalistycznego. Ma nawet stempel tej firmy: „GOSPODARSTWO ROLNE SPECJALISTYCZNE — HENRYK KŁOS — 98-275 BRZEŹNIO".

— **Podczas budowy najbardziej wnerwiałem się, kiedy materiał był już przygotowany, a ludzie nawalali. Z pomocą w ogóle jest kłopot, nieraz muszę jeździć w niedziele „Żukiem" po wsiach i namawiać. Za 300 złotych dziennie. Miałem pomocnika, ale to był trochę pijaczek. Przez zimę, jak roboty mało, to siedział, a jak zrobiło się ciepło — prysnął. Mam prawo zatrudnić i ubezpieczyć pracownika. Dałbym mu mieszkanie, pensję i jedzenia tyle, że przekroczyłoby to wartość przeciętnego zarobku, ale chętnych, niestety, nie ma.**

— Czy to znaczy, że pan w gospodarstwie nie może się wyrobić? Nie śpi pan?...

— **Pracuję 12 godzin na dobę. Gdybym miał więcej maszyn, czas pracy byłby krótszy. Zawsze można wyskoczyć pod wieczór i zrobić coś w polu. Mam własną młockarnię i często młócimy w trójkę. Elektryczną młockarnię, bo przy takiej na kierat byłby potrzebny czwarty do poganiania konia. Dużo pomagają mi Bratoszewice, dostałem na przykład rozrzutnik do obornika. Urząd Gminy obiecał mi duży ciągnik w 78 roku. W 80 roku będę miał 16 krów dojnych i sprzedam rocznie 56 tysięcy litrów mleka oraz 5.300 kg bydła rzeźnego.**

Kto wie, czy Kłos nie zdobędzie tej „Złotej Wiechy"? Brat z Łodzi obiecał przyjechać na 5 dni, żeby pomóc w pracach wykończeniowych. Wymaluje oborę na glanc, musowo z olejnymi lamperiami.

— **Proszę pana, ja doszedłem do wniosku, że w gospodarstwie specjalistycznym, wysoko zmechanizowanym, można sobie nawet pozwolić na urlop. Ostatnio byłem na 10-dniowym kursie szkoleniowo-wypoczynkowym...**

— A dlaczego, skoro jest tak dobrze, jeszcze niewielu rolników bierze się z takim rozmachem do unowocześniania gospodarstwa?

— **Bo to sprawka ojca** — uprzedza syna Kłosowa. — **On tak zawsze parł do przodu i poganiał Heńka.**

— **Na pewno** — śmieje się Heniek — **Nie zawsze istnieje zgodność i zrozumienie między ojcem i synem. Przeważnie ojciec krzywo patrzy na modernizację. Ale nie w tym rzecz. Ludzie boją się nie tyle ryzyka, co roboty. Boją się też kredytów. A niech pan weźmie choćby pod uwagę ten mój mały ciągnik. On mi się wypłacił już podczas budowy. Pan wie, ile ja bym wybulił za sam żwir, gdybym nie woził go sam? Jedna przyczepa żwiru kosztuje 500 złotych... Trzeba wierzyć w to, co się robi. I nie przejmować się trudnościami. Jak nie było cegły na przydział, to kupowałem prywatnie, po wyższych cenach. A co, jałówki miały stać na deszczu? Więcej bym stracił niż dopłaciłem za cegłę...**

Henryk Kłos wziął od ojca gospodarstwo w dobrym stanie, zadbane i rentowne. Podniósł je do rangi pierwszorzędnej firmy i teraz najmłodszy z Kłosów, ten co jeszcze bryka w łóżeczku, jeśli tylko zechce, może wziąć kiedyś piękną i bogatą schedę.

Prababcia, która ma 84 lata, mówi zgaszonym głosem:

— **Teraz, panie, trzeba tylko liczyć na własne siły. Kiedyś ludzie mieli więcej czasu i bardziej sobie mogli pomagać. Żal mi tylko, że przez tę mgłę, co mi wchodzi w oczy, nie mogę obejrzeć dobrze tego nowego. Ale szczęść im Boże, tym młodym, niech budują...**

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: Archiwum

KSIĄŻKA

Sznurowadła z rzemienia

„Kiedy miałem lat dziewięć, byłem przekonany, że mężczyzna musi mieć rzemienne sznurowadła do butów. Później kryteria znacznie się zmieniły, ale coś z dzieciństwa wlecze się za człowiekiem przez całe życie. Jedną z ulubionych moich zabaw jest śledzenie, gdzie komuś pozostały jego rzemienne sznurowadła i znalezienie ich u osób poważnych i szacownych wprawia mnie zwykle w nieopisaną radość". Tak pisze Andrzej Wilczkowski w ostatniej swej książce, poświęconej wyprawie ośmiu łódzkich alpinistów w góry Etiopii na przełomie lat 1968/69.

Alpinizm i rzemienne sznurowadła? A jednak fragment ten pozwala na zrozumienie tytułu książki. Ludziom biorącym udział w wyprawie do Etiopii wypadło bowiem zderzyć własne wyobrażenia o Afryce, zaczerpnięte z dziecięcych lektur czy turystycznych folderów, z rzeczywistością nowych układów administracyjnych, obcej kultury, złożonej sytuacji politycznej. „Cała moja etiopska przygoda pogłębiona jest o te podobieństwa do młodzieńczych marzeń rozpiętych pomiędzy Dzikim Zachodem i Dzikimi Polami" — mówi autor, pokazując zarazem, jak ów mit Afryki pełnej drapieżnych zwierząt i śpiewających piasków ulega stopniowemu rozbiciu. Śmierć — u zarania wyprawy — jednego z jej uczestników, to przykład zburzenia mitu najbardziej dramatyczny. Zbigniew Kaliniewicz „Kali", człowiek o fantazji barona Münchhausena, który marzył, by podróżować po Afryce na motocyklu, ginie w sposób absurdalny. Zrezygnowawszy z asekuracji, spada z jadącego wyładowanego samochodu. Jego śmierć jest zaprzeczeniem potocznych wyobrażeń na temat niebezpieczeństw — i istoty — alpinizmu; śmiem twierdzić, że cała opowieść Wilczkowskiego zaprzecza tego typu wyobrażeniom.

Jeśli przyjąć, że głównym celem przedsięwzięcia była penetracja rejonów górskich Etiopii i zbadanie amb, formacji skalnych, na których mieściło się więzienie dawnych władców tego kraju — to opis tak rozumianej wyprawy zaczyna się dopiero w połowie książki. To, co współtworzyło sens wyprawy, rozpoczęło się, zdaniem autora, znacznie wcześniej — w porcie w Aleksandrii, gdy od Etiopii dzieliły jeszcze: Egipt i Sudan, gdy równie ważne jak w przyszłości szczyt Enkuolo i Amba Wahni okazało się uzyskanie pozwolenia na wjazd do Kairu lub na przejazd samochodem przez Sudan. Ówczesny stan napięcia wojennego w trzech państwach afrykańskich wydatnie sprzyjał rozbijaniu mitu dziecięcej Afryki...

Wilczkowski potrafi doskonale opowiadać o tej wielowymiarowej egzotyce, w której mieszcza się kontakty z historyczną cywilizacją, nowe obyczaje i kultywujący je ludzie. Opowiada z dystansem leciutkiej ironii, dając taką np. „uwagę socjologiczną": „Na podstawie zebranych informacji i obserwacji doszedłem wcześniej do wniosku, że w Etiopii można spotkać trzy wyróżniki rangi społecznej. Pierwszy, najniższy, to parasol (...). Symbolami władzy są: karabin i kitka do oganiania much. Oczywiście pierwszy z nich wyróżnia dowódcę, drugi urzędnika lub intelektualistę. Wiadomo bowiem, że człowiek pisząc siedzi bez ruchu i wówczas gryzą go muchy". Dystans także wobec własnego sposobu mówienia pozwala autorowi ustrzec się banału. Niekiedy jednak Wilczkowski zdaje się nie ufać czytelnikowi, że ten jest zdolny do samodzielnego stawiania kropek nad „i". Wówczas wyręcza go w tej czynności, dając rozważania o czasie, o szczęściu, o względności tego, co egzotyczne. Również zamysł wtopienia informacji historyczno-geograficznych do tekstu głównego nie zawsze odbija się korzystnie na partiach dialogów. W miejsce opowieści otrzymujemy wtedy rozpisane na głosy fragmenty jak z encyklopedii lub wykładu uniwersyteckiego.

W sumie jednak Wilczkowski daje w „Każdemu według marzeń" odpowiedź dotyczącą motywacji i sensu swej życiowej pasji. Jest to odpowiedź równie własna (choć o innej treści i nie tak lapidarna), jak słynne zdanie Mallory'ego: chodzę po górach, ponieważ istnieją.

GRAŻYNA SZYMCZYK

Andrzej Wilczkowski — „Każdemu według marzeń", Wydawnictwo Łódzkie 1978.

FILM

IDEA I RZECZYWISTOŚĆ

Kolejny film Bohdana Poręby „Gdzie woda czysta i trawa zielona" jest kontynuacją tematyki i sposobu rozliczania się z problemami istotnymi dla współczesności i historii, zapoczątkowanymi przez „Hubala", a rozwijanymi w „Jarosławie Dąbrowskim". Tematy poruszane w tych filmach nie wymagają uzasadnienia i sąd o nich, jaki twórca przedstawił jest łatwy do odczytania z nich samych. Bardziej interesujące wydają się przesłanki decydujące o zastosowaniu określonej poetyki dzieł, konstrukcji świata i bohaterów w filmach.

Analizując filmy Poręby trzeba zwrócić uwagę przede wszystkim na nastawienie publicystyczne (o którym mówi także sam reżyser), określające podział bohaterów na postacie z gruntu pozytywne oraz wzbudzające całkowitą niechęć u widza. W „Gdzie woda czysta i trawa zielona" podział ten wygląda następująco: postacie zdecydowanie pozytywne, budzące sympatię to młody sekretarz partii, stary działacz od lat walczący o sprawiedliwość w mieście z kliką prezesa, nauczycielka Domańska, jej następczyni w szkole — żona sekretarza, architekt Szymańska oraz inne postacie o mniejszym znaczeniu w akcji filmu. Z drugiej strony postacie w sposób wyraźny szkodliwe i antypatyczne: prezes, jego totumfacki — kierownik prac przy odbudowie zamku, dyrekcja domu dziecka, były dyrektor odbudowy później umieszczony na kierowniczym stanowisku w zakładach metalowych oraz kombinatorzy popełniający nadużycia przy robotach budowlanych. Pozostaje jeszcze jedna grupa postaci filmowych — są to robotnicy i anonimowi mieszkańcy miasta. Próba przykładania do nich cech pozytywnych lub negatywnych nie ma sensu. Są oni po prostu instancją odwoławczą, punktem odniesienia, wobec którego określają się postaci pierwszo- i drugoplanowe. W filmie Bohdana Poręby wszystkie wymienione grupy otrzymują potwierdzenie ich roli w akcji poprzez przydanie im charakterystycznych, określonych konwencją cech wizualnych. Z takiego sposobu uformowania bohaterów wynika w rezultacie konstrukcja rzeczywistości. Świat budowany w filmie jest jasny i wyraźnie określony — nie budzi wątpliwości. Akcja zbudowana jest z sytuacji klarownych i wywołujących określone reakcje widzów. Poręba nie pozostawia nigdy jakichkolwiek marginesów na niedopowiedzenie, w każdej sytuacji rozgraniczone są wyraźnie racje poszczególnych postaw. Mechanizmy identyfikacji działają tu ze szczególną siłą. Twórca bardzo często doprowadza sytuacje do ekstremum po to, by zło, jakie powoduje działalność kliki kumulowała się w naszej świadomości pod postacią niezgody na niesprawiedliwość także wówczas, gdy opuszczamy kino. Postępki kliki obracają się przede wszystkim przeciwko szlachetnym, dzieciom i zasłużonym starcom. Dwie sceny z filmu są tu szczególnie charakterystyczne: moment zawalenia się rekonstruowanej budowli i obrazy sytuacji dzieci w domu dziecka.

Najistotniejsze jest bowiem, że takie uformowanie rzeczywistości w „Gdzie woda czysta i trawa zielona" pozwala reżyserowi na odpowiadające jej wyprowadzenie słusznych wniosków o prawidłowościach wynikających z problemów, jakie stwarza sprawowanie władzy. „Mój najnowszy film jest po prostu zbiorem przemyśleń na temat problemów, które obchodzą nas wszystkich, a które znajdują się na styku spraw władza — obywatel". Oczywiste jest, że wnioski te zawierają się w znacznym stopniu w sferze postulatów: „Starałem się w tym obrazie zająć kwestiami etyki partyjnej, zgodności litery z codzienną praktyką". Człowiek sprawujący władzę bardziej niż ktokolwiek inny narażony jest na doświadczenie faktu, jak rzeczywistość nie poddaje się łatwo oddziaływaniu idei. Prawdą jest — jak mówi bohater filmu — że życie ludzkie rozlicza się za czyny; dodajmy: za słowa — wytwór sztuki. Ideologia jednak sprawdza się w realnym, wymiernym działaniu; także nie wówczas, gdy jest jedynie tekstem. Film udowadnia te prawdy w sposób szczególnie wyraźny. Sekretarz w kulminacyjnej scenie filmu musi odpowiadać nie za to co chciał zrobić, i za to, co zdziałał, ale również za to, czego nie dokonał, nie przewidział, nie zauważył. Człowiek całkowicie zaangażowany w to, co robi — odpowiadał za to, że jego wizja świata nie była zgodna z rzeczywistością. I pozostawało obojętne do pewnego momentu, czy powstawała ona w wyniku jego złej woli, czy otaczających go ludzi. „Ślepi nie powinni rządzić" — to zdanie wypowiedziane przez jedną z postaci filmu można przenieść także na wszystkich, którzy realizując w swej działalności najsłuszniejszą choćby ideę, nie pytają o rezultaty swej działalności tych, których ona dotyczy — zadowalając się usłużną działalnością zawodowych sprawozdawców. Oczywiście są także tacy, którym zależy na tym, by wymyślić rzeczywistość na potrzeby idei. W filmie Poręby zawarta jest głęboka wiara, że woda jest czysta a trawa zielona, a jeżeli czasem jest inaczej, to właśnie rola zaangażowanego dzieła polega na tym, by pomagać taką rzeczywistość tworzyć.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa: nie zawsze najlepsze aktorstwo w filmie (z wyjątkiem Tadeusza Borowskiego — odtwórcy głównej roli) stoi w sprzeczności z wagą poruszanych w nim problemów.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

JĘZYK

JAK MÓWIĄ ŁODZIANIE?

Z doc. dr habil. MARIĄ KAMIŃSKĄ z Zakładu Historii Języka Polskiego i Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Łódzkiego rozmawia Tomasz Soldenhoff.

— Od wielu lat zajmuje się Pani badaniem skomplikowanej językowo środkowej Polski. Plonem tych prac jest wydana w 1968 roku monografia „Gwary Polski centralnej". Skąd zainteresowanie właśnie tym terytorium?

— Ponad 10 lat temu, gdy rozważano plany budowy Bełchatowskiego Okręgu Przemysłowego, na Uniwersytecie Łódzkim zrodziła się inicjatywa przebadania tego regionu przez przedstawicieli różnych dyscyplin. Mnie powierzono badania nad językiem Sieradzkiego. Prace prof. Zdzisława Stiebera z 1930 roku stworzyły podstawę do porównań, do stwierdzenia kierunku ewolucji tych gwar.

— Czy może Pani scharakteryzować założenia swej pracy?

— Najpilniejszym zadaniem było wówczas utrwalenie archaicznego stanu języka na tym terenie oraz powiązań z Małopolską i Wielkopolską. Praca miała charakter historyczny, sięgałam do źródeł miejscowych, ksiąg miejskich i wójtowskich z XVI i XVII w.

— Jakie zatem czynniki miały wpływ na kształtowanie się gwar łęczycko-sieradzkich?

— Przede wszystkim ruchy migracyjne, zwłaszcza w celach zarobkowych, dojazdy do pracy w wielkich miastach. Ciekawe, że wsie bogate, prowadzące wyspecjalizowaną gospodarkę, zachowują niekiedy jednak gwarę. Myślę tu np. o „zagłębiu chrzanowym" w okolicach Pajęczna.

— Ziemia łęczycko-sieradzka, którą objęły Pani prace, podsumowane we wspomnianej już książce, jest pod względem geograficznym krainą przejściową.

— Nie tylko pod tym względem. Również — językowo.

— Co to w rzeczywistości oznacza?

— Brak własnych cech wyróżniających, rażących dialektyzmów. Gwary te wchłonęły w siebie wiele właściwości z terenów pogranicznych. Gdyby wcześniej nie wykształcił się w Polsce język literacki, łęczycko-sieradzkie stanowiłoby dla niego idealną podstawę naturalną. Przejściowość tych gwar nie wyklucza jednak istnienia tu ciekawych, archaicznych form.

— Czy badania nad terytorium dawnego województwa łódzkiego można uznać już za zamknięte?

— Profesor Karol Dejna opracowuje materiały do słownika gwar kieleckich i łódzkich. Na opis czeka język małych miast od Bełchatowa i Łasku poczynając, a także osad dawniej miejskich, potem zdegradowanych do rzędu wsi — jak np. Grocholice.

— Prace te należą jeszcze do tego działu nauki o języku, który tradycyjnie określa się „dialektologią". Badając zróżnicowanie terytorialne języka narodowego, cechy i zasięgi jego dialektów oraz gwar, ogranicza się ona wszakże do języka wsi?

— Tak, ale ostatnio pojawia się coraz więcej prac, których przedmiotem jest również polszczyzna mówiona miast...

— To znaczy, gwary miejskiej, którą dotąd uznawano raczej za marginesową odmianę języka ogólnonarodowego?

— U nas często kojarzy się pojęcie gwary w ogóle z pojęciem skażonego, zepsutego języka. Tak, jakby język literacki był tworem wcześniejszym od gwar, gdy tymczasem jest odwrotnie. Mówiąc o gwarze miejskiej myli się rozmaite pojęcia: Wiech, slang, wreszcie żargon przestępców.

— Są to może najbardziej „popularne" przykłady „gwar miejskich". Czy jednak sam termin „gwara" jest tu odpowiedni? Nieraz zauważałem, że budzi on różne skojarzenia negatywne...

— Tymczasem posługujemy się roboczym określeniem „polszczyzna mówiona w miastach". Jest ono może niezgrabne, ale pojemne i nie nacechowane emocjonalnie. Termin „gwara" pozostawiamy dla mowy, jaką posługuje się ludność chłopska.

— Od jak dawna prowadzi się u nas badania polszczyzny miast?

— Najstarsze publikacje zainicjowane przez Kazimierza Nitscha dotyczyły różnic słownikarskich — jak się wtedy mówiło. Potem Bronisław Wieczorkiewicz badał język Warszawy. Obecnie, gdy badania filologiczne i dialektologia osiągnęły w Polsce dość wysoki poziom, trzeba się było wziąć za zaniedbany dotąd język miast. Sprzyja temu swego rodzaju „moda" na socjolingwistykę.

— Jakie są „znaki szczególne" socjolingwisty?

— Pamięta on o tezie „ojca językoznawstwa" Ferdynanda de Saussure'a, że język jest wytworem społecznym. Toteż uwzględnia on w swych badaniach wszelkie zróżnicowania środowiska. Na wsi sytuacja jest bardziej jasna niż w mieście: tam mamy do czynienia ze środowiskiem mniej więcej jednolitym.

— Jakie są wyniki tych badań?

— Dopiero w 1974 roku odbyła się pierwsza konferencja naukowa poświęcona badaniu miejskiej polszczyzny mówionej. Ujawniły się tam różnice w założeniach metodologicznych. Wysunięto postulat skupienia się na języku wielkich aglomeracji miejskich. Studia te są więc jeszcze w początkowej fazie, choć wreszcie mają charakter zespołowy i metodyczny. Wyniki, z wyjątkiem Warszawy nie były publikowane. Trudno więc o szersze wnioski.

— A od jak dawna datuje się zainteresowanie naukowe polszczyzną mówioną Łodzi?

— Raz jeszcze trzeba wspomnieć nazwisko prof. Stiebera. Jego artykuł o wymowie łódzkiej inteligencji pokazał, że mimo sąsiedztwa Warszawy i silnego wpływu jej języka na cały kraj, rodowici łodzianie mają wymowę bliższą... krakowskiej, niż warszawskiej. Stąd np. powszechna w Łodzi wymowa „idom drogom".

— Czy ktoś w Łodzi mówi jeszcze gwarą?

— Najwięcej osobliwości można znaleźć w języku części niewykształconej społeczeństwa, starszych, zasiedziałych łodzian pochodzenia wiejskiego.

— A więc dobór cennego dla badań informatora nie może być kwestią przypadku?

— Nie tylko życiorys, kontakty zawodowe, wykształcenie, ale nawet miejsce zamieszkania czasem ma dużą wagę.

— Czyżby język łodzian różnicował się terytorialnie?

— Jest różny w różnych dzielnicach. Na przykład łatwiej spotkać gwarową wymowę typu: „na rękak" „zdrzódło" u starszego łodzianina z Chojen czy Dąbrowy, niż z Bałut. W wymienionej ostatnio dzielnicy więcej było przybyszów z Łęczyckiego z wymową typu: „rękamy", „nogamy", „piyrsi", „syrce".

— Skąd się wzięły te różnice?

— Wiadomo już, że zwiększanie aglomeracji łódzkiej odbywało się spontanicznie, rozmaitymi drogami. Struktura demograficzna Łodzi jest więc dziś skomplikowana. Ludzie osiedlali się zazwyczaj tam, gdzie im z rodzinnych wsi było najbliżej. Południe Łodzi zasiedlili przybysze z okolic Rzgowa, Piotrkowa i Pabianic, na północy zamieszkali chłopi z Łęczyckiego. Widzew przyjął mieszkańców Śląska, Prus, nawet Austrii. Na gruncie lokalnych środowisk zachowały się nieźle odrębności gwarowe. O tym zróżnicowaniu w badaniach języka nie zapominamy.

— Czy można zatem, odwołując się do Pani wcześniejszych doświadczeń dialektologicznych, zapytać o rodzaj wpływów tak otoczenia gwarowego miasta, jak i wiejskiego pochodzenia ludności na jej polszczyznę mówioną?

— Naturalną podstawą polszczyzny łódzkiej są gwary łęczycko-sieradzkie. Spotkać można do dziś wielu ludzi mieszkających pół wieku w Łodzi, którzy na co dzień mówią gwarą „copka", „ziaba", „śklanka", „chto", „redzić" itp. Nie ma więc ścisłego związku między czasem przebywania w mieście, a przyswajaniem sobie norm języka literackiego. Łódzkie wielkie hale fabryczne sprzyjają zachowaniu cech gwarowych. Stąd utrzymujące się w polszczyźnie mówionej łodzian przypadki wymowy typu: „cimno", „kobita", „zymby", „wzion" „stojał", „bojał" itp. Zestawienie wypowiedzi robotników i tramwajarzy wykazało, że w języku tych ostatnich, częściej obcujących z językiem literackim, jest dużo mniej ludowych reliktów. Imigranci najświeższej daty, np. dozorcy bloków w nowych osiedlach, z większą łatwością niż dawni łodzianie, pozbywają się dialektyzmów. Często uparcie „popisują się" znajomością języka miejskiego, dokumentując w ten sposób brak kontaktu z rodzinną wsią...

— Co spowodowało jednak obecność tak wielu trwałych właściwości gwarowych w polszczyźnie mówionej łodzian?

— Łódź nie miała własnych, bogatych tradycji miejskich. Do pocz. XIX wieku osada rytmem życia przypominała wieś. Inteligencja była nieliczna, toteż nie oddziałała silniej na kształtujący się język. Te młode tradycje kulturalne są czynnikiem opóźniającym szerzenie się norm literackich.

— U ludzi, których mowa macierzystą jest gwara ludowa czy podmiejska, proces przyswajania norm języka literackiego stwarza zapewne jakieś trudności, to przestawianie się nie odbywa się chyba bez błędów?

— Błędy są zupełnie naturalne, szczególnie u ludzi, u których nabywanie języka literackiego odbywa się poza systematycznym kształceniem w szkole. Nie są to jednak typowe błędy gramatyczne, ale przede wszystkim stylistyczne. Poprawności stylu trudniej się nauczyć. Skomplikowane konstrukcje i zwroty języka literackiego, nie rozumiane umieszczane są w niewłaściwym kontekście. Tak jest np. ze znanymi z telewizji i gazet zwrotami, stąd choćby: „stopa życiowa poszła mi więcej do góry", „papierzysków w lesie po odpuście było co do joty". Wyrazów obcego pochodzenia używa się chętniej, ale niezgodnie z ich zakresem np. „Kalkulację mam taką, że ubieram się ciepło", „Nie ma kompetencji do gazu", tj. „nie umie włączyć maszynki gazowej". Wbrew woli mówiącego pojawia się efekt humorystyczny.

— Zdarza się to też dzieciom i obcokrajowcom, zmagającym się z przyswojeniem niestabilnych norm stylistycznych. Oprócz jednak podstawy dialektycznej można się chyba spodziewać w polszczyźnie Łodzi również śladów wpływów obcych?

— Oczywiście. Wpływom tym sprzyjał fakt, że cudzoziemcy osadzali się w Łodzi w zwartych skupiskach. Obok języka niemieckiego oddziaływał język rosyjski i jidysz.

— Przygotowując się do naszej rozmowy wyobrażałem sobie, że jej wynik doprowadzi do najogólniejszej chociaż próby określenia „języka łódzkiego".

— Tak postawiony cel zakłada możliwość istnienia jakiegoś jednolitego, zintegrowanego, odrębnego od otaczających dialektów ludowych i od języka ogólnonarodowego, systemu językowego. Ale chociaż badania nad polszczyzną Łodzi nie są jeszcze zbyt zaawansowane, to już teraz jednak można powiedzieć, że taki odrębny dla całego miasta język się nie wykształcił. Cechą charakterystyczną łódzkiej polszczyzny jest więc... brak charakterystycznych cech. Właściwości dialektyczne różnego pochodzenia wymieszały się tu dokładnie, tworząc typ przejściowy polszczyzny. Najbardziej rażące dialektyzmy zaniknęły, inne utrudniają integrację albo prowadzą ją w zgoła nieoczekiwanym kierunku: przenikają do języka inteligencji. Tak jest np. z wymową typu: „idom drogom", „łokno", „łoko".

— Czy wobec tego rejestruje się w Łodzi różne odmianki tej polszczyzny?

— Naturalnie, a zróżnicowanie odmian wiąże się ze zróżnicowaniem środowisk zawodowych. Inaczej mówią robotnicy, rzemieślnicy, drobni sprzedawcy. Badamy w tej chwili język właśnie tych grup.

— Językoznawca łapie życie „na gorąco", śledzi i zapisuje ulotne zmiany języka, który jest zjawiskiem płynnym, w ciągłym ruchu i rozwoju. Fakty języka analizuje w społecznym kontekście. Szukając materiału na bazarach i ulicach, zapuszcza się często w sprawy tzw. marginesu. Jego stosunek do polszczyzny mówionej przypomina stosunek reportera do rzeczywistości. Na jednym z warszawskich przedmieść zdarzył się nawet wypadek pobicia magistranta-językoznawcy. Nie ukrywał notatek, wzięto go za „kapusia". Jakie zatem musi być przygotowanie nowoczesnego dialektologa? — nie myślę, rzecz jasna, o nauce judo czy boksu.

— Wiadomości z dziedziny etnografii czy historii miasta ułatwiają niewątpliwie kontakt z informatorem. Gdy wywołujemy pewne skojarzenia, prosimy o naświetlenie historycznych faktów lub opisanie zwyczajów. Przy okazji możemy zapisać ciekawe zjawiska językowe np. „wygry" — loteria fantowa w Łodzi, „inkluz" — psotny lub dobrotliwy duszek, „szynki" — szyny tramwajowe.

— Prócz żywych źródeł wiedzy o języku miasta sporą rolę ma chyba literatura? Trudno bowiem odmówić znaczenia choćby „Kronikom" Prusa w poznaniu i utrwalaniu języka dawnej Warszawy. Czy literatura i prasa łódzka jest również przedmiotem badań?

— W tym zakresie zrobiono bardzo niewiele. Łódzkie czasopisma nie były dotychczas uwzględniane w centralnych badaniach prasoznawczych. W Łodzi przedmiotem jednej z prac był styl językowy Stanisława Czernika. Okazało się, że choć głosił on hasło autentyzmu, interesował się regionem łódzkim — niewiele regionalizmów językowych z Łódzkiego wykorzystał w poezji. Zaczynamy badać również łódzką prasę, poczynając od nagłówków łódzkiego „Expressu"...

— Z językiem mówionym wiąża się również zagadnienia poprawności, wciąż ważne. Wiemy już sporo, a obecne badania z pewnością niedługo przyniosą więcej konkretnej wiedzy, jakim językiem mówią łodzianie. Ale nie wiemy jeszcze jak mówią?

— Bardzo wyraźnie uderza brak troski łodzian o piękno języka. Szkoły, instytucje oświatowe, nie mówiąc już o placówkach usługowych, tolerują żargon i niechlujstwo językowe. Prace łódzkiego oddziału Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego nie zainteresowały poważnie nawet nauczycieli. Na odczytach i dyskusjach frekwencja jest znikoma. Młodzież zaczyna interesować się językiem dopiero na studiach. Nie dziwię się, że nawet do ciekawych badań polszczyzny mówionej studenci biorą się niechętnie.

— Jakie są najbliższe plany i perspektywy tych badań?

— Od 1976 roku prace finansuje PAN w ramach organizacyjnych objętych wspólnym planem i funduszem badań międzyresortowych. Oprócz pracowników naszego zakładu włączani są do badań także chętni studenci. Skupimy się na polszczyźnie pracowników wielkich łódzkich zakładów przemysłowych. Chcemy przygotować monografię poświęconą polszczyźnie ludzi, których łączy wspólnota miejsca pracy, nie zamieszkania. Rozmach prac krępuje skromna baza techniczna, brak magnetofonów niezbędnych w pracy terenowej. Nadal nie mamy mecenasa dla planowanej przez Zakład Historii Języka Polskiego i Filologii Słowiańskiej antologii tekstów w polszczyźnie mówionej Łodzi.

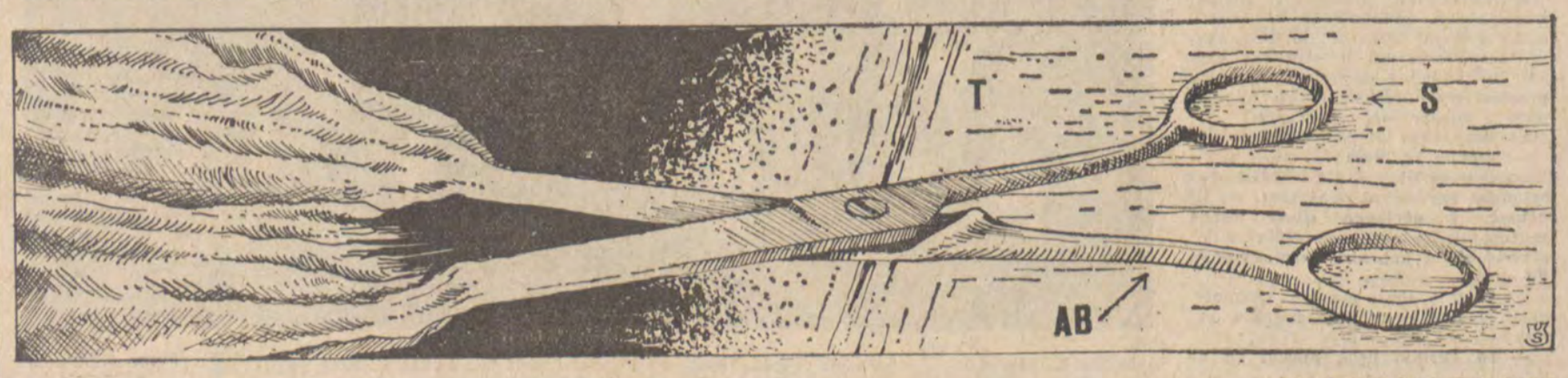

Rys. Janusz Szymański Glanc

POLITYKA

TEORIA I PRAKTYKA APARTHEIDU

— ...Biblię traktuję dosłownie. Jestem człowiekiem surowych zasad — powiedział Daniel Van der Merwe, deputowany z ramienia Partii Nacjonalistycznej w RPA przedstawicielowi tygodnika „The New York Times Magazine", Anthony Lewisowi — **można by je nazwać wiktoriańskimi. Jestem zwolennikiem religijnej dyscypliny, tak jak mój ojciec i dziad. Mój dziadek szanował czarnych. Ja również nie czuję do nich nienawiści...**

Francuscy hugonoci, holenderscy chłopi, niemieccy kupcy i rzemieślnicy przybywali na południe Afryki z Biblią w jednej ręce a sztucerem w drugiej. W większości byli to kalwini i kalwinizm legł u podstaw apartheidu. Jan Kalwin kształtując w XVI wieku swoją doktrynę religijną, podobnie jak Marcin Luter głosił nawrót do Biblii, wydobywając na plan pierwszy moralne nauki Chrystusa. Kalwinizm jest przede wszystkim religią moralizatorską. Jego celem jest wychowywać społeczeństwo w duchu chrześcijańskim, wychowywać nawet siłą.

Centralną myślą kalwinizmu jest nauka o predestynacji. Bóg z góry już przeznacza jednych ludzi do zbawienia, a drugich skazuje na potępienie. O zbawienie zatem nie trzeba się starać, nie trzeba na nie zasłużyć, trzeba żyć tylko zgodnie z nakazami religii. Stąd i surowość obyczajów, ale też stąd określony stosunek do innych ludzi, a szczególnie do pogan, o których wiadomo, że Bóg skazał ich na postępienie.

Na przełomie XV i XVI wieku właśnie w Holandii doszło do starcia w łonie kalwinizmu dwu różnych tendencji: liberalnej, negującej między innymi dogmat o predestynacji, i drugiej ortodoksyjnej. Zwyciężył kierunek ortodoksyjny i ten fakt znalazł później swoje odbicie w Południowej Afryce, w czasach kiedy kształtował się naród Afrykanerów, kiedy kształtowała się świadomość społeczna białych kolonizatorów.

W gminach kalwińskich źródłem wszelkiego autorytetu, źródłem natchnienia i wykładnia postępowania była Biblia. W Biblii, w Trzeciej Księdze Mojżeszowej jest werset, który głosi:

„A jeśli chcesz mieć własne sługi i służebnice, to masz je kupić spośród pogan, którzy was otaczają."

Burów otaczali czarni poganie. Kupować sług tu nie było potrzeby. Sługi po prostu brało się, nie traktując ich jak ludzi. Z przeznaczonymi na wieczne potępienie poganami nie było potrzeby cackania się. I nikt się z nimi nie cackał. Mordowano ich tysiącami.

Przybywali do Południowej Afryki prości purytańscy chłopi, rzemieślnicy, przybywali uciekający przed prześladowaniami francuscy hugonoci. Tu otwierały się przed nimi wielkie możliwości. Tu czuli się narodem uprzywilejowanym, narodem powołanym, który miał do spełnienia wielką misję, wziąć w chrześcijańskie władanie tę pogańską ziemię. Przybywali ludzie, jak to trafnie napisał hamburski „Der Spiegel", **„w których umysłach nie pozostawiły żadnego śladu ani Oświecenie, ani Rewolucja Francuska".** Ci ludzie trwali w izolacji, nie bardzo wiedząc, co dzieje się na świecie i nie bardzo się tym interesując. Biblia im wystarczała za wszystko, Biblia uczyła i rozpraszała wątpliwości, jeśli się takowe w ogóle pojawiały.

— ...Biblię traktuję dosłownie — mówi dziś Daniel Van der Merwe, deputowany, magister teologii i doktor antropologii. Uważa on poza tym:

— Obecność milionów czarnych ludzi w naszym kraju, który uważam za swoją ojczyznę, stwarza trudny do rozwiązania problem. Przybyliśmy na rozległe obszary Afryki, przynosząc miejscowej ludności wiele pożytecznych rzeczy. Doprowadziliśmy między innymi do zakończenia wojen międzyplemiennych. A oni przyszli do nas, bo chcieli pracować na naszych farmach. Przyjęliśmy ich, ale nigdy nie przypuszczaliśmy, że kiedyś będą brać udział w naszych rządach....

Słuchając tych słów można byłoby pomyśleć: idylla taka malutka... A rzeczywistość apartheidu jest zupełnie inna i daleka od idylli.

Niekiedy można spotkać się z poglądem, że apartheid zaczął się od 1948 roku. Istotnie politykę apartheidu ogłoszono w 1948 roku, ale narodziła się ona znacznie wcześniej. Już w **1836 roku** ojciec Theophilus Shepstone ogłosił teorię o konieczności „oddzielnego rozwoju", ale rozwijali ją i udoskonalali inni. Niemały wkład miał tu inny misjonarz, wykształcony w Hamburgu i Berlinie, Werner W. Max Eiselen. On to między innymi wysunął koncepcję tworzenia „homelandów", obszarów przeznaczonych wyłącznie do zamieszkiwania przez Afrykanów. Było to dalsze pogłębienie teorii o „oddzielnym rozwoju", według której każda z ras — biała i czarna — powinna rozwijać się wedle innych praw, zasad, rozdzielona nawet terytorialnie.

Zasadę tę dokładnie i precyzyjnie sformułował jeszcze inny misjonarz, ojciec Charles Bourquin, który w 1902 roku napisał:

„Całą Południową Afrykę należy podzielić na obszary — jedne zamieszkane całkowicie przez białych i inne — tylko przez czarnych. Między obu rasami powinno być jak najmniej styczności".

I tak też się stało w Republice Południowej Afryki. Białym przypadło w udziale, czyli po prostu wzięli sobie, **86,3 procent całego obszaru**, a czarnym pozostawili resztę, czyli 13,7 procent terytorium, na którym ma mieszkać 18 milionów ludzi. Czarni na terytorium białych są traktowani jak „cudzoziemcy", „czasowo przebywający". Każdy Afrykanin, który ukończy 16 lat musi mieć przy sobie dowód tożsamości, jeśli przebywa na obszarze zarezerwowanym dla białych, musi mieć w tym dowodzie tożsamości odnawiany co miesiąc wpis z własnoręcznym podpisem właściciela zakładu pracy, w którym pracuje. Murzyn bez takiego ważnego dowodu tożsamości nie ma prawa przebywać na terenach przeznaczonych dla białych.

Apartheid nie wyraża się tylko tym, że są oddzielne ławki w parkach dla białych i dla czarnych, że są oddzielne windy, sklepy, kawiarnie, kina, autobusy i cała reszta, albo istnieje ona tylko dla białych, gdyż nie zawsze opłaca się budować czegoś specjalnego tylko dla czarnych. Apartheid sięga głębiej. Dzieli na przykład również pracę. Poszczególne zawody, poszczególne stanowiska, poszczególne kwalifikacje zarezerwowane są tylko dla białych. Również płace inne są dla białych i inne, kilkanaście razy mniejsze, dla czarnych.

Dla białych w RPA i Rodezji są prawa, dla czarnych zakazy i nakazy. W RPA na przykład działa Kongres Związków Zawodowych Afryki Południowej, ale należeć do związków zawodowych mogą tam tylko biali. Afrykanie zorganizowali dla siebie 22 związki zawodowe, które działają nielegalnie, chociaż już coraz częściej biali działacze związkowi, jak i biali przedsiębiorcy zmuszeni są podejmować nieoficjalne pertraktacje z czarnymi działaczami związkowymi.

Kiedy w 1922 roku w kopalniach Transwalu wybuchło powstanie robotnicze, było to powstanie białych robotników skierowane przeciw czarnym robotnikom, a odbywało się ono pod hasłem: **„Proletariusze wszystkich krajów łączcie się i walczcie o Południową Afrykę dla białych".** W 1926 roku w ówczesnej Unii Południowej Afryki wydano ustawę zakazującą Afrykanom piastowania w górnictwie jakichkolwiek prac wymagających kwalifikacji. Afrykanin mógł być tylko robotnikiem niewykwalifikowanym. Zasadę tę rozciągnięto na wiele innych dziedzin.

Sytuacja gospodarcza RPA, a przede wszystkim coraz silniej odczuwany brak rąk do pracy, zmusza władze do łamania tzw. Job Reservation, czyli do zatrudniania czarnych i kolorowych robotników na stanowiskach, które były do niedawna zarezerwowane tylko dla białych. Ale różnice w płacach nadal pozostały istotne. Sytuacja polityczna — izolacja RPA i Rodezji w Afryce, potępienie rasowej segregacji przez światową opinię publiczną — a także sytuacja gospodarcza — brak białej siły roboczej — zmusza władze obu krajów do pewnych ustępstw, mogących sugerować ewolucję apartheidu. Są to jednakże pozory. Drobne ustępstwa nie niwelują istoty apartheidu, nie zmniejszają różnic.

Jeden z Afrykanów powiedział na przykład korespondentowi „The New York Times Magazine" Anthony Lewisowi:

— Pod koniec dnia czarny kasjer na pewno zobaczy, że jego biały kolega wraca do solidnego, niedaleko od miejsca pracy położonego domu i że prowadzi tam dostatnie życie, podczas gdy on sam musi tłoczyć się w zapchanym pociągu do Soweto, gdzie mieszka w pomieszczeniu pozbawionym łazienki i elektryczności. Czy tak ma wyglądać recepta na zadowolenie z życia?

Foto: Archiwum

Stosunek ludności białej w RPA do kolorowej jest jak jeden do pięciu, ale dochód narodowy dzieli się inaczej. **Biała ludność bierze go trzy czwarte, kolorowa — jedną czwartą.** Nie jest to jednakże jedyny wyraz społecznej niesprawiedliwości, a tylko przykład na to, że apartheid obejmuje wszystkie dziedziny życia. Wynika bowiem z teorii o „osobnym rozwoju", a więc wszystko konsekwentnie musi być rozdzielone i to wedle praw jakie rządzą kolonializmem.

Od **roku 1923** w RPA Afrykanie pracujący jako służba domowa mogą mieszkać tylko w specjalnie wyznaczonych dzielnicach. Od **1925 roku** Afrykanie muszą płacić podatki i aby zarobić na nie muszą podejmować się pracy na każdych warunkach. Od **1927 roku** administracja państwowa RPA (wówczas jeszcze Unii Południowej Afryki) jest najwyższym sędzią wszystkich Afrykanów. Od **1950 roku** zdelegalizowaną jest Komunistyczna Partia Południowej Afryki, a władze RPA mogą aresztować każdą osobę pod zarzutem uprawiania komunizmu.

Teoretycy apartheidu komunizm rozumieją bardzo szeroko i widzą w nim przyczynę wszelkiego zła. Każde słowo krytyki, każde posądzenie o chęć dokonania zmian, podejrzenie o bunt można nazwać komunistycznym działaniem i poddać karze. Apartheid — jak faszyzm — jest programowo antykomunistyczny, bo też między apartheidem i faszyzmem występują nie tylko analogie, jest to inna forma tej samej idei i takiego samego działania. Budowane obecnie w Rodezji „wioski strategiczne" nie są wprawdzie dokładną kopią obozów koncentracyjnych hitlerowców, ale człowieka „szanuje się" tam w podobny sposób. Wieczorem do tych, którzy nie stosują się do przepisów i zarządzeń, policja otwiera ogień.

W czasie drugiej wojny światowej Unia PA nie miała zamiaru wystąpić u boku aliantów, przeciwnie znaczna większość białego społeczeństwa uparcie dążyła do udziału w wojnie po stronie Niemiec hitlerowskich. Anglii udało się zmusić władze Unii PA do wypowiedzenia wojny Niemcom. Powstała wówczas faszystowska organizacja młodzieżowa Ossewa-Brandwagen, która uprawiała sabotaż i prześladowała ludzi sprzyjających aliantom. Działaczem tej organizacji był między innymi obecny premier RPA Balthazar Vorster, który część wojny spędził z wieloma Niemcami w angielskich obozach dla internowanych.

Wojnę wygrali alianci, faszyzm został rozgromiony i zaczęto szukać nowych rozwiązań dla przyszłości świata. Wprawdzie jeszcze czekała Europę, Azję i Amerykę zimna i gorąca wojna, ale rozsądek polityczny coraz silniej bierze górę nad zacietrzewieniem i nietolerancją. W tym czasie na południu Afryki apartheid — szczególna forma faszyzmu — święci swój haniebny triumf i umacnia się. **Rok 1950 jest w RPA okresem ofensywy apartheidu.** Wtedy to i w latach następnych ustanawia się: **zakaz zawierania mieszanych małżeństw,** a wszystkie małżeństwa między białymi i czarnymi zostają unieważnione, ustanawia się **zasadę klasyfikacji rasowej** według stopnia koloru skóry, **zakaz mieszkania i przebywania** przedstawicieli jednej rasy na terytorium przeznaczonym dla drugiej, zasadę **pełnego rozdziału wszystkiego,** co przeznaczone jest dla ludzi, a więc biali i kolorowi muszą mieć wszystko osobne, na przykład granica między osobnymi plażami dla białych i czarnych sięga aż na 3 mile w głąb oceanu, z czego wynika, że również osobne morze jest dla białych i czarnych. Wprowadza się następnie **osobne służby zdrowia dla białych i czarnych,** a od 1955 roku personel białej służby zdrowia nie ma prawa udzielać pomocy czarnym. W RPA osobne są kościoły dla białych i czarnych, a od 1960 roku nie wolno wyświetlać w kinach filmów, w których stosunki między białymi i czarnymi byłyby inne niż w RPA. Nie wolno na przykład pokazywać walk bokserskich między przedstawicielami obu ras.

Cenzura w RPA dba nie tylko o przestrzeganie rozdziału ras w sztuce i kulturze, ale też dba o zachowanie czystości obyczajów na purytańską modłę. Nie należy bowiem zapominać, że religia legła u podstaw kształtowania się narodu Afrykanerów i religia, a ściślej Kościół Afrykanerów odgrywa nadal decydującą rolę. Wcale nie jest przypadkiem, że wśród teoretyków apartheidu było tylu misjonarzy i duchownych. Sobór Zreformowanego Kościoła Holenderskiego, panującego w RPA, nadal jest najwyższym autorytetem dla wszelkiej działalności Afrykanerów. W 1950 roku Sobór Zreformowanego Kościoła Holenderskiego ogłosił „Fundamentalne zasady chrześcijańskiej kalwińskiej nauki politycznej", w którym to dokumencie przypomniał, że **„Państwo jest stworzone przez Boga"** a **„Władza człowieka nad człowiekiem nie jest tworem ludzkim, ale darem Boga",** a więc nie może być zmieniona przez człowieka i nie może być przez niego zastąpiona inną władzą. Sobór tego Kościoła inicjuje i opiniuje wszelkie poczynania Partii Narodowo-Nacjonalistycznej, a jego decyzje nie podlegają dyskusji.

Od czasu, kiedy formowała się teoria i praktyka apartheidu, radykalnie zmieniła się Afryka. Wprawdzie proces dekolonializacji nie został jeszcze zakończony, wprawdzie narodził się neokolonializm, ale wiele krajów Afryki wstąpiło na drogę niepodległości i chce nadal na niej pozostać. Ta sytuacja zmusza i władze RPA do łagodzenia apartheidu, co jednak nie oznacza, że Afrykanerzy chcą z niego zrezygnować. Balthazar Vorster tak określił swoje zamierzenia w wywiadzie dla pisma „Time":

— Moja polityka prowadzi do tego, aby czarni mieli prawa głosu, których nigdy nie posiadali za poprzednich rządów. Jeśli chodzi o czarnych mieszkających w miastach, to jestem gotów dać im wszelkie możliwości działania w zakresie samorządu, rekreacji i spraw społecznych. Ale praw politycznych w strefach białych mieć nie będą. Te prawa będą mieć tylko we własnych „homelands".

Nie ma więc rezygnacji z apartheidu. Ale też i Afrykanie nie zrezygnują z walki o swoje prawa. To już jednak osobny temat.

Opracował:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

LISTY

FOLKLOR

Uprzejmie prosimy o sprostowanie artykułu red. Mirosława Kuźniaka zamieszczonego w „ODGŁOSACH" nr 15 (1009) z 10 kwietnia 1977 r. pt. „Jak polka „Mazur" przerodziła się w „Tramblankę". Niektóre wypowiedzi zamieszczone w tymże artykule po prostu obrażają naszą Spółdzielnię.

Po pierwsze — założycielka Spółdzielni „Opocznianka" nie żyjąca już od dwóch lat nie nazywa się Śmiejkowska lecz Janina Smykowska. Pracowała ona w Spółdzielni od jej założenia tj. od 1949 r. do ostatnich chwil swojego życia tj. do 1975 r., w tym 16 lat jako prezes Spółdzielni z ogromnym zaangażowaniem, znajomością i umiłowaniem folkloru opoczyńskiego. Jej zasługi dla rozwoju sztuki ludowej regionu opoczyńskiego są znane i ogromnie cenione o czym świadczy złota odznaka Zasłużonego Działacza Kultury nadana Jej przez Ministra Kultury i Sztuki oraz szereg innych odznaczeń państwowych łącznie z Krzyżem Kawalerskim.

Po drugie — Spółdzielnia „Opocznianka" zrobiła bardzo wiele dobrego swoim działaniem, ponieważ począwszy od swojego powstania kultywuje i rozwija sztukę ludową, która całkowicie zanikała. Szczególnie uwydatniło się to w okresie powojennym, kiedy wkroczył przemysł ze swoją produkcją i wieś pod względem ubiorów zaczęła upodabniać się do miasta.

Spółdzielnia „Opocznianka" wyszukiwała w okolicznych wsiach różne talenty wśród starszych kobiet, skupowała od nich ich wyroby regionalne w zakresie tkactwa, wycinanek, kraszanek, pająków, haftów zachęcając ich do dalszej twórczości. Wieś widząc, że te wyroby podobają się w mieście zaczęła tworzyć coraz więcej. Młode dziewczęta uczyły się sztuki ludowej od starszych kobiet i zgłaszały się do Spółdzielni.

Spółdzielnia ponadto urządzała i urządza do dziś konkursy otwarte na różnego rodzaju dyscypliny sztuki ludowej, nawet między innymi na przedmioty obrzędowe wraz z ich opisami, co przyniosło naprawdę ciekawe i bogate wyniki. Twórczynie za najlepsze prace otrzymują nagrody z Funduszu Twórczości Ludowej specjalnie na ten cel utworzonego przy Ministerstwie Kultury. Pochwała i nagroda to ogromna zachęta dla twórczyń, które coraz bardziej rozwijają swoje umiejętności i jednocześnie przekazują je młodszemu pokoleniu.

Spółdzielnia nie tylko nie „przytłumiła myśli oryginalniejszej fantazji i talentu chałupniczek", ale wręcz przeciwnie pobudziła do tworzenia z różnych dziedzin sztuki ludowej, poszerzyła krąg twórczyń ludowych. Koszule opoczyńskie do strojów ludowych haftują i szyją twórczynie ludowe według autentycznych wzorów. Tkaczki pracujące na krosnach ręcznych w zakładzie zwartym w Spółdzielni nie odrabiają produkcji na podstawie wzorów lecz same tworzą wzory i każda sztuka jest inna, niepowtarzalna.

Szkoda, że red. Mirosław Kuźniak oparł się na jednostronnych rozmowach z chałupniczką ze wsi Bielowice i wysnutych z tego nieprawidłowych wnioskach, nie konfrontując ich z naszą Spółdzielnią. Przeto zapraszamy Redaktora Kuźniaka do naszej Spółdzielni w celu poszerzenia swoich wiadomości o działalności naszej Spółdzielni w kierunku rozwoju oryginalnej sztuki ludowej.—

Zarząd Spółdzielni Pracy
Rękodzieła Ludowego i Artystycznego
„OPOCZNIANKA"

☆ ★ ☆

Na list Spółdzielni Pracy Rękodzieła Ludowego i Artystycznego „OPOCZNIANKA" chciałbym odpowiedzieć krótko.

Po pierwsze, reportaż „Jak polka „Mazur" przerodziła się w „Tramblankę" poświęciłem śpiewakom i tancerzom ze wsi Bielowice, a nie Spółdzielni „OPOCZNIANKA". Nigdy zresztą nie miałem tego zamiaru.

Po drugie, nie kwestionowałem w tekście ani zasług, ani osiągnięć nie żyjącej już pani Janiny Smykowskiej (przepraszam za przekręcenie nazwiska). Przeciwnie, wydaje mi się, że w reportażu przedstawiłem Jej postać z całą sympatią i życzliwością.

Po trzecie, gratuluję dobrego samopoczucia, co wynika ze stwierdzenia, że „Spółdzielnia „Opocznianka" zrobiła wiele dobrego swoim działaniem..." Owszem, tylko zależy od tego, z której strony na to popatrzeć. W moim przekonaniu praca wielu twórców ludowych coraz częściej upodabnia się do akordowej pracy w fabryce. Zgadzam się z tym, iż „Wieś widząc, że te wyroby podobają się w mieście zaczęła tworzyć coraz więcej". O to chodzi. Niestety.

Po czwarte, dziękuję za zaproszenie. Może bym i przyjechał, gdybym wcześniej nie przeczytał w „Życiu Gospodarczym" nader przekonywających mnie słów. Oto one:

„...Nie jest odpowiedzią na krytykę wzywanie dziennikarza do przyjazdu na miejsce, bo tam udostępnione mu będą materiały. Przyjęcie podobnej zasady byłoby pośrednim tłumieniem krytyki, gdyż często stanowiłoby stawianie dziennikarzy wobec fizycznej niemożliwości, krytykowanym zapewniając możliwość wymigania się od udzielenia wyjaśnień".

MIROSŁAW KUŹNIAK

PRZEORANIE ŚRÓDMIEŚCIA

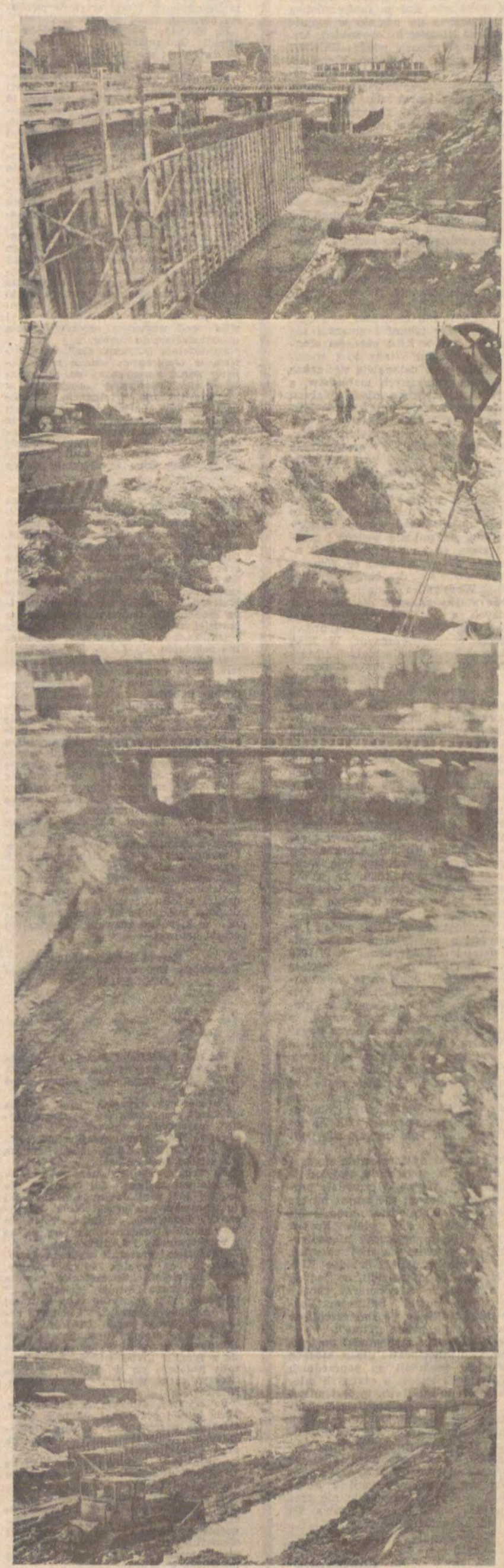

Fot. Wł. Parys.

Dalszy ciąg ze str. 1

niewielkie fabryczki. Była tam spółdzielnia, pod którą mężczyźni pili piwo z butelek oraz spółdzielenka, gdzie sprzedawali najlepsze warzywa w mieście. Było tam jakoś fajnie i pusto, czasem kociołbistą jezdnią przetoczył się wóz z krowami lub świniakami na platformie i zwierzaki płakały, bo czuły, że jadą do rzeźni, więc ucieszyłem się, kiedy pewnego dnia kilka wieprzów wypchnęło klapę i wyskoczyło z pędzącej ciężarówki na ulicę, rozbiegając się po bramach. Kierowca nic nie zauważył, ale zauważył jakiś motocyklista i — spełniając swój obywatelski obowiązek — dogonił rzeźny furgon. Zaraz też odbyła się wesoła łapanka, a mnie było smutno, co nie zmienia faktu, że na obiad zjadłem kotlet schabowy...

Ale najbardziej, skoro zaczęły się te wykopy, żal mi było Parku Poniatowskiego — górki, z której dzieciaki zjeżdżały kiedyś na sankach, trawników, na których latem opalały się paniusie w halkach, alejek i dróżek, po których chadzali emeryci z pieskami, no i tego wielkiego kamienia, który podobno został przeniesiony na Zdrowie. Głupie — niegłupie, żal mi było — i już! Tacy stuprocentowo mądrzy, nie ulegający żadnym sentymentom ludzie, są mi nienawistni. Z drugiej strony — nie przepadam również za kołtunami i ortodoksami. Człowiek po prostu musi mieć trochę czasu, żeby się przyzwyczaić, i jak park został już przeorany i okrojony ze wszystkich niemal stron (od Mickiewicza do Towarowej, od Towarowej, zakosem, po Świerczewskiego — niby tylko poszerzenie drogi, a przecież ogródek jordanowski ociera się teraz o krawężnik nowej ulicy, a kort tenisowy jest od niej zaledwie o dobry rzut kamieniem) zacząłem się powoli doszukiwać w nowym krajobrazie sensu i uroku. Wprawdzie mniej drzew, ale lepsza perspektywa. No i teren został zróżnicowany, coś jakby doliny i wzniesienia, a to bardzo upiększa miasto. No i, dzięki wyburzeniom przy Mickiewicza, widać teraz z głębi parku wszystkie nasze drapacze chmur przy Piotrkowskiej. Szosa sunie skrajem parku i zapada się nagle głęboko pod ziemię, pod zarysy wiaduktów i mostów. Mój krawiec mieszkający na Wólczańskiej przy Mickiewicza jest niespokojny i smutny, bo jego dom też jest przeznaczony do rozbiórki. Ano, dużo już ludzi przed nim opuściło swoje nie istniejące już domy przenosząc się do bloków i mieszkań zastępczych, klnąc nieraz, utyskując, bo zdarzały się przecież w tej akcji przesiedleńczej uchybienia, opóźnienia i gafy. Tym niemniej, jeśli pogadać z mieszkańcami dzielnicy i podpytać tych, co dzień w dzień kibicują robocie — wszyscy, podobnie jak ja, są już przekonani.

— Tutaj, panie, nie ma żartów!

— Tu się, panie, robi naprawdę coś wielkiego!

3

Kto nie chce, niech opuści ten fragment, ale godzi się chyba wymienić przedsiębiorstwa partycypujące w budowie.

Otóż inwestorem jest łódzki **Zarząd Dróg i Mostów**, a generalnym wykonawca — **Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych**, przemianowane ostatnio na **Kombinat Robót Drogowych**. Jest także kilkunastu podwykonawców:

1. Płockie Przedsiębiorstwo Robót Mostowych,

2. Szydłowieckie Zakłady Kamienia Budowlanego,

3. Miejskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego nr 3,

4. Miejskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego nr 1,

5. Miejskie Przedsiębiorstwo Wyrobów Budowlanych,

6. Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych,

7. Mazowieckie Zakłady Gazownictwa,

8. Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji,

9. Miejskie Przedsiębiorstwo Instalacyjne,

10. Wojewódzki Urząd Telekomunikacji,

11. Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Telekomunikacyjnych,

12. Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze,

13. Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Instalacyjno-Ciepłowniczych,

14. Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Wodno-Kanalizacyjnych,

15. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne.

Jan Dziadek, zastępca dyrektora i naczelny inżynier kombinatu, twierdzi, że na dobrą sprawę kooperantów jest znacznie więcej. Jedni pracują lepiej, drudzy gorzej — **Płockie Przedsiębiorstwo Robót Mostowych**, wielce zasłużone dla Łodzi i wielu rejonów kraju, troszkę jak gdyby niedomaga, a jest przecież głównym podwykonawcą budowy. Przypominam sobie czasy, kiedy płoccy mistrzowie pomagali stawiać wiadukt na Chojnach. Oni tam wówczas, betoniarze i zbrojarze, byli bohaterami budowy. Taki **Włodzimierz Ługowski**, cieśla zawołany, do dziś żyje we wspomnieniach niektórych starszych inżynierów.

— **Ano** — mówi Jan Dziadek, który z wieku jest inżynierem młodym — **Płock ma teraz w całej Polsce masę roboty i nie zawsze może skoncentrować się na sprawach łódzkich. To kazało nam wyręczać go w pewnych czynnościach. Siłą rzeczy my, jako kombinat, poszerzamy swoją specjalność o działalność mostową — przejścia dla pieszych przy ulicy Sienkiewicza i Targowej chcemy zrobić już we własnym zakresie, bez pomocy Płocka...**

Wtrącam:

— Będzie to chyba procentowało nie tylko w budowie trasy W-Z, ale również w przyszłości, przy budowie innych obiektów?

— Oczywiście.

— Czy obecnie, oprócz trasy, kombinat prowadzi jakieś inne roboty?

— I to w kilku punktach miasta. Normalnie realizujemy układ komunikacyjny wylotowy.

— W którym roku zakończy się budowa trasy?

— Całość, od Towarowej (obecnie Aleja Włókniarzy) do Wysokiej oddana zostanie (przy dużym skróceniu normatywnego cyklu realizacji) w roku 1979. Sprawiły to liczne zobowiązania i dyspozycje, w przeciwnym wypadku trwałoby to o dwa lata dłużej. Ten odcinek od Towarowej do Żeromskiego ukończymy przy odpowiednim przyspieszeniu jeszcze w końcu bieżącego roku, a więc również o wiele miesięcy wcześniej.

— Jak by pan najkrócej określił korzyści, które przyniesie miastu ta inwestycja?

— Zapewnienie równowagi komunikacyjnej, rozładowanie tłoku w centrum. Dotychczas były tylko trasy P-P, czyli Północ — Południe. Tam jeździ się już rzeczywiście szybko i wygodnie. Droga Wschód — Zachód połączy ponadto dwie trasy międzynarodowe: E-16 (Aleja Włókniarzy) i E-12 (Promińskiego — Kopcińskiego), co również usprawni naszą komunikację.

4

Na skraju parku przy Alei Włókniarzy jest tablica ze zdjęciami zasłużonych dla budowy pracowników. Śniegi i deszcze trochę te zdjęcia nadwerężyły, tak czy owak można jeszcze przeczytać, kto jest dobry:

Mieczysław Walicki i **Walenty Daczkowski** — brukarze z MPRD;

Alfred Wagner — mistrz budowy oraz **Stefan Popławski** — brygadzista; obaj z PPRM;

Artur Sznajder i **Henryk Grzybek** — brygadziści z MPRWK;

Józef Raźniewski i **Władysław Baczmasa** — brygadziści z MPRIEL.

A tych dwóch robotników w gumiakach...?

A ten operator koparki? Nie jest dobry...?

Już po szesnastej, plac budowy opustoszał, ludzie poszli do domów, zaszyli się w hotelach robotniczych, a on — młody, dwudziestoletni chłopak, nie pilnowany, nie ponaglany, nie wiedzący nawet, że ktokolwiek obserwuje jego prace — uwija się samotnie pośród zwałów ziemi. Tych dwóch, nieco starszych, ale równie sumiennych, pokrzykuje coś do niego, wymachując rękami, podczas gdy długi żuraw z zębatą paszczą spada drapieżnie w dół, gryzie mokrą, żółtawą ziemię, rwie do góry i na sygnał przenosi na brzeg skarpy.

Gdyby sięgnąć do wspomnień, bo to już przecież wspomnienia, kopią dokładnie tam, gdzie kiedyś krzyżowała się Żeromskiego i Mickiewicza. Dookoła widać typowy pejzaż budowlany — rury, cegły, gruzowiska, zwoje kabli i drutu, zielone budy, w których trzyma się papiery i narzędzia, a czasem także pije kawę i wtedy komuś z zewnątrz może się zdawać, że to cząstka cyrkowego taboru; [illegible] wyciętymi serduszkami stoją tam, gdzie kiedyś była dolinka; tu i ówdzie ociosane bryły kamienne; ciągniki, spychacze, bębny do mieszania cementu; wiele jeszcze innych rekwizytów, ale ani śladu człowieka, powtarzam: szesnasta trzydzieści, chłód nadciągającego zmierzchu, a ten, cholera! dwudziestoletni, w samej tylko czerwonej, grubej koszuli, tyra sobie a muzom, jak pianista, który ćwiczy po kryjomu przed konkursem.

Jeśli mam być szczery, całkiem szczery, to właśnie ten chłopak wywarł na mnie najmocniejsze wrażenie. Gdyby nie on, nie napisałbym chyba tego reportażu — same cyfry, choćby największe, same wizje, choćby najpiękniejsze — nie wystarczą, żeby polubić temat: potrzeba jeszcze wewnętrznego przekonania, entuzjazmu i romantyzmu, które towarzyszą wielkim budowom.

Przez szybę kabiny widziałem, jak zagryza wargi, poci się i denerwuje, i stojąc na nie wykończonym moście, w miejscu niedozwolonym, próbowałem dociec, co skłoniło go, no i tych dwóch, równie gorliwych, do tej ponadgodzinnej harówki.

Może ktoś zadał im karę? Może wczoraj nawalili w robocie, albo przeskrobali coś — wypili butelkę za węgłem, zwymyślali majstra, ochlapali błotem dyrektora? Ale kary nie odrabia się tak radośnie! Więc może podjęli zobowiązanie pierwszomajowe. Jednakże w ich gestach i ruchach nie było nic na pokaz — pracowali, po prostu pracowali — szybko, precyzyjnie, z pasją.

Zsunąłem się po skarpie na sam dół wykopu i zacząłem do nich podchodzić. Bardzo trudno się szło w półbutach, które grzęzły po deszczu w glinie, no i jeden z robotników zaczął odpędzać mnie z daleka ręką.

Sięgnąłem po legitymację prasową, ale nie znalazłem jej w kieszeni, tamten natomiast wskazał gniewnie tablicę:

UWAGA! GŁĘBOKIE WYKOPY — OSOBOM NIE ZATRUDNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

Uwierzyli mi chyba na słowo, ale czułem, że jestem intruzem i przeszkadzam im, zawadzam, wybijam ich z rytmu. Poza tym — czego ja właściwie od nich chcę? Zapamiętam ich. To wystarczy. To bardzo dużo. Będę wiedział, że dzięki ich serdecznemu trudowi ta trasa, te mosty i przejścia powstały nie tylko z rutyny, z potrzeby zarabiania, ale również z radości tworzenia.

5

Przy Żeromskiego będzie pierwsze w historii Łodzi dwupoziomowe skrzyżowanie drogowe (dotychczas były tylko skrzyżowania kolejowo-drogowe — górą tory, dołem szosa, lub odwrotnie). Dwustrumienna trasa szybkiego ruchu rwać będzie nie tylko prosto do Alei Włókniarzy, ale również, tuż przed Wytwórnią Filmową, otrzyma szeroki, łukowy skręt w poszerzoną ulicę Łąkową.

Przy skrzyżowaniu Mickiewicza i Żeromskiego będą dwa wiadukty drogowe, a w środku pomiędzy nimi — wiadukt tramwajowy. Nie będzie żadnych świateł sygnalizacyjnych, będą natomiast podziemne wejścia dla pieszych (trzy po jednej stronie, trzy po drugiej) oraz nadziemne kładki.

Sądzę, że łodzianie polubią ten fragment miasta, i że przyda on dzielnicy centralnej nowoczesnego wyglądu.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

WCZEŚNIAK

Dalszy ciąg ze str. 1

Zakłady Wyrobów Obiciowych „Vera" w Łodzi

Jeszcze niedawno karczowano drzewa pod fundamenty, jeszcze niedawno ludzie gubili gumowce w błocie, w którym grzęzły ciągniki i wywrotki, a dziś „Vera" pracuje pełną parą.

Budowę rozpoczęto w lipcu siedemdziesiątego trzeciego roku. Zgodnie z planem, zakładającym 38-miesięczny cyklu budowy, zakład podjął produkcję we wrześniu 1976 roku. W sierpniu 1977 roku fabryka ma osiągnąć docelową zdolność produkcyjną: **9 milionów metrów dzianin o wartości ponad miliarda ośmiuset milionów złotych.**

Wszystko więc niby zgodne z planem, zgodne z harmonogramem — okazuje się jednak, że „Vera", to najprawdziwszy wcześniak. Tak przynajmniej twierdzę. Niestety, chyba się nie mylę.

Wszyscy spieszyli się piekielnie

Budowa priorytetowa, na którą czeka przemysł i handel, cały kraj. Na ciasnej działce budowlanej, tak ciasnej, że aż dziwne, iż stanęła na niej tak potężna fabryka. Na ciasnej więc działce budowlanej przez wiele miesięcy spieszyli się — obok siebie, razem i z osobna, na wyścigi — robotnicy. Były ich setki. Tych budowlanych i tych fabrycznych, którzy musieli pracować obok siebie, jak najmniej przeszkadzając sobie nawzajem. Trwała bowiem budowa, a równocześnie prowadzono montaż i rozruch maszyn i urządzeń.

Trwała też jednocześnie ostra nauka. Tempo, tempo! Młoda załoga nie istniejącego wciąż jeszcze zakładu uczyła się najszybciej jak tylko można — nowych technologii, nowych maszyn, nowych surowców, uczyła się w końcu też siebie. Co trzeci z ludzi, zatrudnionych w „Verze" podejmował tu pierwszą w swoim życiu pracę. Średnia wieku 1.750-osobowej załogi nie przekracza dziś 30 lat, nawet szefowie, majstrowie, brygadziści, dyrektorzy, kierownicy — młodzi że pozazdrościć.

Właśnie tym ludziom — w większości młodym i niedoświadczonym — powierzono maszyny i urządzenia, reprezentujące najwyższy poziom światowej techniki: importowane z NRD RFN, USA, Szwecji i Włoch. Wyprodukowane przez najbardziej renomowane firmy świata. Nowoczesne i drogie: koszt inwestycji przekroczył 1.250 mln złotych, podczas gdy na wyposażenie fabryki poszło trzy czwarte tej sumy.

Farbiarnia przędzy i farbiarnia dzianin. Dziewiarnia z oddziałem przygotowawczym: przewijalnią i snowalnią. Wykończalnia i oddział konfekcyjny. Do tego magazyny i budynek socjalno-administracyjny z rozległą stołówką, z pięknym i dużym ambulatorium zakładowym, z obszerną salą konferencyjną i wystawienniczo-pokazowym hallem.

Wszystko to w bezbłędnie zakomponowanych bryłach architektonicznych, dających znakomity argument w dyskusji, czy budownictwo fabryczne musi być koniecznie brzydkie.

Masa szkła — całe ściany — mnóstwo drewna w parkietach i boazeriach, bogactwo wykładzin i dywanów, draperii i obić. Do takiego zakładu przyjemnie się wchodzi, przyjemnie się pewnie też pracuje. Zwłaszcza, że wyręcza człowieka w tej pracy wielka technika, od której laikowi w piersiach dech zapiera.

Inżynier **Bogdan Sumera** — zastępca dyrektora — który służy mi za przewodnika po zakładzie, ze szczerą satysfakcją kwituje moje bałwochwalcze zachwyty i okrzyki zdziwienia.

Dziwić się, rzeczywiście, jest czemu

chociażby — mądrym maszynom, zainstalowanym w niewielkich dwóch pokoikach. Komputerom, które sterują procesami farbiarskimi, zastępując pracę wielu, wielu ludzi.

Pod specjalną szybkę z pleksi zakłada się kartonową kartę, pocentkowaną tu i ówdzie równymi dziurkami i już całe ciągi maszyn, zainstalowanych w pobliskiej hali fabrycznej, wiedzą, „co mają robić". Komputerowa szafa jest tak zmyślna, że wtedy, kiedy trzeba, wzywa obsługę, kiedy znów tego wymaga konieczność, zatrzymuje maszyny. Zmyślna jest, ale i podstępna, bo do tego wszystkiego najnormalniej w świecie... donosi. Wystarczy, że pracownik obsługi nie pojawi się na jej wezwanie, bach, na perforowanej taśmie — w zamkniętej na klucz kasetce — odnotuje maszyna ten fakt. Jej to wystarczy, niech dalej martwią się szefowie.

Mądrych maszyn jest tu więcej. Automatyka na każdym kroku. Ludzie z „Very" nie pracują na maszynach, oni je po prostu — nadzorują. Maszyny dziewiarskie, łączące tysiące nitek w bajecznie kolorowe i arcyskomplikowane wzory, sterowane są również perforowanymi kartami, albo też programem naniesionym na metalowe grzebienie, których zęby tworzą precyzyjny kod. W nadzorowaniu ich pracy pomagają ludziom fotokomórki i czujniki, które sygnalizują nieprawidłowości i zatrzymują maszynę w razie ich wystąpienia.

Nowoczesne są nie tylko maszyny

Laboratorium zakładowe dysponuje sprzętem i aparaturą, których może mu pozazdrościć niejedna placówka naukowo-badawcza. Nie gorzej wyposażone jest laboratorium automatyki przemysłowej, z którego usług korzystać chcą naukowcy niejednego renomowanego instytutu.

Maszyny są mądre, nie mogą być jednak mądrzejsze od ludzi. Dlatego też ludzie uczą się ciągle, jak okiełznać żywioł wielkiej techniki, jak pokierować nim, aby dał nowoczesną i atrakcyjną produkcję. Udało się to już młodej załodze „Very".

Do tej pory „Vera" wyprodukowała około tysiąca różnych pozycji wzorniczo-kolorystycznych.

— Nasza wzorcownia przygotowuje w ciągu miesiąca — mówi mgr inż. Bogdan Sumera — **ponad sześćdziesiąt pozycji, które z reguły przejmowane są przez produkcję. Praktycznie biorąc, nasze możliwości wzornicze są nieograniczone, tak w przypadku dzianin żakardowych, jak i dzianin typu transferowego, których produkcję podjęliśmy jako drudzy w kraju — po Zakładach Przemysłu Wełnianego „Opoczno".**

Produkcja więc tego niemal genialnego dziecka naszego przemysłu włókienniczego jest tak atrakcyjna i nowoczesna, a zarazem bardzo potrzebna, że przemysł meblarski gotów jest „na pniu" wykupić wszystkie wyroby „Very". Mógłby i chciałby, ale zakład narodził się jako... wcześniak.

Otóż, okazało się, że zakład — budowany i projektowany z myślą o przyszłości — wyprzedził znacznie zapotrzebowanie przemysłu meblarskiego, dając produkcję — pokrótce rzecz ujmując — za nowoczesną jak na wymagania odbiorcy.

Dlaczego wcześniak?

Cały świat — włącznie z naszymi zachodnimi i południowymi sąsiadami — odchodzi coraz dalej od produkcji ciężkich i ukutych mebli tapicerskich, przestawiając się na wytwarzanie mebli, nie mniej estetycznych i trwałych, ale znacznie lżejszych i funkcjonalniejszych. Meble te ze zrozumiałych względów wymagają innych materiałów obiciowych: delikatniejszych i lżejszych, które bez porównania lepiej od obić tradycyjnych prezentują się na — powiedzmy — wypełnionych gąbką oparciach i siedzeniach.

Krajowy przemysł meblarski podejmuje wprawdzie coraz szerzej produkcję mebli tego typu, brakuje mu w tym jednak konsekwencji, gdyż wykorzystuje z reguły do tych wytwarzania materiały tradycyjne — grube i ciężkie. Tymczasem „Vera" podjęła produkcję — na szydełkarkach cylindrycznych — tych właśnie delikatniejszych i lżejszych dzianin obiciowych. Zakład przygotowany jest zresztą do tego, aby dawać połowę swej rocznej produkcji w takich właśnie dzianinach. Przemysł meblarski przyznaje wprawdzie, że są one — i owszem — estetyczne i funkcjonalne, niemniej od pierwszych dni produkcji dopomina się przede wszystkim dzianin tradycyjnych, gotów zresztą kupić każdą ich ilość.

Dlaczego tak się dzieje? Czyżby nowoczesne dzianiny były mniej wytrzymałe? Mniej trwałe od tradycyjnych? Przecież pod względem wzorniczym i kolorystycznym są znacznie ciekawsze!

— Dzianiny te pod względem walorów użytkowych — mówi dyrektor naczelny, mgr inż. Janusz Wysocki — **w niczym nie ustępują wyrobom tradycyjnym. Wręcz przeciwnie: przewyższają je nawet, bo są — wbrew pozorom — nieporównywalnie trwalsze i bardziej wytrzymałe, a nadto — dzięki dużo większej sprężystości — znacznie lepiej zachowują się w czasie użytkowania, jak również lepiej się prezentują. Przesądza o tym technika produkcji, jak również surowiec, z jakiego je wytwarzamy. W przeciwieństwie do dzianin tradycyjnych, do których produkcji używane są włókna naturalne i deficytowe włókna sztuczne, tu stosujemy włókna dostarczane nam przez przemysł krajowy w dostatecznej ilości, odpowiednim wyborze i jakości.**

Gdzie więc szukać przyczyn niechęci przemysłu meblarskiego? Przyczyny są tyle drobne, co prozaiczne. Otóż, nasz przemysł meblarski nie jest odpowiednio przystosowany pod względem technicznym do przeszywania tych dzianin. A że przeszywanie owo wcale nie jest skomplikowane udowodniła sama „Vera", organizując we własnym zakresie — i trochę wbrew pierwotnym założeniom — własny oddział konfekcyjny, który z powodzeniem szyje znakomite pokrowce z tych dzianin.

W czym więc problem? W błahej całkiem przeszkodzie w postaci prostych i tanich maszyn specjalistycznych — na przykład typu „overlock" — jakie musiałyby dokupić fabryki mebli, aby zamknąć cykl technologiczny obróbki dzianin, produkowanych przez „Verę" na szydełkarkach cylindrycznych.

Przeszkoda więc, rzeczywiście błaha, nie wymaga przecież wielkich zmian organizacyjnych czy poważnych nakładów finansowych. Usunięcie jej to w zasadzie kwestia kilku dni, czy — najwyżej — tygodni. Najważniejsze jednak, że trzeba chcieć.

Zwykły więc bezwład organizacyjny powoduje, że zakład tak nowoczesny (a i kosztowny, nie ukrywajmy), jak „Vera", budowany z myślą o teraźniejszości i przyszłości przemysłu meblarskiego, występować musi w roli wcześniaka. Musi się martwić o sprzedaż swoich wyrobów, zanim jeszcze osiągnął pełne zdolności produkcyjne.

A i to, na domiar złego, w sytuacji ogromnego zapotrzebowania na wyroby obiciowe, których domaga się zarówno rozwijający się przemysł, jak i coraz operatywniejszy handel. Wszystko to pewnie dlatego, że producenci mebli, mając świadomość ciągłego niedostatku swych wyrobów na rynku, wiedzą doskonale, że stawiać mogą swych odbiorców w sytuacji przymusowej. Po co mają się kłopotać z powodu braku takiej czy innej, nawet najtańszej i najprostszej, maszyny, skoro klienci i tak wyprodukowane przez nich meble kupią?

JACEK INDELAK

wifama

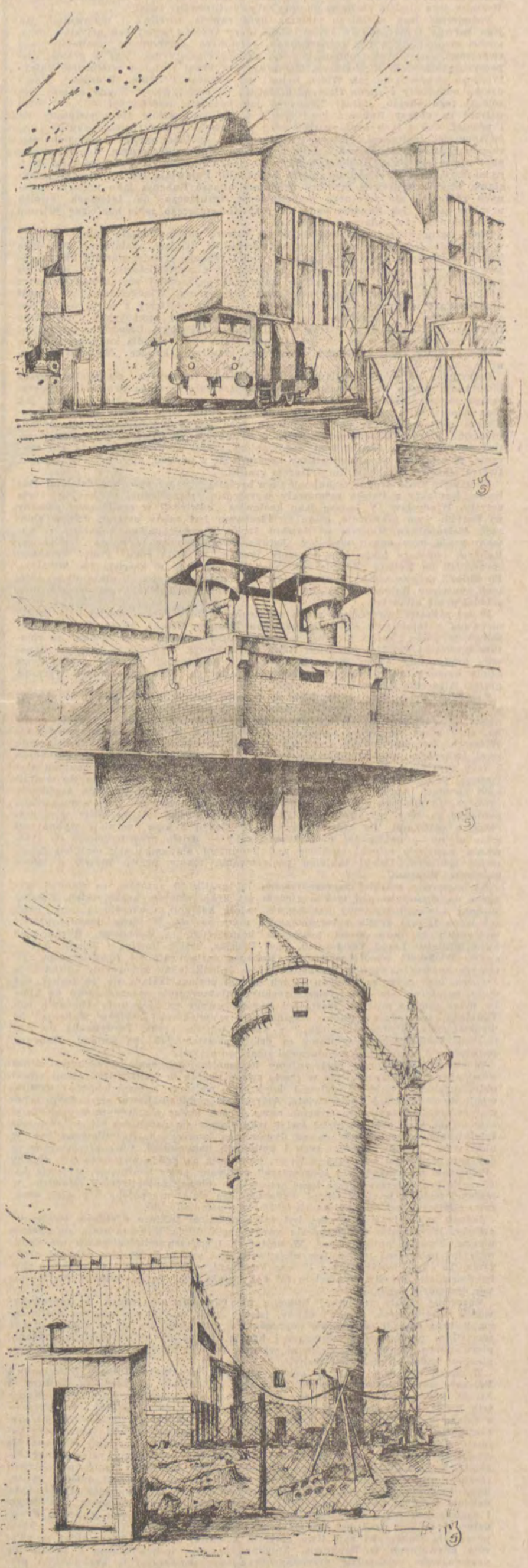

rys. Janusz Szymański-Glanc

PLASTYKA

RUBENS W ŁODZI

28 czerwca 1577 roku w małym niemieckim miasteczku Siegen w ówczesnym hrabstwie Nassau urodził się syn niderlandzkiego wychodźcy, Piotr Paweł Rubens. Rocznicę jego urodzin obchodzi obecnie cały cywilizowany świat.

Pośmiertne losy wielkiego malarza były równie burzliwe i malownicze jak jego barwny i niespokojny żywot. Mało który spośród wybitnych artystów przeszłości spotkał się z tak różnorodnymi, częstokroć sprzecznymi ocenami swej twórczości. Już wkrótce potem, gdy syt chwały i zaszczytów, legł w grobie, rozpoczynają się ataki niechętnych. Zarzucają mu braki rysunku wielbiciele eklektycznego akademizmu jak Włoch Bellori czy Francuz Felibien. W czasach klasycyzmu odsądzony zostanie flamandzki mistrz od czci i wiary. Znany malarz niemiecki tego okresu, Rafael Mengs — jak świadczą współcześni — „nie mógł patrzeć na obrazy Rubensa bez uczucia wstrętu". Podobne głosy podnosiły się i później. Coś z tych negatywnych ocen przetrwało po dziś dzień, pokutując w świadomości społecznej. Jeszcze obecnie można spotkać opinie o „niepełnowartościowości" Rubensa w porównaniu z jego wielkim współczesnym, Rembrandtem; zbyt często nazwisko Rubensa kojarzy się jedynie ze zmysłowymi scenami, bujnymi kształtami niewieścimi, szałem bachanalii. Pojawiają się też czasem pomysłowe, choć bezsensowne hipotezy próbujące ukazać Rubensa jako malarza miernych zdolności, ale zręcznego przedsiębiorcę, żerującego na talentach swoich uczniów takich jak Snyders bądź też przywłaszczającego sobie spuściznę jednego ze swych mistrzów, Adama van Noorta.

Obok nurtu krytycznego istniał jednak zawsze potężny odłam opinii, widzący w Rubensie jednego z największych twórców w dziejach malarstwa. Pod jego hasłem rozpoczyna się u schyłku XVII wieku reakcja przeciw nurtom klasycyzującym w sztuce francuskiej (spór rubensistów z poussinistami). W pierwszej połowie XVIII wieku dzieła artysty należą do najbardziej poszukiwanych przez kolekcjonerów. Później sam prawodawca klasycyzmu, Winckelmann, nie mógł mu odmówić wielu zalet, przyrównując go — jako pierwszy z wielu — do Homera. Wielką popularnością cieszył się Rubens wśród romantyków, zwłaszcza francuskich. Ubóstwiał go wręcz wielki malarz tej doby, Delacroix, czemu dał wyraz po wielekroć w swych dziennikach. Duże znaczenie dla znajomości dzieła Rubensa miały analizy Fromentina w jego klasycznej książce „Mistrzowie dawni".

Poczynając od schyłku dziewiętnastego stulecia rozpoczyna się wielka praca historyków sztuki, wydobywająca i weryfikująca całą ogromną twórczość antwerpskiego mistrza. Wśród wielu zasłużonych warto wspomnieć takich badaczy jak Max Rooses, Wilhelm Bode, Ludwig Burchard, Julius Held i wielu innych. Wspaniałym podsumowaniem dotychczasowych prac jest publikowane obecnie monumentalne „Corpus Rubenianum", które w 26 tomach ma objąć całą działalność artystyczną Rubensa. Dzięki tym usiłowaniom nasza wiedza rozszerzyła się znacznie. W ostatnich czasach mogliśmy zapoznać się z nowym, nieznanym Rubensem, twórcą szkiców, rysunków, inspiratorem grafiki.

W naszym kraju trudno zaznajomić się w bardziej pełny sposób z dziełami Rubensa. Kontakty z Polską zajmowały wprawdzie niepoślednie miejsce w życiu artysty. Władysław IV jeszcze jako królewicz odwiedził w czasie swej podróży po Europie jego pracownię, czego świadectwem jest znany portret, dziś w zbiorach Metropolitan Museum w Nowym Jorku, nie tak dawno pokazany w naszym kraju przy okazji wystawy „Sztuka dworu Wazów w Polsce". W kręgu Rubensa powstały także inne portrety Wazów. W 1621 roku Piotr Żeromski sprowadził do Kalisza „Zdjęcie z krzyża" i umieścił je w kościele św. Mikołaja. Po śmierci artysty polski dwór jest jednym z najpoważniejszych uczestników licytacji spuścizny Rubensa. Czas rozproszył jednak nasze kolekcje, zaś obraz kaliski spłonął przed kilku laty.

W tej sytuacji interesującą próbą uczczenia rocznicy rubensowskiej była zorganizowana z inicjatywy kustosza łódzkiego Muzeum Sztuki, Mieczysława Potemskiego, wystawa „Dzieła Rubensa w grafice niderlandzkiej XVII wieku ze zbiorów Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. Wystawa ta zarazem stanowiła kontynuację cyklu mającego udostępnić publiczności łódzkiej najciekawsze dzieła dawnej grafiki obcej ze zbiorów krajowych, zapoczątkowanego wystawą grafiki Albrechta Dürera.

Reprodukowanie dzieł malarskich za pomocą technik graficznych praktykowane było już od początku czasów nowożytnych, cieszyło się też znaczną popularnością w Niderlandach. Rubens sam w małym tylko stopniu parał się grafiką, choć uczył się nawet akwaforty u Elsheimera w czasie swego pobytu we Włoszech. Doceniał jednak znaczenie grafiki reprodukcyjnej w upowszechnianiu swej twórczości, nie zapominając zresztą o finansowych korzyściach płynących z tego procederu. Dość szybko wystarał się o przywileje zapewniające mu wyłączność publikowania rycin na terenie Niderlandów, Francji, a także we wszystkich ziemiach Korony Hiszpańskiej. Nawiązał współpracę z wieloma grafikami, faworyzując młodych artystów, skłonnych podporządkować się jego wymaganiom, poniekąd za cenę rezygnacji z własnej indywidualności. Mistrz ściśle współpracował z grafikami, dla których on sam lub jeden z jego uczniów wykonywał szkic olejny — najczęściej monochromatyczny — dzieła przeznaczonego do rytowania, następnie czuwał osobiście nad kolejnymi etapami pracy, osobiście dokonując retuszów. Dzięki takiemu postępowaniu mamy prawo mówić o szkole graficznej Rubensa.

Na wystawie łódzkiej zaprezentowano 107 grafik 29 autorów, co stanowi wybór z najbogatszych pod tym względem w kraju zbiorów krakowskich. Katalog wydany z okazji wystawy przedstawia całość kolekcji, zawierającej mniej więcej jedną trzecią grafik autoryzowanych przez artystę. Wystawa ukazuje prawie wszystkich grafików współpracujących bezpośrednio z Rubensem. Wśród nich najwybitniejsi: Lucas Vorsterman, Paul Pontius, bracia Boetius i Schelte à Bolswert. Większość współpracowników Rubensa posługiwała się miedziorytem rylcowym, czasem akwafortą; godne uwagi są jednak także drzeworyty Christoffela Jeghera, przy czym ze względu na ich wysoki poziom zakłada się, że Jegher, być może, ograniczył się do wycięcia rysunku własnoręcznie sporządzanego na klocku przez samego mistrza. Warto też zwrócić uwagę na akwaforty Theodora van Thuldena, sporządzone według zaginionych w większości szkiców Rubensa do wydawnictwa „Pompa introitus..." z okazji wjazdu arcks. Ferdynanda do Antwerpii. Uzupełnieniem wystawy są dzieła powstałe już po śmierci Rubensa, świadczące o nieustającej popularności zmarłego artysty.

W twórczości Rubensa obserwujemy harmonijne połączenie dziedzictwa sztuki włoskiej, z którą zapoznał się w czasie swego pobytu w Italii z tradycjami sztuki niderlandzkiej, której zawdzięczał konkretne widzenie rzeczywistości i zamiłowanie do materialnej urody świata. Artysta nie podporządkował się żadnym schematom ani kanonom, sam tworząc nowe formy, stając się jednym z prawodawców sztuki barokowej. Widział świat jako starcie się potężnych sił, których oddziaływanie wytwarza równowagę dynamiczną kompozycji. Rozmiłowany był w ukazywaniu ruchów gwałtownych i potężnych namiętności. Charakterystyczne są pod tym względem jego słynne bitwy, polowania na dzikie zwierzęta (jak choćby „Polowanie na krokodyla i hipopotama" rytowane przez Soutmana), wreszcie bachanalie (np. rytowana przez tegoż artystę) — obrazy autoafirmacji człowieka w szalonej walce z wrogimi siłami Podobnie ideą walki przepojone jest wiele obrazów religijnych czy mitologicznych („Strącenie potępionych").

Jednak zewnętrzna dynamika jest tylko odbiciem jednego z etapów twórczości artysty. W ostatnim dziesięcioleciu swego życia dzieła Rubensa stają się spokojniejsze, bardziej umiarkowane. W pejzażach i scenach mitologicznych nie dominuje już patetyczna walka, lecz ukazywana jest przede wszystkim pełnia i uroda życia. To okres małżeństwa z Heleną Fourment, czas szczęścia i największej chyba dojrzałości artysty. Symbolem tej doby może być „Ogród miłości" (na wystawie drzeworyt Jeghera).

Znaczenie szkoły graficznej Rubensa nie ogranicza się jednak do reprodukowania dzieł mistrza, stanowi dalszy, istotny krok w rozwoju kunsztu graficznego. Rubens odszedł od wzorów poprzedników, wyrażających się w grafice przede wszystkim przejrzystym konturem i kreską. Dążąc do najpełniejszego oddania pierwowzoru graficznymi środkami wyrazu, potrafił zbliżyć transpozycje do oryginałów, nadać im malarskie cechy.

Z okazji otwarcia wystawy odbyła się sesja naukowa „Rubens, Niderlandy i Polska", zorganizowana przez Muzeum pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki, Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO oraz Polskiego Narodowego Komitetu ICOM. W obradach uczestniczyli specjaliści — historycy sztuki i historycy — z całego kraju. Prof. Maria Bogucka i prof. Janusz Tazbir przedstawili na szerokim tle historycznym kontakty Polski z Niderlandami w XVI i pierwszej połowie XVII wieku. Prof. Jan Białostocki scharakteryzował znaczenie Rubensa dla sztuki europejskiej, szkole graficznej Rubensa był poświęcony referat mgr Elżbiety Budzińskiej. Doc. Mariusz Karpowicz oraz doc. Jan Samek przedstawili recepcję sztuki Rubensa w Polsce, zaś doc. Zygmunt Ważbiński omówił politykę artystyczną Władysława IV. Szereg referatów i komunikatów poświęconych było dziełom Rubensa związanym z Polską, autentycznym i domniemanym, istniejącym i zaginionym, jak również niektórym dziełom artystów z kręgu Rubensa. Prawdziwą rewelacją sesji był referat mgr Małgorzaty Schuster-Gawłowskiej, która przypisała Rubensowi autorstwo portretu królowej Elżbiety Burbońskiej ze zbiorów prywatnych w Krakowie. Żmudne badania technologiczne i zestawienia porównawcze uzasadniały przekonywająco tezę, pozwalając w krakowskim portrecie domniemywać pierwowzór szeregu wizerunków tej władczyni. Materiały sesji zostaną opublikowane nakładem Muzeum Sztuki.

JACEK OJRZYŃSKI

PREZENTACJE

GDY BYŁEM CHŁOPCEM, CHCIAŁEM BYĆ ŻOŁNIERZEM...

Mówi Piotr Janczerski:

— Długo właściwie nie miałem wiadomego celu... ale miałem określone zainteresowania. Jako mały chłopak byłem z ojcem po raz pierwszy w teatrze.. na „Zemście" Fredry. Jak ja to przeżyłem... teatr mnie oczarował, zafascynował. Zacząłem się nim interesować, jak tylko potrafi mały chłopak, z wielką pasją, z ogromnym zaangażowaniem emocjonalnym... W mojej rodzinie byli ludzie teatru, pomagali mi rozwijać te moje zainteresowania... i tak w to „wsiąkłem na całego". Najpierw było kółko recytatorskie, później teatr lalek, teatr amatorski...

Ojciec chciał, żebym został technikiem budowlanym... Nawet zacząłem uczęszczać do Technikum Budowy Maszyn, ale po dwóch latach zrezygnowałem z tego... Oczywiście ku ogromnemu niezadowoleniu ojca. Byłem wierny swoim zainteresowaniom... rozpocząłem naukę w Państwowej Szkole Instruktorów Teatrów Ochotniczych w Łodzi, przyjęty od razu na drugi rok... Później, w 1961 roku, uzyskałem dyplom aktora estradowego...

Gdybym miał jeszcze raz wybierać zawód, najprawdopodobniej zostałbym leśnikiem lub weterynarzem. Jestem silnie związany z przyrodą, z naturą... choć na co dzień nie utrzymuję z nią bliskich kontaktów, nawał zajęć i chroniczny brak czasu nie pozwala mi na to... Przyznam się, że jestem zapalonym myśliwym, który jednak bardzo rzadko strzela... Wolę obserwować przyrodę, jeśli już uda mi się „wyrwać" gdzieś za miasto. Kontakt z przyrodą jest mi bardzo potrzebny dla mojej pracy, twórczości... to takie jakby moje „natchnienie"... To mnie odświeża, pozwala mi nabrać sił do pracy...

Ja ciężko pracuję, podobnie moi koledzy z zespołu... Nasza codzienność przypomina „chodzenie w kieracie"... Wstajemy wcześnie, przygotowujemy się do wyjazdu, około godziny trzynastej wsiadamy w autokar, by jechać ileś tam kilometrów... potem występy. Do domu wracamy o godzinie pierwszej w nocy, a często nie wracamy, tylko zatrzymujemy się gdzieś w hotelu, by następnego dnia ruszyć dalej. Tak wygląda moje życie... Czasami mam wrażenie, że pracuję w wędrownym cyrku. Gdy nie wyjeżdżamy, to jest masa innych spraw, problemów... Nagrania, przygotowywanie programu, długie godziny wyczerpujących prób, sprawy reklamowe, techniczne, personalne i jeszcze inne...

Często nie staje czasu na życie prywatne. Bywamy za granicą i co z tego? Jest tyle ciekawych miejsc, rzeczy do obejrzenia, a my na zwiedzanie nie mamy czasu... chyba tylko w nocy... W życiu aktora estradowego nie ma zbyt wiele blasków, za to cieni jest aż nadto. W żadnym razie nie jest to łatwy i przyjemny sposób zarabiania dużych pieniędzy, jak się często ludziom wydaje, zwłaszcza tym młodym, marzącym o karierze estradowej...

Moje związki z przyrodą, folklorem, teatrem znajdują odbicie w tym, co robię, w mojej twórczości, sposobie uprawiania piosenki. Interesuje mnie krajobraz, pejzaż... i to właśnie polski, najpiękniejszy... Wszyscy na około śpiewają o miłości, na różne tony i głosy, w sposób bardzo czy mniej udramatyzowany, niekiedy melodramatycznie. Mnie bardziej interesuje polny mak, samotny wiatrak, wierzba czy świątek przydrożny... Ja bardziej w tym czuję siebie, to jakoś tkwi we mnie. Zresztą ten polski krajobraz tkwi chyba w jestestwie każdego Polaka. O ile ten poetycki temat jest obudowany naszym słowiańskim „melosem", który również głęboko odczuwamy, wówczas jest szansa, by powstała dobra piosenka.. Nie „przebój" do nucenia przy goleniu, lecz utwór, który będzie żył dość długo, niezależnie od przemijających mód... Ja od swojego pierwszego kroku w piosence pozostałem wierny przede wszystkim folklorowi, piosence polskiej z tym właśnie „melosem" ludowym, bo w tym tkwi ogromna siła wyrazu, wielki ładunek emocjonalny... Cieszy mnie, że ostatnio zapanowała moda na muzykę folkową i to na całym niemal świecie. Pochlebiam sobie, że byłem u nas pierwszym, który zaproponował ten rodzaj muzyki i publiczności i innym zespołom, chyba mogę być z tego dumny. Wydaje mi się, że ten rodzaj muzyki trafia do odbiorców wszystkich kategorii, jeśli jeszcze jest dobra oprawa aktorska, scenograficzna, dobra aparatura pozwalająca słuchać muzyki, a nie tylko iluś tam decybeli, dobrany i sprawny warsztatowo zespół...

Dlaczego zdecydowałem się na teatr piosenki? Miałem „klasyczny" zespół, ale to za mało, dla współczesnej publiczności to przestaje wystarczać. Występ estradowy musi być całościowym widowiskiem, o pewnej tematyce, myśli przewodniej, fabule, scenariuszu, musi mieć określoną dramaturgię, by trzymać widza w napięciu. To musi być teatr, teatralny spektakl, kompozycja...

Zasadniczo do każdego programu dobieram wykonawców, kompletuję odpowiedni zespół. Różnorodność programów wymaga różnych wykonawców, różnych instrumentów, odmiennej oprawy, zespół nie może więc mieć raz na zawsze ustalonego składu personalnego. Z niektórymi współpracownikami rozstajemy się po pewnym czasie. Odchodzą, zakładają własne zespoły, np.: Grunwald, Krzemiński, Nowak... Cieszy mnie, że dają sobie radę, coś znaczą na estradzie, na listach przebojów, w programach telewizyjnych, i w ogóle w muzyce. Mam tę satysfakcję, że wyszli jakby z mojej „szkoły", która im coś dała, niezależnie od tego, że to zdolni twórcy, muzycy o świetnym warsztacie. Bardzo przeżywam ich występy, a ich sukcesy napawają mnie ogromną dumą...

Jaki powinien być leader zespołu czy kierownik teatru piosenki? Musi cieszyć się dużym autorytetem wśród współpracowników, nie tylko formalnym... Musi coś sobą reprezentować i od strony intelektualnej i warsztatowej, to jest podstawą. Powinien być koleżeński, wyrozumiały, opiekuńczy, zwłaszcza w stosunku do młodszych kolegów o małym jeszcze doświadczeniu. Musi być dobrym pedagogiem. Musi mieć duże zdolności organizacyjne, a przede wszystkim ogromne poczucie odpowiedzialności za to, co robi... To nie sztuka wziąć pieniądze za cokolwiek, sztuką jest dobrze pracować, mając na uwadze to, co się daje ludziom, a nie własne zyski...

Za swój największy sukces uważam otrzymanie Nagrody Państwowej III stopnia. Było to dla mnie ogromne wyróżnienie. O mojej największej porażce wolałbym nie mówić, ale będę szczery. To historia, kiedy moi byli współpracownicy z zespołu „No To Co" zdecydowali się rozstać ze mną i zrezygnować z uprawiania muzyki, którą ja im proponowałem, muzyki typowo folkowej. Wtedy wycofałem się na pewien czas z estrady, myślałem, że już w ogóle nie wrócę do „branży". Później powstało „Bractwo Kurkowe"...

W Polsce mamy wielu doskonałych muzyków... Ja najwyżej cenię Michała Urbaniaka za bazowanie na polskim „melosie" i fantastyczny wprost warsztat. Ze swoich utworów najbardziej sobie cenię tekst do piosenki „Żegnaj, Tom", która żegnałem swoich przyjaciół z zespołu „Niebiesko-Czarni"...

Największym sentymentem darzę swój młodzieńczy wiersz: „Gdy byłem chłopcem, chciałem być żołnierzem..." To był jeden z moich pierwszych własnych utworów. Ile razy powracam myślą do niego, jest to retrospektywne spojrzenie za siebie, w ślad przebytej drogi. Do tego wiersza koledzy „dorobili" kiedyś muzykę i tak powstała jedna z moich piosenek...

Inny wiersz? Może ten:

„Tam gdzie drogi prowadzą do nieba
pod wierzbami co stoją jak panny
z drzewa świątki przysiadły w kapliczkach
otulone warkoczem dziewanny
Chmury płyną powoli po niebie
świątki stoją przy drodze do nieba
baby zmówią w pośpiechu pacierze
świątki stoją choć stać im nie trzeba..."

Zanotował:

ZBIGNIEW S. NOWAK

DAWNE PROCESY (4)

W piątek, 29 kwietnia 1927 roku, urząd prokuratorski przekazał akta Walaszczyka i Rydzewskiego do sądu okręgowego. Choć już wiadomo było, że w ich sprawie zwyciężyła koncepcja surowsza: tryb postępowania doraźnego, spór o najwłaściwszy sposób postępowania sądowego nie ustawał.

KONRAD FREJDLICH

W SĄDZIE

„Stosunek prawny między robotnikiem komunalnym, a przedstawicielem urzędu komunalnego jest ten sam, co stosunek fabrykanta i robotnika — stwierdzał mecenas Kobyliński. — **Z tych zasad wychodząc przypuszczam, że należy zwalczać twierdzenie prokuratorii, iż mordercy śp. prezydenta Cynarskiego winni stanąć przed sądem doraźnym.**

Podobne stanowisko zajął mecenas Jasiński. Twierdził on, że można mówić o śmierci Cynarskiego w związku z pełnieniem przez niego obowiązków służbowych tylko wtedy (ta okoliczność uzasadniałaby tryb doraźny), gdyby w zakres czynności prezydenta wchodziło dawanie pracy poszczególnym bezrobotnym.

„Ponieważ funkcją prezydenta — zakończył dobitnie Jasiński — **nie jest dawanie pracy poszczególnym bezrobotnym, wypowiadam się przeciw trybowi doraźnemu, a w szczególności przeciwko karze śmierci".**

Nawet przewodniczący Rady Miejskiej, dr Fichna, zagajając obrady, zachował umiar w ocenie czynu Walaszczyka i Rydzewskiego. Powiedział bowiem:

„I chcę podkreślić jeden moment, mianowicie moment społeczny w tym znanym nam, smutnym czynie. Oto zginął działacz społeczny, działacz samorządowy. Z tego jest prosty wniosek jak ciężkie, jak często odpowiedzialne, w tym momencie nawet tragiczne jest stanowisko działacza społecznego.

Z drugiej strony chcę podkreślić tło, wśród którego powstał i żył morderca, tło owej nędzy społecznej, która jest rozsiana po naszych zakamarkach, po naszych przedmieściach.

Jestem przekonany, że jeszcze silniej, jeszcze mocniej będziemy usiłowali i w rzeczywistości leczyli ową nędzę, rozsianą na krańcach miasta. Będzie to najlepszy, bo najtrwalszy, najbardziej ludzki pomnik śp. prezydenta miasta".

Odmienne stanowisko zajęła prokuratura. We wniosku uzasadniającym tryb postępowania doraźnego uznano Cynarskiego osobą urzędową stwierdzając jednocześnie, że poniósł śmierć „z powodu pełnienia obowiązków służbowych". Ta kwalifikacja przesądzała los oskarżonych.

Na krótko przed zasadniczym procesem miała się odbyć przeciw Walaszczykowi inna jeszcze rozprawa w sądzie pokoju. Oskarżycielem był jego teść, Wawrzyniec Socha. Siedemdziesięcioletni starzec dowodził, że mąż córki bezprawnie odstąpił mieszkanie, do którego pozwolił mu się z litości wprowadzić, pozbawiając w ten sposób prawowitego właściciela dachu nad głową. Walaszczyk pobił także swoich teściów, aby zmusić ich do przeprowadzki.

Ale do sądu pokoju, oprócz oskarżycieli, stawił się tylko nabywca mieszkania, niejaki Binem Nalewka. Wyrodny zięć nie dostał wezwania na rozprawę, wobec czego została odroczona. W nowym terminie nie odbyła się zresztą nigdy.

W czwartek, 5 maja 1927 roku, rozpoczął się oczekiwany z zainteresowaniem przez całe miasto proces zabójców Cynarskiego. Dla uniknięcia tłoku sa sali rozpraw wydział prezydialny sądu okręgowego wprowadził specjalne karty wstępu, które mogli otrzymać przedstawiciele urzędów i stowarzyszeń Inspektor policji Niedzielski i nadkomisarz Izydorczyk przy pomocy podległych sobie ludzi musieli dwoić się i troić, aby zaprowadzić jaki taki porządek, bo sala przy ulicy Żeromskiego nie mogła pomieścić wszystkich chętnych, którzy przyszli tu jak na widowisko. Wśród publiczności przeważały kobiety.

Odpowiednio przyrządzone artykuły w prasie sprawiły, że rozprawa rozpoczynała się w bardzo niezdrowej atmosferze, spotęgowanej jeszcze świadomością wiszącej w powietrzu kary śmierci. Zbiorowej psychozie nie oparli się nawet radni, którzy dezerterując z posiedzenia rady miejskiej tłumnie stawili się w sądzie. Ale publiczność długo przyuczaną po nienawiści wobec zabójców — spotkał zawód. Zamiast zwyrodnialców ujrzała na ławie oskarżonych dwie wychudłe postacie wzbudzające raczej litość niż grozę. Tak się przy tym złożyło, że obaj oskarżeni mieli jakieś defekty fizyczne. Walaszczyk, jako dwuletnie dziecko, utracił jedno oko, które matka wybiła mu niechcący nożyczkami. Nawet w tym wprawionym, szklanym, widać było strach i błaganie. Rydzewski, wprowadzony na salę sądową po wyjaśnieniach Walaszczyka, utykał. Jedną nogę miał od urodzenia krótszą. Obaj byli bardzo młodzi.

Walaszczyk nie próbował się bronić. Parę razy wtrącił nawet, bez związku, że po tym, co zrobił, żyć już na świecie nie może. Była to przerażająca, gorączkowa spowiedź człowieka, rodem z powieści Wiktora Hugo. Najgorliwszym zwolennikom kary śmierci zrobiło się wstyd. Walaszczyk nie broniąc się — oskarżał publiczność, która nigdy nie zaznała głodu. Jeśli nawet sam przyczynił się do swego upadku, to przecież nie znalazł się nikt, kto by wyciągnął do niego rękę.

Młodszy od Walaszczyka, Rydzewski, zastosował odmienną taktykę. Już w pierwszych, słowach odwołał swoje zeznania złożone w śledztwie, gdzie przyznał się do współuczestnictwa w zbrodni. Nikogo to specjalnie nie zaskoczyło, ponieważ prasa, mimo stanowczych zaprzeczeń prokuratora Szmidta, informowała swych czytelników o sprzecznościach śledztwa, publiczność sądowa przygotowana była na taką ewentualność. Rydzewski podkreślił, że jest niewinny i został aresztowany tylko na skutek pomówienia Walaszczyka, choć mu nigdy nie zrobił nic złego. W śledztwie przyznał się, bo chciał uniknąć bicia, teraz jednak znajduje się pod ochroną sądu i może mówić prawdę.

Wyjaśnień tych, chociaż mocno komplikują całą sprawę, nie można przekreślać tak jednoznacznie jak uczynił to prokurator Krychowski. Liczne luki i niedomówienia w materiale dowodowym wskazują, że postępowanie przygotowawcze nie było prowadzone prawidłowo. Tych braków nie da się usprawiedliwić samym tylko pośpiechem. Ciągłe dementi prokuratora Szmidta także wystawiają nie najlepsze świadectwo organom śledczym, które za wszelką cenę dążyły do skazania. Wiele pytań w ogóle nie zostało postawionych. Na jeszcze więcej nie uzyskano zadowalającej odpowiedzi.

Obowiązkiem sądu jest tłumaczenie wszystkich wątpliwości na korzyść oskarżonego. Ta podstawowa zasada procesowa była nieustannie ignorowana przez sędziów Witkowskiego, Wilkowskiego oraz Korwin-Korotkiewicza. Zmianę linii postępowania Rydzewskiego uznano z miejsca jako dowód jego obycia z machiną sprawiedliwości, odbywał już bowiem raz wcześniej karę pozbawienia wolności. Nikt nawet nie starał się wyjaśnić, czy rzeczywiście torturowany był podczas śledztwa. Jeszcze kłopotliwsi dla sądu okazali się świadkowie-alibiści, gotowi do złożenia odciążających Rydzewskiego zeznań.

Kiedy siedział w areszcie nie wiedział jeszcze, że może się powołać na świadectwo osób trzecich. W momencie ujęcia przez policję powiedział wprawdzie do swych domowników, aby pamiętali, że w Wielki Czwartek, jak zwykle, przebywał w pracy, ale alibiści, którzy stawili się do sądu, nie należeli do jego rodziny. Byli nimi koledzy z plantacji miejskich, członkowie związku zawodowego podporządkowanego Chrześcijańskiej Demokracji. Ich listę opublikował po raz pierwszy organ Groszkowskiego „Kurier Łódzki" domagając się jednocześnie stanowczo kary śmierci dla obu oskarżonych. Ta sprzeczność musi dziwić, ale tylko wówczas, gdy zapomnimy o powiązaniach Rydzewskiego z chadeckimi kacykami, ściślej zaś z wiceprezydentem Groszkowskim. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie on zatroszczył się o alibistów, aby zmusić Rydzewskiego do milczenia. I nie zawiódł się na nich.

Przed sądem przewinęło się trzydziestu siedmiu świadków oskarżenia i obrony. Walaszczyka broniła tylko jego matka długo mówiąc o chorobie syna, który czterokrotnie w jej obecności uległ atakom epilepsji. Także dozorca robót brukarskich, Rosicki, złożył zeznania korzystne dla głównego oskarżonego stwierdzając, że Walaszczyk od dawna uskarżał się na chorobę nerwową. Już po zredukowaniu, wzruszony jego skrajną nędzą, dał mu przed świętami Bożego Narodzenia 30 zł. Były to jedyne pieniądze jakie Walaszczyk posiadał aż do zabójstwa Cynarskiego.

W znacznie korzystniejszej sytuacji procesowej był Rydzewski, który nie musiał czuć się osamotniony na sali sądowej mając za sobą poparcie nie tylko najbliższej rodziny, ale także świadków-alibistów. Szczególnie rewelacyjnie zapowiadały się zeznania wiceprezydenta Groszkowskiego, ale publiczność spotkał kolejny zawód. Wiceprezydent bez przerwy zasłaniał się brakiem pamięci. Odpowiedzi jego były tak wykrętne, że chwilami sprawiał wrażenie oskarżonego, a nie świadka. Nie uniknął jednak kłopotliwych pytań na temat zabawy, jaką uprawiał z oszukanym przez niego Walaszczykiem. Szybko rozdmuchała je prasa. I używając stylu, jaki Groszkowski sam wprowadził na łamy podporządkowanego mu „Kuriera", w oczach opinii publicznej wiceprezydent wyrósł jednoznacznie na „intelektualnego promotora morderstwa".

Sąd najwyraźniej śpieszył się. Wezwani na rozprawę biegli-lekarze, którzy mieli ustalić, czy Walaszczyk działał w afekcie patologicznym, podczas pośpiesznie prowadzonego przewodu sądowego nie mogli przedstawić stanowczej opinii. Dr Frenkiel, w imieniu pozostałych ekspertów określił czyn Walaszczyka jako zabójstwo dokonane pod wpływem silnego wzruszenia. Podkreślił także, że tylko dłuższa obserwacja podsądnego mogłaby rozwiać wątpliwości co do stanu jego poczytalności. Ale sędziowie zignorowali to oświadczenie chociaż także zeznanie księdza Stanisława Lica przemawiało za tym, że Walaszczyk nie posiadał pełnej zdolności rozpoznania znaczenia swego czynu i pokierowania swym postępowaniem. Zdecydowani wydać wyrok śmierci, sędziowie podążali do niego najkrótszą drogą nawet nie dbając o pozory.

Kolejny dzień rozprawy przyniósł głosy stron. Prokurator Krychowski scharakteryzował Walaszczyka jako wyjątkowego zwyrodnialca, który przyznał się do popełnionej zbrodni ze strachu przed odpowiedzialnością. Nie dostrzegł w nim, wbrew najoczywistszym faktom, ani skruchy ani zdolności do ekspiacji. Nawet wskazanie Rydzewskiego jako pomocnika dowodziło, zdaniem prokuratora, niskich pobudek, którymi Walaszczyk kierował się przez całe życie. Krychowski poddał także krytyce orzeczenie lekarzy podkreślając z całą mocą, że w odniesieniu do Walaszczyka w żadnym razie nie można mówić o zmniejszonej poczytalności. Ta miażdżąca ocena ekspertyzy biegłych wynikała stąd, że podejrzenie o chorobę psychiczną uniemożliwiałoby zastosowanie wobec Walaszczyka trybu doraźnego.

Rozprawiwszy się w ten sposób z pierwszym oskarżonym Krychowski przeszedł z kolei do omówienia udziału Rydzewskiego w zabójstwie Cynarskiego. Zręcznie omijając wszelkie niedomówienia, a nawet rażące sprzeczności, prokurator zaczął rozprawiać się ze świadkami-alibistami, którzy doskonale, z minutowym rozkładem zajęć wiedzieli, co robił Rydzewski w dniu zabójstwa prezydenta, nie potrafili sobie jednak przypomnieć ani jednego momentu z dnia, który je poprzedził. Chociaż zeznania ich były uzgodnione, plątali się w wielu istotnych szczegółach, co zdaniem prokuratora, także podważało ich prawdomówność. Ale koronnym dowodem fałszywości zeznań tych świadków miało być to, że żaden z nich nie posiada zegarka. Precyzja ich zeznań musi więc być co najmniej naciągnięta.

Wobec uprzywilejowania w procesie oskarżyciela, którego sąd wyraźnie faworyzował zaliczając nawet w poczet dowodów zeznania sędziego śledczego, na co nie zezwalała ustawa, rola obrońców nie była łatwa. Mecenas Menasse, obrońca Walaszczyka, w czasie całego przewodu sądowego zachowywał się biernie mając nadzieję, że tą pokorą skłoni sąd do przekazania sprawy do zwykłego trybu postępowania. Tylko w ten sposób mógł ocalić życie swego klienta. Obrońca Rydzewskiego, mecenas Szwajcer, także wyznaczony z urzędu, lepiej wykonywał swoje obowiązki. Próbował przynajmniej przypominać o obowiązku praworządności tam, gdzie była ona jaskrawo naruszana. Organa śledcze nie najlepiej zabezpieczyły dowody, nie wyjaśniły też okoliczności mające podstawowe znaczenie dla sprawy. Skąd Walaszczyk wziął pieniądze na kupno noża, którym zamordował Cynarskiego? Co stało się z łomem, który posłużył Rydzewskiemu do wyłamania kłódki w sklepiku Kutnera? Oskarżenie musiało nieustannie korzystać ze wsparcia zeznań policjantów i sędziów śledczych, innych dowodów, prócz przyznania Walaszczyka, nie było. Powoływanie się na świadectwa policjantów dla poparcia tezy oskarżenia przypominało więc tak surowo zganione przez prokuratora postępowanie świadków-alibistów stających w obronie Rydzewskiego. I jeśli ci pracownicy plantacji miejskich rzeczywiście kłamali, dlaczego prokuratura nie wytoczyła im sprawy o fałszywe zeznania? Prokurator Krychowski próbował replikować, ale obrońcy nawet nie starali się ustosunkować do tych argumentów oskarżenia. Prosili tylko sąd o przekazanie sprawy do trybu postępowania zwykłego. W ostatnim słowie Walaszczyk prosił o litość. Rydzewski domagał się uniewinnienia.

Wyrok zapadł wieczorem, w drugim dniu procesu. Na jego mocy Adam Walaszczyk został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie. Kazimierz Rydzewski uniknął jego losu. Jego sprawa miała zostać rozpoznana powtórnie w zwykłym trybie postępowania.

Ustawodawstwo o sądownictwie doraźnym nie przewiduje rewizji, wyrok staje się natychmiast prawomocny. Obrońcy Walaszczyka nie pozostało nic innego, jak zatelegrafowanie do prezydenta Mościckiego, z prośbą o łaskę dla skazanego. Wieczorem Prezydent Rzeczypospolitej przysłał także drogą telegraficzną odpowiedź odmowną.

Walaszczyk przyjął tę wiadomość ze zdumiewającym spokojem. Nie wzruszył go nawet widok rozpaczającej rodziny. W celi więzienia przy ulicy Kopernika prosił o dwadzieścia paczek papierosów, które palił jeden za drugim do przyjścia plutonu egzekucyjnego. Policjanci nie pozwolili skazańcowi wypić herbaty, którą mu w termosie przyniosła siostra, widocznie obawiali się trucizny.

W nocy z szóstego na siódmego maja Walaszczyk przewieziony został na Polesie Konstantynowskie, gdzie z wybiciem godziny trzeciej żołnierze 28 pułku piechoty, oddali do niego jedną celną salwę. Zdążył jeszcze krzyknąć przed rozstrzelaniem, że nie zabijał z własnej woli.

Była to może reminiscencja wizyty, jaką na cztery godziny przed egzekucją złożyli mu w celi funkcjonariusze śledczy. Postanowiono go raz jeszcze przesłuchać na okoliczność pomocnictwa Rydzewskiego w zabójstwie prezydenta Cynarskiego. Świadomy wagi tych zeznań skazaniec nie odwołał swego oskarżenia. To mówi samo za siebie. Gdyby rzeczywiście pomawiał tylko kolegę o udział w zbrodni, jako człowiek wierzący, w godzinie śmierci nie obciążałby swego sumienia nową zbrodnią.

Ciała Walaszczyka nie wydano rodzinie. Policjanci wskazali potem tylko miejsce, gdzie znajduje się jego grób.

CDN.

TELEWIZJA

Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI CZYLI ROZRYWKA NA ZAMÓWIENIE

Pan **Jerzy Michotek** nie da o sobie zapomnieć. Niedawno oglądaliśmy wstrząsający show, zrealizowany na zamówienie kaliskich włókniarzy. Czego tam nie było? **Waldemar Matuszka** i **Anna Jantar**, grupa, „Aura" i balet „Fant"...

A przede wszystkim szczególne atrakcje wieczoru. Reżyser **Piwowski**, biegający po schodach z rowerem na plecach i śpiewający bokser **Jerzy Kulej**, no i oczywiście te cudowne rozmówki. **„Pan mnie rozumi, panie Waldku"** — szczebiotał do czeskiego piosenkarza jakiś pan. Na co Matuszka odpowiedział, że „nie rozumi", ale pan z uporem opowiadał mu o tym, jak pracuje maszyna. **„Pani nie rozumie po polsku"** — dopytywała się inna pani innej piosenkarki (zdaje się z Rumunii). Piosenkarka odrzekła, że nie rozumie, więc ta pani powiedziała: **„No to ja pani opowiem jak się robi hafty..."** I oczywiście opowiedziała.

Wszystko to nie ma ani większego sensu, ani ładu i składu. Czy piękną rosyjską piosenkę musi śpiewać Jerzy Kulej? Był to niegdyś znakomity bokser, potem — jak doniosła prasa — wziął w ajencję kawiarnię, potem komentował walki bokserskie, potem wystąpił w filmie Piwowskiego... Teraz zaczyna śpiewać.

Zżymałem się na tę szopkę rozgrywającą się na estradzie pana Michotka, ale ktoś mi zwrócił uwagę: **„Popatrz na te rozanielone twarze słuchaczy, przecież im się to podoba. Ten koncert jest dla nich, więc wszystko w porządku".**

Otóż nie wszystko jest w porządku. Gdyby tę samą piosenkę śpiewał prawdziwy artysta, to przecież widowni także by się podobało. Może nawet bardziej? A poza tym koncert emitowany jest dla 10 milionów słuchaczy, a nie tylko dla tych kilkuset osób zgromadzonych na widowni.

Wcale nie jestem przeciw wzbogacaniu programu estradowego o dodatkowe atrakcje w postaci znanych ludzi spoza estradowego kręgu. Ale skoro już przewiduje się dla nich jakieś miejsce w programie, to niech to będzie miejsce właściwe. Przecież w tym samym koncercie wystąpił publicysta **Marian Podkowiński**. Nie tańczył, nie śpiewał, nie jeździł na rowerze, ale po prostu powiedział parę ciepłych słów — prosto i wzruszająco. I był w tym koncercie jedną z ciekawszych postaci.

A więc można łączyć występ estradowy z prezentacją ludzi pióra, reżyserów, sportowców... Tylko przedtem trzeba odrobinę pomyśleć.

Niestety, model rozrywki na zamówienie, lansowany w programach **„Z najlepszymi życzeniami"** oraz **„Z wizytą u was"** jest modelem być może słusznym, ale wciąż żałosnym w realizacji. A przecież te programy trwają już dostatecznie długo, aby zdążyć wypracować model trochę odbijający się od przysłowiowego dna.

Jak dotąd jednak do tego nie doszło.

Coraz bardziej natomiast dociera się **„Studio 8"**. Co prawda pomysł sondy wśród „ludzi na delegacji" nie bardzo wyszedł, ale całość programu była bardzo interesująca. Z zapowiedzi **Andrzeja Królikowskiego** dowiedzieliśmy się, także o ciekawych propozycjach do majowego „Studia 8" — słowem obok: **„Tylko w niedzielę"** i **„Studia 2"** rodzi się zupełnie oryginalny i bardzo ambitny blok programowy.

TELEMAN

ARCHITEKTURA

PAŁAC PRZY ULICY OGRODOWEJ

Architektura Łodzi przemysłowej nie obrosła jeszcze słowem. Rodzi ona płomień żarliwości i budzi w obserwatorach przekonanie, że mają przed sobą zjawisko niezwykłe, choćby urbanistyka Księżego Młyna, ulica Piotrkowska, cmentarze łódzkie... Z obcowania z tym nowym zjawiskiem — zabytkami Łodzi, wynosimy naukę, że prawdziwe mistrzostwo i prawdziwa sztuka, właśnie w lokalnej tradycji budownictwa — swobodzie gigantycznych inwestycji włókienniczych — zwykły się ujawnić i zapisywać osobliwość miasta przemysłowego.

Datami jedynymi w biografii architektów Łodzi są, na dzisiejszy stan badań, daty powstających gmachów budownictwa XIX w. Nie należeli do żadnej z tych kategorii artystów, jaką w swej roli pełnili architekci Warszawy, czy Krakowa, wiedli żywot spokojny, wypełniony projektowaniem fabryk, kamienic czynszowych, willi, pałaców i grobowców, zarabianiem pieniędzy. Poza nielicznymi (Majewski, Lande), nie starali się nawet punktować wystąpieniami publicznymi, dziełami z zamierzenia „znaczącymi", przyciągającymi uwagę krytki i publiczności. Nie kryję się z opinią, że wielką wartość przedstawiają tutaj nie tylko pojedyńcze obiekty rezydencjonalne i publiczne, lecz także całość oeuvre — architektura Majewskiego, Landau'a, Landego czy Zeligsona.

Do tradycji, którą dziedziczy architekt współczesnej Łodzi decydująco włączył się wiek dziewiętnasty. Tu oprócz kontynuacji idei historyzmu, doszły również wpływy zapowiadające dzisiejsze rozwiązania budownictwa inżynieryjnego. Jest i dziś zafascynowanie konstrukcją, kolorem, światłem, malarską przestrzenią tworzonego otoczenia — zakładów przemysłowych Teofilowa czy nowoczesnego Dywilanu.

Pałac — dzieje budowy i kształtowania dziewiętnastowiecznego założenia rezydencji przemysłowca nie są dokładnie zbadane. Do budowy manufaktury Poznańskiego posłużyły plany przygotowane przez architekta Hilarego Majewskiego (1838—1892), a rysowane jak się zdaje — jeszcze w latach 1878, kiedy to wybudował on gmach przędzalni i biura — kantor, a skromny ogród warzywny i sad stanowiły ich otoczenie przy ul. Ogrodowej.

Era przemysłowca Poznańskiego zaczynała się dopiero. Już w roku 1880 myślał on o budowie okazałego pałacu, i pierwotnie wzniósł go w lokalizacji ulicy Zachodniej, w nawiązaniu do architektury gmachu fabryki. Przewidując jednak, że fortuna uśmiechnie się do niego, około 1900 r. zmienił nieco plany Majewskiego i upatrzył sobie projekt pałacu równy rezydencji królewskiej. Tak więc, dziś bryła pałacu przy Ogrodowej i układ wnętrz ukształtowane zostały zgodnie z projektami nowego budowniczego Adolfa Zeligsona (1866—1919). Pominięto przewidzianą renesansową dekorację fasad, starając się wyrazić gusta „króla bawełny", w efekcie ulegając zbyt przesadnie inspiracjom różnych stylów historycznych — wyraźnie sztuce baroku i rokoka. Wiadomo, że około roku 1902—1903 ukończono budowę rezydencji. Założono w tych latach także dziedziniec honorowy i kończąc tym drugi zasadniczy etap kosztownej inwestycji. Całość założenia przedstawiała się „reprezentacyjnie" i nie znajdowała sobie wówczas równych w Łodzi.

Obszerny pałac miał teraz samotnie świadczyć o świetności właściciela. Podobnie wystrój wnętrz ozdobionych bogatymi malowidłami pędzla Hirszenberga oraz stiukami, wykazywał cechy rozwiniętego programu treściowego, w którym przeplatały się wątki dworskie i kupieckie. Ogród pełny posągów, ścienne obrazy alegoryczne i rodzajowo-dekoracyjne, scenki buduarowe, okazjonalne i inne drobiazgi ozdobne — wszystko przystosowane do eklektycznego gustu fabrykanta, który z kolei staje się miarodajny, i kształtuje sztukę w kołach przemysłowców łódzkich.

Pałac obecny nie był tylko budowlą mieszkalną, stanowił miejsce przyjęć spotkań, hucznych bali, rad oficjalistów przemysłowca i handlowców, był siedzibą giełdy włókienniczej. Tak samo życie codzienne kształtowało się pośród nagromadzonych obrazów, cenniejszych mebli, dywanów i zwierciadeł — sprowadzonych z Wiednia, Berlina Paryża, częściowo z Wrocławia i Warszawy — wedle pompiersko-dworskiego ceremoniału. Liczna służba, lokaje, kamerdynerzy, kapela, chmara domowników, liczni kupcy zagraniczni — pieniędzmi i gwarem napełniali pałacowe salony.

Z tej zapewne okazji zaniechano tu ściśle symetrycznego i geometrycznego układu wnętrz, komponując je swobodnie, w myśl wymagań funkcjonalności. I ta funkcjonalność wyraziła się tu zarówno w dostosowaniu wielkości i kształtu wnętrz do ich sposobu użytkowania, jak i w dbałości o wygodny rozkład oraz komfort. Ten układ wnętrz pozostał do dziś w zasadzie nie zmieniony — zachowały się efektowne amfilady, dodatkowe korytarze, ukryte przejścia i boczne klatki schodowe oraz neobarokowe, neorokokowe i secesyjne dekoracje wnętrz salonów i gabinetów.

W tej postaci pałac — dobrze utrzymany — w powojennej historii stanowił ośrodek życia politycznego siedzibę administracji państwowej. Nowy użytkownik części pałacu, Muzeum Historii Miasta Łodzi, prawidłowo wykorzystuje obiekt, dba o niego, sukcesywnie prowadzony jest remont bieżący, malowanie, konserwacja dachów, uzupełnienia zmurszałej więźby dachowej. Zmianie uległo nieco otoczenie pałacu. Sądząc po planie remontów konserwatorskich zostanie uporządkowany ogród i zrekonstruowana rzeźba parkowa.

Utworzenie Muzeum Historii Miasta Łodzi ma swoje głębokie społeczne znaczenie i uzasadnienie z uwagi na konieczność opieki i zachowania cennych wartości kultury łódzkiego okręgu przemysłowego.

ANTONI SZRAM

RELACJE

Oczekując w Londynie, na lotnisku Heathrow, na połączenie z Leeds, zainteresowałem się stoiskiem z książkami. Obok kilku brakujących w mojej skromnej biblioteczce pozycji: Hemingwaya a i Caldwella, dostrzegłem szeroko uśmiechniętą na okładce twarz Davida Nivena: „Szarża lekkiej brygady", „Casino Royale", „Raffles — włamywacz—amator", „Ósma żona Sinobrodego", „Trzej żołnierze", (opowieści żołnierskie wg R. Kiplinga), „W 80 dni dookoła świata". Jeszcze bardziej zaintrygował mnie tytuł książki: „Wprowadźcie puste konie". Przerzuciłem więc kartki, by odnaleźć (moje hobby) konie. Wkrótce wyjaśnił się tytuł. Otóż film „Szarża lekkiej brygady" reżyserował Michael Curtiz, Węgier z pochodzenia, który miał poważne kłopoty z angielszczyzną. I kiedy w jednej scenie zbiorowej na planie mieli wystąpić statyści: żołnierze w szyku pieszym, Curtiz wydał przez megafon polecenie: „Wprowadzić puste konie", chodziło mu zaś po prostu o to, aby na planie ukazali się żołnierze bez koni.

David Niven przekazuje w tej książce swoje osobiste, bezpośrednie obserwacje z Hollywood lat 1935—1960, to jest okresu kiedy ugruntował się już dobrze film dźwiękowy, a do natarcia przygotowywała się konkurentka „talkie" — telewizja.

STOLICA FILMU

Hollywood w latach trzydziestych, a była to już wtedy dzielnica Los Angeles, nie znało smogu, przedstawiało swym wyglądem pogodną prowincję. Odległe było ono również komunikacyjnie od wschodniej części USA. Wystarczy wspomnieć, że podróż z Nowego Jorku samochodem, nawet przy szybkiej jeździe, trwała dziesięć dni. Długotrwała była również podróż pociągiem, zważywszy, że odcinek z Santa Fe obsługiwany był przez trakcję parową. Natomiast podróż dwumotorowym samolotem wymagała wielkiego hartu ducha, a prawdziwym maratonem było połączenie statkiem przez Kubę i Kanał Panamski.

Światek filmowy zamieszkiwał wówczas wybrzeże morskie, okoliczne góry Arrowhead i Big Bear, pustynną osadę Palm Springs na terenie należącym do Indian. Popularny był też ośrodek wyścigów konnych Santa Anita, w którym egzystowało szereg popularnych klubów dysponujących terenami golfowymi i kortami tenisowymi. Panowała w nich ostra segregacja. Do żadnego z nich nie mogli należeć Murzyni, a w wielu odmawiano członkostwa Żydom. Toteż oni z kolei zorganizowali swój klub, który wykluczał aryjczyków. Najbardziej ekskluzywny w Los Angeles był Country Club, do którego nie mogła należeć osoba zaangażowana w filmie — bez względu na rasę, religię i kolor skóry.

Wielkie Los Angeles wzrastało szybciej niż planowali urbaniści, a jeśli ktoś chciał się doszukać piękna w wielkiej aglomeracji, położonej w podkowie gór San Gabriel, musiał przymrużyć oko na powstające bezładnie zabudowania i gęsty las słupów, zwoje drutów. Natomiast w centrum Hollywood, zakurzonym czarownym baroku, wyróżniał się bulwar La Cienega, otoczony wokół wolno poruszającymi się pompami tłoczącymi ropę i krzewiastymi pagórkami. Dumę swą podkreślało Hollywood drewnianym stelażem kilkunastometrowej wysokości — „Hollywoodland".

Inne przedmieście Los Angeles, Beverley Hills, miało więcej szczęścia w rozwoju. Zajęli się nim potentaci z przedsiębiorstwa organizującego rodeo i kanalizacyjnego. Sprowadzili oni z ogrodów Kew Gardens fachowców, którzy zasadzili każdą ulicę innym rodzajem drzew: palmami, magnoliami, kwitnącymi eukaliptusami, sykomorami, oliwkami... Posiadanie mieszkania w Beverley Hills oznaczało niemal wysoką pozycję w świecie filmowym. Ponadto, Beverley Hills chlubiło się największym nasileniem basenów kąpielowych i detektywów — na jedną milę kwadratową. Luźna, wiejska atmosfera Beverley Hills była niezwykle ujmująca. Centrum życia towarzyskiego stanowiła restauracja „The Brown Derby". Mężczyźni nosili mokasyny, rozpięte koszule i sportowe marynarki, a dziewczęta, wyzwolone od czasów wstrząsającego ziemię pojawienia się Marleny Dietrich w męskim stroju, entuzjastycznie zaaprobowały męskie spodnie sportowe. Piękne kelnerki obnosiły się tu z miną kandydatek na gwiazdy filmowe, w różnych fazach rozczarowania.

Do dwóch najznamienitszych klubów tenisowych należały — Beverley Hills i West Side. W pierwszym z nich instruktorem był były reprezentant drużyny davis-cupowej, Fred Perry, a w West Side przynętę stanowiły piękne dziewczęta. Przechlorowany zaś basen hotelu Beverley Hills był miejscem spotkań szarlatanów, naganiaczy, drobnych agentów. Zbierali się tu też grafomani i tekściarze; nasłuchiwali pilnie nowinek i plotek, by wykorzystać dla swej reklamy. Roiło się tu od długonogich, o stromych piersiach dziewcząt, paradujących w kostiumach kąpielowych wokół leniwie wylegujących się rezydentów basenu.

Przy końcu lat trzydziestych większość kin zmieniała program dwa razy tygodniowo. Składały się nań zazwyczaj: kronika, film rysunkowy i fabularny — trwał on cztery godziny. Największa spośród siedmiu gigantów, wytwórnia Metro-Goldwyn-Mayer co tydzień produkowała film fabularny.

Wkrótce po moim przyjeździe do Hollywood, zaprzyjaźnili się ze mną Edmund Lowe, częsty partner Wiktora Mac Langena, a także jego sekretarka. Stało się to zaś głównie dlatego, że, zdaniem sekretarki, byłem podobny do jej szefa. Zauważyła mnie, gdy stałem w tłumie oczekującym na pracę przy bramie wejściowej Paramountu. Zaintrygował ją korek, który stale trzymałem w ustach; zatrzymała samochód i zawiozła mnie do swojego szefa. Edmund Lowe przyjął mnie bardzo serdecznie i spytał, czy nie zechciałbym podjąć pracy jako jego dubler. Podziękowałem za propozycję, gdyż miałem nadzieję wystąpienia przed kamerą we własnej osobie. Co zaś do korka, wyjaśniłem, że wyrabiam w ten sposób siłę głosu — tak poradził mi aktor charakterystyczny, E. E. Clive.

W ciągu następnych dwóch tygodni Edmund pokazał mi zakamarki swojej firmy. Wytwórnia mieściła się na terenie dwustu akrów. Poważną część zajmowały stałe dekoracje: ulice Nowego Jorku, francuskie i hiszpańskie wioski, średniowieczne zamki, jeziora z maszynerią wytwarzającą fale, stacja kolejowa z kompletnym taborem, miasteczko uniwersyteckie, skrawek dżungli i lasu liściastego, parowiec z Missisipi, trzymasztowe szkunery, fragment pustyni z ruinami fortu, slumsy, południowa plantacja... Zwiedziłem z nim również rancho z westernów.

Dekoracje wymagały wielkich nakładów finansowych, ale w owych czasach były konieczne, gdyż komunikacja lotnicza była jeszcze w powijakach. Toteż, gdy akcja filmu toczyła się w Wenecji: kanały, pałace, kościoły, mosty i gondole wyczarowywano na miejscu. Nic więc dziwnego, że „Przeminęło z wiatrem" nakręcono w Culver City. „Bounty" w pobliżu wyspy Catalina, „Szarżę lekkiej brygady" w dolinie San Fernando, „Dzwonnika z Notre Dame" w pobliżu Vine Street, „Dziesięcioro przykazań" za magazynami Western Costume Company, a „Marco Polo" o sto jardów od miejskiego gazomierza.

Centrum terenu wytwórni zajmowało około trzydziestu studio do nagrań dźwiękowych, otoczonych strażą ogniową, turbogeneratorami, warsztatami rzemieślniczymi, zdemontowanymi dekoracjami, studiami fotograficznymi, salami prób, biurami, szklarniami, restauracją, szpitalem.

Krąg zewnętrzny był okazalszy. Władczy blask rezydencji przedsiębiorców i reżyserów łagodziła zieleń trawników. Obok, w remizach przypominających garderoby, gnieździli się statyści, a w „podwójnych klatkach króliczych" aktorzy niższej rangi.

Bungalowy gwiazd oceniały kwitnące drzewa i krzewy. Ale chociaż sprawiały wrażenie enklawy spokoju, ściany ich mogły opowiedzieć o niezliczonych wybuchach temperamentu, głośnych chwilach triumfu i zbyt częstych samotnych zawałach serca.

Pisarze pijaczyli się, aktorzy ulegali paranoi, a reżyserzy byli nieobliczalni. Kryzys był stylem życia Fabryki Snów. Ta niezwykła mieszanina sprawności, kompromisu, zbytku, hazardu, złości, doświadczenia, taktyki, twardej ręki, szantażu, uprzejmości, szczęścia i niezłomna wiara w „przymus gry" sprawiały, że filmy schodziły bez przerwy z taśmy produkcyjnej.

System gwiazdorstwa był logiczną odpowiedzią na zasadnicze pytanie inwestorów filmu i bywalców kin: „A kto tam gra?" Studia więc wydawały olbrzymie sumy, aby podpisać długotrwały kontrakt z gwiazdami o ustalonej sławie. Nieustannie też szukały następców i rozwijały talent narybku. Gdy wytwórnia przekonała się, że wykonawca „chwycił" publiczność, utrzymywała z wielką starannością jego popularność. Gdy zaś popularność aktora gasła, starano się jak najszybciej obrzydzić mu życie kontraktem. Najłatwiej następowało to przez utrwalenie w artyście niepewności, obdarzając go pomniejszymi rolami... Wówczas aktor uzewnętrzniał zranioną ambicję i odmawiał w końcu występu w „kaprawej roli". Wtedy studio powoływało się na „święte" zobowiązania długoterminowej umowy, zawieszało kontrakt na czas trwania filmu, a wydział reklamy rozgłaszał w świecie o niehonorowaniu przez Iksa zobowiązań. Oczywiście, jeśli aktor odmówił gry, nie otrzymywał wynagrodzenia, a ponadto kontrakt przedłużał się o czas trwania filmu oraz o jego dodatkowe karne przedłużenie. Wielu aktorów traciło dwanaście, a nawet czternaście lat krótkiego życia artystycznego, dla odpracowania siedmioletniego zazwyczaj kontraktu.

Dopiero, kiedy Olivia de Havilland odważyła się skierować do Sądu Najwyższego skargę, najwyższa instancja wydała ustawę, mocą której umowa nie może być przedłużana bez zgody pracownika. Wprawdzie Olivię błogosławili później wszyscy aktorzy, ale odtąd trudno jej było o dobrą rolę.

Kontrakt mógł być również aktem zemsty. Przykładem może być znany aktor z Broadwayu, który poza sławą artystyczną zyskał wokół siebie rozgłos (po części z jego udziałem) dzięki przygodzie z żoną przedsiębiorcy filmowego z Hollywood. Pewnego dnia w jego garderobie — występował wówczas w teatrze im. Schuberta na Broadwayu, zjawił się przedstawiciel studia małżonka-rogacza z propozycją zawarcia siedmioletniego kontraktu z wytwórnią. Aktor przyjął ofertę z zachwytem. Na miejscu, w Hollywood, podpisał kontrakt kategorii „A", studio zapewniło mu rozgłos w prasie, wielonakładowe fotosy, ale na tym skończyła się kariera. Aktor był przez siedem lat wzywany codziennie na próbne zdjęcia w atelier fotograficznym, ale przed kamerą nie wystąpił nigdy.

We wczesnych latach filmu reklama miała niekiedy charakter cyrkowy. Jako jeden z pierwszych agentów reklamowych „Moving Pictures" zaangażowany został Harry Reichenbach z cyrku Barnum. Wytwórnia zleciła mu reklamę filmu „Powrót Tarzana". Wówczas Reichenbach, przed premierą filmu, wynajął pokój w hotelu naprzeciw kina premierowego. Do pokoju wniesiono potężnych rozmiarów okratowaną klatkę. Na obiad Reichenbach zamówił kilkanaście funtów surowego mięsa. Kiedy kelner wszedł do pokoju z zamówionym mięsem, omal nie zemdlał z przerażenia: przy stole, z serwetką pod brodą, siedział lew. Kelner zaskarżył szefa reklamy do sądu. Sprawa nabrała olbrzymiego rozgłosu, a o to przecież tylko firmie chodziło.

Aktor Francis Bushman obawiał się, że wytwórnia nie przedłuży mu kontraktu. Zwrócił się więc o poradę do Reichenbacha. Nazajutrz obydwaj udali się na spacer. Za aktorem, krok w krok postępował Bushman, a za nimi coraz większy tłum ludzi. Kiedy pojawili się przed biurami wytwórni, kierownictwo zdziwiło się popularnością dotychczas mało cenionego aktora, ale nie zauważyli bossowie, że Reichenbach przez dziurawą kieszeń w palcie rozsypał w czasie spaceru kilkaset dolarów drobną monetą. Wobec takiej popularności kontrakt został oczywiście przedłużony.

Walt Disney, przed premierą „Pinokia" w Nowym Jorku, zaangażował jedenastu karłów. Przebrał ich w kostiumy Pinokia i usadowił na daszku wejściowym kina premierowego, gdzie mieli zabawiać publiczność uciesznymi podskokami. Niestety, żywe reklamy tak się podochociły w czasie obiadu, że zamiast podskoków zaprezentowały publiczności grę w salonowca na nagusa.

Do najpopularniejszych imprez reklamowych należały uczty premierowe. Urządzano je zazwyczaj w miejscu, gdzie toczyła się akcja filmu. A więc premierowy bankiet z okazji „Przeminęło z wiatrem" odbył się w Atlancie, uczta reklamowa dla „Viva Villa" zorganizowana została w Meksyku. Zakończyła się wielkim skandalem. Otóż pewien gwiazdor amerykański, po nużącej uczcie wyszedł na balkon hotelu, przed którym tłumy wiwatowały na cześć artystów i ostudził ich entuzjazm płynną czynnością fizjologiczną.

W owych czasach Hollywood był blisko związaną z sobą wsią. Poszczególne studia stanowiły rodziny. Wszyscy płynęli tą samą łodzią. Stanowiliśmy międzynarodową wspólnotę koleżeńską. We wszystkich studiach, począwszy od ostatniego rzędu popychadła do gwiazd, czuli się wszyscy mocno związanym zespołem, który cieszył się każdym szlagierem wytwórni, a chętnie kpił z rywali. Kiedyś, przy głównym wejściu do Paramountu napisaliśmy kredą: „W razie nalotu, zgłoście ten fakt do wytwórni RKO, która już od dłuższego czasu cierpi na brak szlagieru".

Hollywood nie był wychowalnią talentów, lecz raczej szklarnią hodującą fałszywe wartości. Gromadzili się tu skromnego wymiaru oszuści, nieudacznicy-aktorzy o minimalnej szansie osiągnięcia sukcesu, zgodnie z dewizą: „Jeśli masz szczęście, będzie ci wesoło, a to jest lepsze niż praca". Można też przytoczyć zdanie Marka Twaina: „Praca polega na wykonywaniu czynności, do których jest ciało zobowiązane, natomiast gra polega na wykonywaniu tego, do czego ciało nie jest zobowiązane".

JAN JANISZEWSKI

ŚWIAT – POLITYKA – KULTURA

U PRZYJACIÓŁ

Z okazji przypadającej w bieżącym roku 60 rocznicy Rewolucji Październikowej „Sowietskaja Kultura" dokonała interesujących zestawień dotyczących poziomu kulturalnego ludzi żyjących w Carskiej Rosji i obecnie.

Przed Rewolucją 75 proc. ludności Rosji nie umiała czytać ani pisać, podczas, gdy obecnie podobny procent pracowników zatrudnionych w gospodarce narodowej ma wyższe lub średnie wykształcenie. Z różnego rodzaju możliwości kształcenia się korzystają w tej chwili 93 miliony obywateli Związku Radzieckiego, zaś powszechne wykształcenie średnie staje się rzeczywistością. Rozwój nauki i oświaty, coraz wyższy poziom wiedzy społeczeństwa radzieckiego nie tylko sprzyja rozkwitowi twórczości kulturalnej, lecz również sprawia, że korzystanie z dóbr kultury jest codzienną potrzebą milionów obywateli Kraju Rad. Głęboko humanistyczne wartości zawarte w kulturze radzieckiej sprawiają, że jej dorobek budzi powszechne uznanie i szacunek na całym świecie. Obchody 60 rocznicy Wielkiego Października stanowią okazję do szerszej prezentacji kultury radzieckiej na całym świecie.

W wielu krajach odbędą się Festiwale Sztuki Radzieckiej i Dni Kultury Radzieckiej.

Po raz pierwszy w szerokim zakresie zapoznają się z twórczością radzieckich artystów wielkie kraje Afryki.

Planuje się około 130 wystaw. Wiele z nich obejrzymy także w Polsce.

☆ ★ ☆

W Wietnamie od momentu zakończenia wojny obserwujemy silny renesans życia kulturalnego.

W 1976 roku wystawiono tam 29 sztuk teatralnych, w większości nawiązujących do wietnamskiego ruchu oporu w okresie długoletniej wojny wyzwoleńczej.

Należy podkreślić, że teatr Zjednoczonego Wietnamu, kraju, który przez 30 lat znajdował się w stanie wojny, nie jest moralizatorski. Chętnie posługuje się parodią i satyrą ośmieszającą nieprzyjaciół i własne przywary narodowe.

☆ ★ ☆

Niedawno w Budapeszteńskim dzienniku popołudniowym „ESTI HIRLAP" ukazał się cykl artykułów o warszawskich teatrach, ich autor, krytyk Istvan Morvy chwali inscenizację, reżyserię i grę aktorów w spektaklach, które oglądał. Najciekawsze wg niego były przedstawienia: „Cervantesa" w Teatrze Studio, „Balladyny" w Teatrze Narodowym oraz „Było sobie miasteczko" w Teatrze Żydowskim.

☆ ★ ☆

W odległości ok. 400 km od Moskwy na stacji kolejowej Astapowo zorganizowano Muzeum Tołstojowskie, które jest filią muzeum w Jasnej Polanie.

Na starym budynku stacyjnym zawieszony jest staroświecki zegar, który niezmiennie wskazuje godzinę 6.05. W tym budynku przekształconym właśnie na Muzeum zmarł twórca „Wojny i Pokoju".

Muzeum jest niezwykle popularne wśród obywateli radzieckich. W ciągu ostatnich 30 lat zwiedziło je przeszło pół miliona osób. Ekspozycja jest dosyć bogata. Zawiera sporo pamiątek związanych z ostatnimi chwilami życia pisarza m. in. raport lekarza kolejowego, który 30 listopada 1910 r. wystawił akt zgonu. Kustosz Muzeum W. Kuzowielina przygotowuje w tej chwili w związku ze 150 rocznicą urodzin Tołstoja nową ekspozycję. Znajdą się w niej m. in. oryginalne fotografie Tołstoja z ostatnich lat życia.

ZAIR

WALKI W PROWINCJI SZABA

ZAIR – kraj środkowoafrykański o powierzchni 2.345.000 km kw. liczy około 25 milionów mieszkańców. Stolicę kraju, Kinszasę, zamieszkuje ponad 2 miliony osób. Zair, byłe Kongo Belgijskie, zdobył niepodległość w 1960 roku w wyniku zwycięstwa ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Na czele pierwszego rządu Zairu stał Patrice Lumumba. Od momentu zamordowania go, w styczniu 1961 roku, aż do 1965 roku, Zair był widownią bratobójczych walk podsycanych przez koła imperialistyczne. W listopadzie 1965 roku, w wyniku przewrotu wojskowego, władzę w kraju zdobył gen. Mobutu Sese Seko.

Działania wojskowe w Zairze między powstańcami a wojskami rządowymi w prowincji Szaba (dawna Katanga) na południu kraju nabrały rozmachu. Jak podają zagraniczne agencje prasowe, miejscowa ludność aktywnie pomaga powstańcom okazując im pomoc. Wbrew zmyślonym pogłoskom rozpowszechnianym przez określone koła na Zachodzie, Ludowa Republika Angoli nie bierze udziału w tych działaniach. Nie ulega natomiast wątpliwości, co potwierdzają zresztą informacyjne agencje krajów zachodnich, że w działaniach wojsk rządowych Zairu biorą udział oddziały marokańskie, przerzucone samolotami wojskowego lotnictwa francuskiego „Transvall" z bazy pod Rabatem, w Maroku, do Kinszasy i Kolwezi. Decyzja wykorzystania tych samolotów jest we Francji nieustannie krytykowana, zaangażowała ona bowiem Francję bezpośrednio w wewnętrzny konflikt w Zairze.

Prasa amerykańska („Newsweek") informuje, iż zaangażowanie Francji w Zairze już dużo wcześniej zaaprobował Waszyngton oraz („Newsday") zwraca uwagę na rolę CIA w werbowaniu w Anglii i USA najemników do wojny w Zairze, z których część bierze już udział w walkach przeciwko powstańcom. Mobutu otrzymuje także pomoc belgijską. Cel tej interwencji jest oczywisty: utrzymanie w swoich rękach bogactw naturalnych prowincji Szaba, gdzie, na przykład, inwestycje USA sięgają miliarda dolarów. Celem ubocznym jest odwrócenie uwagi narodów Afryki od wydarzeń na południu kontynentu.

Wmieszanie się krajów zachodnich w wewnętrzny konflikt wojskowy w Zairze znajduje się w centrum uwagi światowej opinii publicznej. Na przestrzeni 17 lat swojej niepodległości Zair już wielokrotnie był areną ostrych starć sił ruchu wyzwolenia narodowego z wewnętrzną i zewnętrzną reakcją.

Oświadczenia Kinszasy są mgliste i mijają się z prawdą. Szef państwa, Mobutu, mówi raz o „pięciuset najemnikach angolijskich", to znów o „pięciu tysiącach", którzy rzekomo przeniknęli do prowincji Szaba z Angoli. Mówi się również o „byłych żandarmach katangijskich", którzy już od blisko 10 lat mieszkają w Angoli. Teza o agresji stała się klasycznym wykrętem rządów, które w obliczu wewnętrznych trudności proszą o zagraniczną interwencję. Warto zwrócić uwagę na fakt, iż przeciwnicy Mobutu, którzy długi czas byli rozproszeni, zdołali się dziś skonsolidować. W toku niedawnej konferencji prasowej w Brukseli, Organizacja Postępowych Studentów Konga oraz Komitet Zairu złożyli oświadczenie, iż obecne wydarzenia w Zairze są wewnętrzną sprawą narodu Konga.

Ruch powstańczy, istniejący już długi czas w różnych rejonach kraju, przeszedł obecnie do aktywnych działań militarnych. Operacje te rozwijają się pomyślnie, szczególnie w zachodnich rejonach prowincji Szaba (Katanga), które zamieszkuje plemię Czokwe, zawsze życzliwe Patrice Lumumbie. Przywódcą wojsk powstańczych jest gen. Nathaniel M'Bumba, dowódca wojskowy byłych żandarmów — Katangijczyków, zaś przywódcą politycznym ruchu jest młody lewicowiec, Kibwe. Oni to stworzyli Narodowy Front Wyzwolenia Konga.

Według informacji z Kinszasy, najbardziej intensywne walki między powstańcami a wojskami rządowymi i najemnikami toczą się w rejonie miasta Kolwezi, ważnego przemysłowego ośrodka prowincji Szaba. Prezydent Zairu, Mobutu Sese Seko, znajduje się w bardzo trudnej sytuacji. Powstańcy — jak podają zagraniczne źródła informacyjne — kontrolują najbogatszą prowincję kraju, podczas gdy zdezorganizowana zairska armia rządowa wykazuje zupełną inercję. Ta 25-tysięczna armia, jak podają obserwatorzy, jest nisko opłacana, niedożywiona, źle wyszkolona i niezdyscyplinowana.

W ciągu trzech pierwszych tygodni działań wojskowych powstańcy zajęli jedną trzecią część bogatej górniczej prowincji Szaba i obecnie toczą walki o miasto Kolwezi. Kopalnie miedzi, kobaltu i wolframu w tym okręgu przynoszą Zairowi dwie trzecie jego dochodów w walucie. Na polu walki, jak podał oficjalnie sztab wojsk rządowych, panuje status quo. Jednakże informacje, pochodzące z Kolwezi, pozwalają przypuszczać, iż powstańcy znajdują się już w pobliżu tego ośrodka wydobycia miedzi i że miasto przygotowuje się do obrony. Kilka samochodów opancerzonych zajęło pozycje wokół biura kompanii GECAMINE — spadkobiercy byłego Union Miniere — wydobywającej miedź w tym rejonie. Marokańscy spadochroniarze i komandosi kopią okopy i przygotowują umocnienia.

Specjalny korespondent France Presse opowiadał, że wielu obywateli belgijskich przygotowuje się do opuszczenia Kolwezi „możliwie najszybciej". Korespondent telewizji belgijskiej powiedział, że kiedy zagraniczni dziennikarze opuszczali Kolwezi, oddziały powstańców znajdowały się niespełna 60 kilometrów od miasta. Nieco później mówiono, opierając się na wiarygodnych źródłach informacji, iż wojska powstańcze przeniknęły już do Kolwezi i że ludność wita je ciepło i radośnie.

Specjalny przedstawiciel Belgii powiedział dziennikarzom, że powstańcy zachowują się poprawnie wobec miejscowej ludności i Europejczyków. Wszyscy Amerykanie zostali ewakuowani z Kolwezi. Z kolei w ambasadzie belgijskiej oświadczono, iż nie planuje się masowej ewakuacji 2.000 belgijskich inżynierów i urzędników zatrudnionych w Kolwezi na kontrakcie w kompanii GECAMINE. „Większość naszych obywateli od wielu lat mieszka w Zairze i uważa, że nie ma się czego obawiać" — powiedział oficjalny przedstawiciel ambasady belgijskiej.

Władze Zairu przyznają, że oddziały powstańców zajęły ważne strategicznie miasto Maczacza, zadając wojskom rządowym poważne straty i zdobywając duże ilości broni, amunicji i innego sprzętu wojskowego.

Od czasu, gdy rząd w Kinszasie wprowadził ostrą cenzurę, miejscowa prasa zachowuje milczenie w sprawie działań wojskowych. Przedstawiciel rządu do spraw informacji zakazał wysyłania codziennych sprawozdań z Zairu, zagraniczni korespondenci muszą więc ograniczać się do skąpych informacji, że „na froncie w prowincji Szaba nie zaszły żadne zmiany". Jak podało radio w Rabacie, kontyngent wojsk marokańskich wysłanych do Zairu decyzją rządu królewskiego w Maroku, wszedł już do walk w prowincji Szaba.

Wiadomości ze strefy działań wojennych są nadal bardzo skąpe. Sądząc jednak z ostatnich informacji napływających do Kinszasy, w rękach powstańców znajduje się szereg miast i wsi w pasie o szerokości około 280 km, w którym znajdują się miasta — Maczacza, Kisenge, Kasaži i inne.

JERZY CZECH

JESTEŚMY BLIŻEJ SŁOŃCA

Okresowe zmiany orbity ruchu Ziemi dookoła Słońca, jak sądzą niektórzy uczeni, są podstawową przyczyną powstawania okresów lodowcowych. Chociaż teoria ta nie jest nowa, wysunięto ją bowiem po raz pierwszy w latach dwudziestych naszego stulecia, dopiero dziś udało się ją potwierdzić, w drodze ustalenia chronologii globalnych zmian klimatycznych.

Międzynarodowa grupa specjalistów, pod przewodnictwem amerykańskiego uczonego dr Jamesa Hase'a, przeprowadziła szczegółowe badania rdzeniów skał osadowych z dna Oceanu Indyjskiego i, na podstawie analizy „szczątków" planktonu, zdołała opracować zapis wahań temperatury wody na przestrzeni 450 tysięcy lat. Zapis ten świadczy, iż podstawowy cykl zmian klimatycznych na Ziemi obejmuje około 100 tysięcy lat. W przeciągu tego okresu czasu orbita naszej planety zmienia się kolejno — od eliptycznej do „okrągłej" i znów do eliptycznej. Okres lodowcowy następuje przy orbicie okrągłej.

Teraz orbita ruchu Ziemi dookoła Słońca jest eliptyczna i w konsekwencji Ziemia zbliża się bardziej do Słońca, otrzymując od niego więcej ciepła.

MASOWY PRZEMYT NARKOTYKÓW

Pewnej chłodnej marcowej nocy dwudziestu pięciu stróżów porządku publicznego, ukrytych w zagajniku na lotnisku Mount Pocono w Pensylwanii oczekiwało na wylądowanie samolotu. Około pierwszej w nocy na lotnisku wylądował wreszcie i zamarł w bezruchu ogromny DC-6. Niebawem podjechały do niego trzy samochody ciężarowe, do których zaczęto przeładowywać z samolotu pękate wory z kolumbijską marihuaną. Kiedy samolot rozładowano już mniej więcej do połowy, z zasadzki wysypali się policjanci i ujęli przemytników, w sumie jedenaście osób.

Policjanci, nawet nie wiedząc o tym, zatrzymali transportowiec tale kursujący tzw. przemytniczą linią lotniczą, kontrolowaną przez amerykańską mafię. DC-6 przemycał 8 ton marihuany wartości 16 milionów dolarów. Jest to największa partia narkotyku w historii lotniczej kontrabandy, jaką skonfiskowano w USA. Był to 58 samolot z przemytem marihuany, przychwycony przez policję na gorącym uczynku.

Przemyt narkotyków do USA, mimo energicznej walki z kontrabandą, przybiera zastraszające rozmiary, a świadczy o tym fakt, iż władze federalne Stanów Zjednoczonych konfiskują co roku ponad tysiąc ton różnego rodzaju narkotyków! Stanowi to w przybliżeniu zaledwie dziesięć procent ogólnej masy tej trucizny kierowanej na rynki USA.

(J.C.)

100 DNI I KONTROWERSYJNY PROGRAM
POCZĄTEK KAMPANII WYBORCZEJ
WYDARZENIA W RZYMIE I WZROST NAPIĘCIA

Miniony rok — przypomnijmy — w trzech krajach kapitalistycznych: USA, Japonii i Szwecji przyniósł zmianę ekip rządowych. Ale ze zrozumiałych względów **zmiana w Stanach Zjednoczonych wzbudza wciąż największe zainteresowanie.** Piszemy „wciąż", bo właśnie pod koniec ub. tygodnia „stuknęło" 100 dni prezydenturze J. Cartera. Ukazało się z tej okazji wiele komentarzy w prasie zachodniej. W części z nich podkreśla się, że **nowy prezydent dla wielu ludzi na świecie pozostaje nadal zagadką. „swego rodzaju politycznym dziwem" i oceniany jest jako polityk, który swoim postępowaniem podniósł już kilka alarmów.** Badania przeprowadzone przez korespondentów AP wskazują, że Carter wywołał na przykład sprzeciwy sposobem, w jaki za pośrednictwem swego sekretarza stanu prowadził rozmowy z ZSRR na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych.

Pisze się również, że w ciągu 100 dni Carter zirytował koła wielkiego byznesu, kierownictwo związków zawodowych i nie uczynił nic, aby zadowolić Murzynów, którzy — jak pamiętamy — udzielili mu poparcia w wyborach.

Jak gdyby specjalnie na ową „studniówkę" **Carter w ub. tygodniu,** pierwszy raz w swej kadencji występując na forum Kongresu, **przedstawił wielki program oszczędności w energetyce.** A oto najważniejsze elementy tego programu: zmniejszenie przyrostu zużycia energii do maksimum 2 proc. rocznie, zmniejszenie importu ropy z 16 mln baryłek do 6, zmniejszenie jej zużycia o 10 proc., uszczelnienie 90 proc. domów mieszkalnych i innych budynków, aby ograniczyć straty w cieple, zwiększenie wydobycia węgla o co najmniej 400 mln ton i wykorzystywanie energii słonecznej. W rezultacie — do 1985 roku import ropy ma być pomniejszony o więcej niż połowę. Przy pomocy wymienionych środków **Carter zamierza uniezależnić Stany Zjednoczone od zakupu ropy poza granicami i przyczynić się do ochrony naturalnego środowiska człowieka.**

„Nasze decyzje — powiedział Carter — będą testem charakteru narodu amerykańskiego i testem zdolności prezydenta i Kongresu do rządzenia".

Jeszcze zapewne wszyscy Amerykanie nie uświadomili sobie następstw tego programu — a **już wiadomo, że batalia o oszczędność energii przeistoczy się w polityczną rozgrywkę.** Przeciwnicy programu ruszyli bowiem natychmiast do ataku i podjęli zajadłą krytykę jego planu, twierdząc, że błędne jest założenie, iż Ameryka stoi w obliczu wielkiego kryzysu energetycznego, a drogi oszczędności energii dokuczliwe są dla każdego obywatela. (Zastąpienie ropy gazem i węglem, ograniczenie prywatnych samochodów na rzecz publicznych środków transportu, podniesienie cen benzyny, gazu i energii elektrycznej...).

Nie wnikając po czyjej stronie jest racja — nas interesują przede wszystkim polityczne następstwa owej batalii. Obserwatorzy życia USA są przekonani, że **Carter dał okazję do rozwinięcia walki o władzę i wpływy i nie program oszczędnościowy, ale interesy poszczególnych partii, polityków i koncernów, będą teraz liczyć się najbardziej".** Przypuszcza się też, że na wiele miesięcy odwrócona zostanie uwaga od innych wewnętrznych spraw, a częściowo może nawet od zagranicznych. Czy tak się stanie — przekonamy się.

A teraz przenieśmy się do Hiszpanii, gdzie **czyni się już przygotowania do wyborów powszechnych, których termin ustalono na 15 czerwca.** Przypominamy, że przed kilku dniami wreszcie zalegalizowana została Komunistyczna Partia Hiszpanii i tym samym uczestniczyć ona będzie oficjalnie w życiu politycznym kraju.

Opublikowane ostatnio wyniki ankiet sygnalizują, że **połowa z 22 mln Hiszpanów uprawnionych do głosowania ciągle jeszcze nie wie, kogo wesprze w wyborach.** Część twierdzi, że nie rozumie, co dzieje się w kraju. Tym bardziej więc partie polityczne swojej kampanii przedwyborczej będą starały się szybko nadać najwyższe obroty.

Za wcześnie na prognozy, chociaż przeważa opinia, że najpomyślniejsze perspektywy mają chrześcijańscy demokraci i socjaliści. Niepokoi to prawicę. Jej ugrupowanie — Sojusz Ludowy wszczęło kampanię zbierania podpisów pod żądaniem wyjaśnienia, czym rząd uzasadnia swą decyzję o legalizacji partii komunistycznej. Jest to swoista próba sił.

Przegląd wydarzeń tygodnia zakończmy tematem włoskim. Otóż **znowu doszło w Rzymie do ostrych zaburzeń.** Na uniwersytecie Rzymskim grupa ekstremistów wywołała incydenty, na które rektor zareagował wezwaniem policji. Rozpoczęła się bójka, która przyniosła straty po stronie policji. Minister Spraw Wewnętrznych podał do wiadomości, że **od tego wydarzenia wszystkie demonstracje, w czasie których dojdzie do aktów przemocy traktowane będą jako zbrojna agresja przeciwko państwu.**

Włoska Partia Komunistyczna opublikowała oświadczenie, domagające się skończenia z wszelką pobłażliwością wobec przemocy i zbrojnych prowokacji. Nawołuje ona antyfaszystów, aby wsparli siły porządku i współpracowali z nimi w celu przywrócenia ładu i bezpieczeństwa.

Nowe wydarzenia w Rzymie spowodowały w całym kraju wzrost napięcia.

W. SŁAWSKI

SPORT

Cieniutko popiskując

Ostatnia ligowa środa, 20 kwietnia 1977 roku, znów przyniosła kilka niespodzianek. Wysoka przegrana drużyny szczecińskiej Pogoni, przegrana Legii w Warszawie, przegrana Widzewa w Poznaniu z Lechem oraz przegrana ŁKS na własnym boisku. Tylko wrocławski Śląsk nie zawiódł, wchodząc na szczyt ligowej tabeli oraz nadal bez przegranej wyszedł z tej ligowej środy zabrzański Górnik.

Co się dzieje? — pytają kibice. Niektórzy są nawet skłonni podejrzewać, że działają tu jakieś nieczyste siły, ale przecież PZPN już od kilku spotkań wysyła na każdy ligowy mecz trzech obserwatorów, którzy i doświadczenie mają i różne już cuda widzieli, więc chyba dostrzegliby owe nieczyste siły, gdyby były.

Przyczyny szukać trzeba byłoby zupełnie gdzie indziej. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie bez racji chyba, bo czwartkowy „Sztandar Młodych" — z 21 kwietnia 1977 roku — w korespondencji z Łodzi donosi o jakowychś nieporozumieniach, jakie zrodziły się w zespole ŁKS między zawodnikami a trenerem. Leszek Jezierski — jak pisze „Sztandar Młodych" — bezradnie rozkłada ręce i przyznaje, że nic nie rozumie. Jak zwraca zawodnikom uwagę, to ci obrażają się. Na boisku „grają stojąc" i tylko dzięki dobrej formie Jana Tomaszewskiego ŁKS nie dostaje większego lania. Ale zła forma drużyny nie zaczęła się przecież dopiero w środę 20 kwietnia 1977 roku. Już w pierwszych meczach wiosennej rundy ŁKS nie błyszczał dobrą formą, co niektórzy sprawozdawcy nie wiadomo dlaczego nazywali „mądrą grą".

Jacek Gmoch zapytany o przyczyny złego poziomu ligi, odpowiedział, że drużyny po prostu nie potrafią regenerować sił w tak krótkim czasie. Można to nazwać nieumiejętnością wypoczywania. Ale spotkałam się też z poglądem, że trenerzy nie przystosowali systemu szkolenia do innego niż zazwyczaj kalendarza spotkań ligowych. Stąd przemęczenie, brak świeżości, niechęć wręcz do gry w piłkę nożną.

Cieniutko — jakby to określił Bohdan Tomaszewski. Cieniutko było też na meczu Widzewa z Lechem. Ale na usprawiedliwienie Widzewa można powiedzieć tylko tyle, że postąpił jak dżentelmen nie wygrywając z Lechem, który bronił się w dziesiątkę i w dodatku z jednym kulawym. Chłopcy z Widzewa postąpili zupełnie jak Wojciech Fibak i Tadeusz Nowicki, kiedy zaproponowali powtórzenie serwu przy spornej piłce w niedzielnym meczu z RFN. Bardzo się ten gest polskich tenisistów wszystkim podobał, a nieoceniony Bohdan Tomaszewski doszedł do wniosku, że będzie on zapisany w kronikach światowego tenisa.

Widzew więc też po dżentelmeńsku przegrał mecz z Lechem, aby nikt nie mógł powiedzieć, że wygrali z przeciwnikiem dużo słabszym, tylko nie wiem, czy ten gest znajdzie się w kronikach polskiego futbolu. W tabeli został już odnotowany, gdyż Widzew spadł o jedno miejsce. Niektórzy twierdzą wszakże, że drużyna nie miała najlepszego dnia. Czyżby i druga łódzka drużyna przeżywała kryzys? Wraca wprawdzie do gry Zbigniew Boniek, który już wystąpił w drugiej połowie meczu z Irlandią.

Sobota i niedziela, 23 i 24 kwietnia 1977 roku pełne były tenisa i dobrze się stało, że telewizja nie transmitowała spotkania Polaków z Irlandczykami, bo po pięknej grze tenisistów trzeba byłoby zejść na samo dno sportowych rozczarowań. Irlandczycy wprawdzie nie należą do europejskiej czołówki, ale lubią sprawiać niespodzianki. Przegrywaliśmy już z Irlandczykami i remis w Dublinie można byłoby zaliczyć do sukcesów, gdyby nie ten cholerny mecz z Duńczykami, który czeka nas 1 maja 1977 roku. Trener Duńczyków najpierw w „Przekroju" chwalił się, że przewiduje taktykę Polaków, którzy będą chcieli w Kopenhadze zremisować, a teraz — czyli 24 kwietnia 1977 roku — powtórzył tę myśl w telewizji uśmiechając się tajemniczo. Ten uśmiech zapadł głęboko w pamięć kibicom. Bo tak Bogiem a prawdą, to kto ma strzelać w Kopenhadze gole, skoro kadrowi napastnicy w ligowych meczach też nie strzelają?

Reprezentacyjni napastnicy zajmują na liście strzelców dalekie pozycje. Najlepszy jest jeszcze T. Nowak z 9 bramkami, Z. Boniek z 8, G. Lato i A. Szarmach mają po 7 bramek, a K. Deyna — 6. Na liście tej prowadzi Wł. Mazur z 13 bramkami. Pozostaje tylko jeszcze nadzieja w Janie Tomaszewskim i oby tylko nie miał złego dnia. Powodów do frustracji kibic ma więc aż nadto. I jeszcze na dodatek ta uśmiechnięta twarz duńskiego trenera...

Trener duńskiego zespołu pojechał do Dublina, aby zobaczyć Polaków w grze. Andrzej Zydorowicz, który komentował ten mecz dla Polskiego Radia, próbował przekonywać, że Polacy nie chcą się odsłonić. Pokazywać się przeciwnikowi z najlepszej strony byłoby brakiem rozsądku, ale też wygrany mecz znacznie poprawiłby samopoczucie polskich piłkarzy oraz kibiców. A tak zasiądziemy 1 maja przed telewizorami przygotowani na wszystko. Może być bardzo cieniutko.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (II)

Wiesław Jażdżyński

przygody źle urodzonego studenta

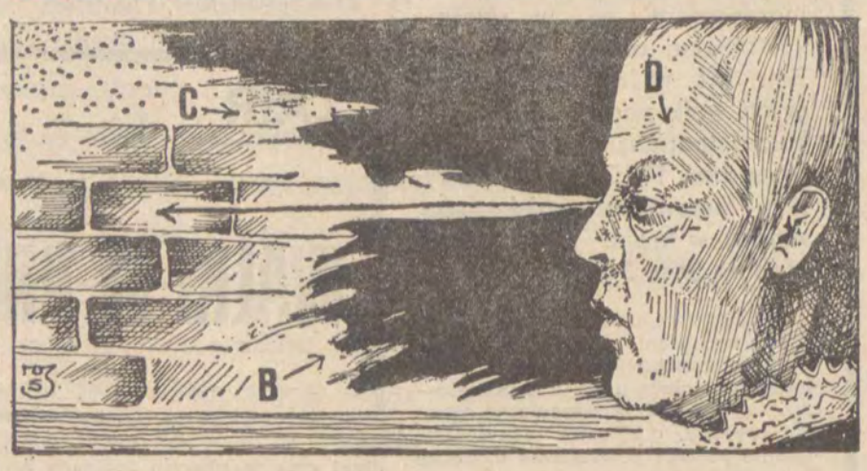

Rys. Janusz Szymański-Glanc

II

— Najpierw zabronił Kościej Straszliwy śpiewać dzieciom, potem dorosłym i staruszkom, a kiedy już wszyscy ludzie umilkli, zakazał śpiewu ptakom.

— To jak było na świecie, wujciu?

— Cicho.

— A wiatr i drzewa?

— Wiatr nie miał już wstępu do państwa Straszliwego Kościeja, nie szumiały drzewa.

— Ani jedno?

— Ani jedno.

— A strumyki i rzeki, wujciu?

— Także umilkły. Kościej Straszliwy kazał zniszczyć wszystkie instrumenty — fortepiany, trąby, organy, harfy, piszczałki, wszystkie.

— A organki? Przecież chłopcy mogli je ukryć.

— Może i ukryli, ale cóż z tego, kiedy nie wolno im było grać, milicja pilnowała.

— A radio grało?

— Ludziom odebrano wszystkie radia.

— Jak za Hitlera?

— Jak za Hitlera.

— I nikt już nie śpiewał, nawet świerszczyki?

— Nawet świerszczyki.

— Smutna bajka, wujciu, bo dzieci lubią śpiewać, bardzo lubią. I nikt nie mógł zwyciężyć Straszliwego Kościeja?

— Kościeja pokonało dziecko, zwykły pastuszek.

— Och, jak to dobrze! Zdąży mi wujcio opowiedzieć? Tato zaraz wróci.

— Zdążę, tylko mi już nie przeszkadzaj, dobrze?

— Dobrze wujciu.

— W kościejowym kraju, ale daleko od zamku, za siódmą górą i za siódmą rzeką, nie bardzo blisko i nie daleko, biegał sobie po łące, wąchał kwiatki pachnące...

— I nie zrywał?

— Miałaś mi nie przeszkadzać, zgubiłem rym i rytm, będę ci musiał teraz opowiadać zwyczajnie, a nie wierszem.

— To szkoda, wujciu, że masz taką słabą pamięć.

— Otóż na tej łące pasł krówki pastuszek, a że się zmęczył, usiadł pod starą wierzbą. Jeszcze nie zdołał zasnąć i jeszcze się nie przebudził, kiedy usłyszał cichy śpiew. Poderwał się natychmiast bardzo przerażony, bo przecież Kościej zakazał śpiewać. Kto tu śpiewa? A to właśnie wierzba, samotna, jedna tylko na wielkiej łące, przy strumyku, śpiewała — zrób fujarkę z mej gałązki, wyjdź od rana prosto w słońce i graj. Nie bój się, tylko idź przed siebie i graj. Sporządził więc pastuszek fujarkę z gałęzi wierzbiny i rankiem następnego dnia ruszył za słońcem. A grał co tylko umiał, o Marysi co była miła, lecz owieczki pogubiła, przypomniał sobie krasnoludki, jeden był duży a drugi malutki, górala, któremu żal było odchodzić od stron ojczystych za chlebem. Głos fujarki przebił niebo i obudził skrowronka. Skowronkowi odpowiedziały wysokie trawy i obudziły żabki. Żabki zakumkały raz i drugi, początkowo nieśmiało, bo się odzwyczaiły od kumkania, ale usłyszał je łoś w wielkim borze i ryknął, a wtedy poruszyły się drzewa. Najpierw zadrżała osika, pewnie ze strachu, potem brzozy rozplotły warkocze, bocian zaklekotał w gnieździe na stodole, usłyszały go dzieci, zaklaskały w rączki, utworzyły koło, koło zaczęło się kręcić, a dzieci śpiewały — Ojciec Wirginiusz uszył dzieci swoje, a miał ich wszystkich sto dwadzieścia troje. Ryknęła krówka, zarżał koń, a gospodyni zaśpiewała — już od rana rozśpiewana chwali dusza Maryję, gospodarz zaśmiał się wesoło, bo mu się kierat zaczął obracać, usłyszały go druty telefoniczne i zaniosły wieść do miasta, że się kierat obraca a dzieci śpiewają, a wtedy ruszyły inne maszyny i zaczęły spadać do koszy nowiutkie sukienki dla takich grzecznych dziewczynek jak ty, piłki, lalki, organki, trąbki, skrzypce...

— A co zrobił Kościej Straszliwy, kiedy usłyszał cały świat?

— Rozpadł się ze złości.

— Dobrze mu tak.

Dziewczynka podbiegła do okna.

— Słyszysz, wujciu? U nas ptaki zawsze śpiewają, nie może być inaczej.

Wszystko jest tu prawdziwe, ale diabelnie trudne — myśli Karol. W oknie stoi dziewczynka, zachwycona śpiewem ptaków i zielenią. Jej historia jest także prawdziwa, przerażająca nawet, ale nie znana, wypełniona bolesnymi znakami zapytania. Podszedł do okna, objął dziewczynkę. Prawdziwe są stare drzewa, każdego roku na wiosnę, okrywają świeżymi liśćmi rany domów starego osiedla robotniczego. Z daleka nie widać dachów, łatanych czym się da. Nie ma jeszcze papy, darmo szukać blachy, dachówek. Gniją ściany, trudno o farbę odporną na deszcz, zapadają się progi, młot czasu wbija drewniane domki w ziemię, okna coraz niżej, opadają dachy. Nocami słychać trzaski, dom traci spoistość, rozluźnia się, odstępy między deskami coraz większe, powstają nowe szczeliny. Łata je wytrwale pan Budzisz czym tylko może — gipsem, pakułami, nawet mchem, wstawia drewniane kliny i dom nadal mu służy.

— Ty jesteś moim prawdziwym wujciem, prawda?

Błękitne oczy dziewczynki nie kłamią, śledzą, pytają o prawdę.

— Oczywiście, Aniu. Jestem twoim najbliższym, najlepszym, najpiękniejszym, zwariowanym wujciem pleciugą. I studentem.

Niepokój w oczach dziewczynki wzrósł.

— To dlaczego mówisz do ojca — panie Budzisz, zawsze tak mówisz. Powinieneś mówić — Franciszek. Dlaczego?

— Dlatego, że go szanuję, u nas jest taki zwyczaj. Ojciec jest starszy i wszystko umie — przybija, hebluje, dopasuje ci każdą rzecz, naprawi studnię i zegar, z lokomotywą też sobie poradzi, ja już nie mówię o maszynach w jego fabryce. Ma złote ręce, wiesz przecież.

— Wiem. Ale nie kłamiesz, wujciu?

To też prawda, że dziewczynka jest oszukiwana dla jej dobra. Karol rozgląda się bezradnie po pokoju. Ściany zaciekają, więc je zasłonił starymi bukami i jodłą z kieleckiej puszczy, ozdobił zamkami i pałacami z Chęcin, Suchedniowa, Sandomierza i Szczekocin. Stary, trzeszczący stół przykrył smutnym jak dola człowiecza pasiakiem świętokrzyskim, grudę nie szlifowanego marmuru położył na środku i w ten sposób powstał warsztat pracy studenta. Kuł przy lichym świetle „Kapitał" Marksa w języku niemieckim mało co rozumiejąc, a Lenina po rosyjsku, co jakiś czas spoglądał na ściany i tęsknił.

— Student nigdy nie kłamie, ponieważ składa przyrzeczenie.

Dziewczynka podbiegła do drzwi.

— To dobrze, wujciu, bo jak ty byś kłamał...

Nie dokończyła zdania. Spieszy się do szkoły — pomyślał Karol i westchnął z ulgą. Już od miesięcy prowadził z małą trudną grę. Stawką była prawda, nie znana do końca prawda o niczyim dziecku. Budzisz znalazł małą w obozie koncentracyjnym dla dzieci, wszyscy pouciekali, najpierw oprawcy, a potem reszta ocalałych dzieci, tylko Ania nie wiedziała gdzie iść.

— Hej, studencie!

Z dołu huczał spokojny bas Budzisza.

— Jestem w pustelni!

— Student nie wie która godzina?

— Student nie wie, ponieważ nie ma zegarka.

Skoczył do starej walizki, w której mieściły się bez trudu niemal wszystkie dobra doczesne początkującego akademika — kilka koszul zazwyczaj nie pierwszej czystości, bielizna spodnia i kłębek krawatów pamiętających przedwojenne czasy. Chusteczek Karol prawie nie używał, chwalić boga, miał nos w porządku. Wsunął na gołe plecy ciemny, reprezentacyjny sweter, dzieło matki, włosy przyczesał na pamięć, nie dorobił się jeszcze lusterka i zbiegł po drewnianych schodach wprost do kuchni.

— Student gotów do walki o sztandar!

— Chwileczkę, usiądź spokojnie. Najpierw muszę ci powiedzieć, że dzisiaj nie będziemy pili kawy, bo nie ma.

— Może być herbata.

— Też nie ma, marnie zaopatrujesz dom, studencie.

— Czytam za to Marksa. Może być woda, panie Budzisz.

— Jak przyniesiesz ze studni to może być nawet z sokiem. Brat mi podrzucił kilka butelek w ramach sojuszu miasta ze wsią. Bez miasta nie byłoby wsi, bez chłopów nie ma robotników, zostaliby sami panowie.

— Studenci też się trafiają. Do noszenia wody.

Chwycił wiaderko i ruszył w stronę studni. Dom Budziszów funkcjonował sprawnie na zasadzie nie pisanego, naturalnego podziału pracy. Karol, przyjęty do rodziny na czas nieograniczony, wykonywał rozmaite czynności i posługi za kiepski wikt bez opierunku. Nosił więc wodę, rozbierał bezpańskie płoty na rozpałkę, wchodził w skomplikowane układy z widzewskimi kolejarzami, apelował do ich litościwych serc o trochę węgla dla brata proletariusza i dostawał węgiel w zamian za usługi naukowe, udzielał mianowicie korepetycji dzieciom kolejarskim, opóźnionym wskutek wojny, biegał z kartkami po sklepach, i przynosił co było, krwawą kiszkę z Kanady, amerykańskie puszki, jakieś jaja w proszku z szynką mieloną, trafiało się solone masło z dalekiej Australii, tutejszy smalec, albo kości wołowe, czasem cukier i herbata. Z innych obowiązków wymienić należy dwa zasadnicze — nauka i opieka nad małą. Domu strzegła Budziszowa, sprzątała, prała i gotowała przeważnie w jednym potężnym garnku. Podstawowe składniki kuchni pani Budziszowej bywały z reguły jednakowe z wyjątkiem niedziel, imienin i świąt — czysta woda, przyprawy i kawałek mięsa przy kości. Jeżeli trafiły się do tego krupy, jadło się znakomity krupnik. Jeżeli natomiast wszystkiego okazywało się mało, to znaczy marchwi, ziemniaków, pietruszki, kalafiorów, czy kapusty, na stole pojawiała się także znakomita zupa — nic. Sojusz wsi z miastem sprawdzał się dość rzadko, mąka, jaja, masło, ser, pojawiały się, bez szacunku dla codziennych potrzeb człowieka. Budzisz żył swoją fabryką, mało go było w domu, ale jak znalazł czas to majstrował, reperował, malował, odnawiał, sporządzał nowe sprzęty. Dom to jest żywa istota — powtarzał — trzeba dbać o jej czystość, wzmacniać, uzupełniać braki jak zęby, łatać jak portki. Nie dopilnujesz to się zestarzeje nie wiadomo kiedy i rozsypie przed czasem. Ogródka nie tykał, bo to było niepodzielne królestwo pani domu i małej. Owszem, próbował raz bez skutku przekonać żonę, żeby sobie dała spokój z kwiatkami, rośnie tego ile chcesz za przejazdem, aż po Terespol, marchew jest teraz potrzebniejsza, ogórki, porzeczka, agrest, a nie róże. Usłyszał w odpowiedzi, że mężczyźni to flejtuchy i tylko o jedzeniu myślą. Syn Budziszów Stefan, pojawiał się w domu od czasu do czasu, ale wyłącznie w charakterze zjadacza chleba, rzucał się na wszystko co dało się jeść, połykał szybko, jeszcze szybciej znikał, pozostawiając po sobie zapach koszar, całkiem przedwojenny, jak orzekł Karol, wybitny w tych sprawach rzeczoznawca. Stefan służył w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Karol wrócił z wiadrem wody, Budzisz napełnił szklanki i doprawił sokiem.

— Czujesz, studencie?

— A jakże, Widzew śmierdzi.

— Dobry znak, jak śmierdzi to znaczy, że robota ruszyła. Wiesz z czym mieliśmy na początku kłopot? Nie z maszynami, tylko z pasami transmisyjnymi. Skóry brakuje.

— A parcianych nie stosuje się?

— Czego was uczą na Uniwersytecie? Nie da rady, musi być dobra, mocna skóra.

— Macie już skórę?

— Mamy, ale co innego nawala.

Budzisz mógł godzinami opowiadać o swojej fabryce. Karol przyjmował te opowieści jak sensacyjny film. Poszwejsowali jakoś kotły w bielniku, ale wdarła się nie wiadomo skąd woda, rury pewnie już stare, a wymienić nie ma kto, no i kobiety pracują na niskich szczudełkach, inaczej nie da rady, katar, zapalenie płuc murowane, a robić każdy przecież chce. Jak bielnik był już w porządku, to maszyny drukarskie stają, piszczą, trą się, bo smar lichy, wytapia się, farba też do kitu, a jak drukarnia w porządku to brakuje lodu dla wykończalni, posłali lód do Grand Hotelu dla lepszych gości, czy co?

— Teraz wszystko na razie gra.

— Tak?, to świetnie, liczę, że pan majster Budzisz zmajstruje biednemu studentowi materiał na ubranie, metr osiemdziesiąt, bez kamizelki, jak się wzbogacimy poproszę o trzy metry.

— Na razie mowy nie ma o ubraniówkach, szyfonach, mansukach, szyrtingach, batystach, popelinach i muślinach. Zwykłą flanelę się robi na majtki i ciepłe koszule, albo barchany. Chociaż zdaje mi się, że od dzisiaj będziemy robić gówno.

— Znowu coś wysiadło?

— Zgadłeś studencie. Bandy rozwaliły tory i wykoleiły dwa pociągi. Końmi wozimy surowiec, a jak zabraknie perszeronów, to musi starczyć naszych pleców, ze dwa tygodnie zejdzie, chyba, że wojsko da samochody.

Grzmotnął pięścią w stół. Karol spodziewał się gwałtownego wybuchu, tymczasem Budzisz złagodniał.

— Jak mała?

— W porządku, poszła do szkoły.

— Nie o to pytam.

— A o co?

— O to co w niej jeszcze siedzi. Nie ma zaufania do nikogo, zwłaszcza do starszych ludzi, bo ją bili w obozie. Naucz ją zaufania, ona ciebie słucha, studencie, ciebie jednego, sam nie wiem, czym jej tak dobrze podpadłeś. Tylko tych bajd jej nie pleć.

Karol zamyślił się. Może Budzisz ma rację, a może nie. Ania przeszła przez piekło stworzone rękami dorosłych ludzi. Odebrano ją rodzicom, tak to musiało być, i skazano na dzieciństwo otoczone kolczastym drutem, strzeżone przez psy tresowane do walki z ludźmi. Cóż jeszcze było wiadomo... mała nie przeczytała ani jednego listu i ani jednego nie napisała, nie umiała pisać. Słyszała, musiała słyszeć wiele razy słowa nienawiści — weg, ab, raus, dorosły w mundurze i po cywilnemu odmawiał jej jedzenia, zmuszał do pracy ponad siły, bił, trzymał w ciemnym bunkrze, zgasił szybko pamięć ciepłej ręki matki, uśmiechu ojca, bajki na dobranoc. I może nawet mniej znaczył hitlerowski mundur — rozumował Karol — Ania straciła wiarę w dorosłych, uczyła się dopiero zrywać spokojnie kwiaty.

— Trzeba jej przywrócić normalne dzieciństwo, panie Budzisz.

— Trzeba, studencie, tylko powiedz mi co to jest dzisiaj, po takiej wojnie, normalne dzieciństwo?

— Nie wiem, ale trzeba szukać.

Karol tkał, kompilował dla małej świat jak umiał ze znanych sobie składników. Zło i dobro, właściwy wybór, pomoc biednym, szczere serce, fantazja, wiara w zwycięstwo dobra — brał to wszystko z niejednej opowieści, bajki, książki, mięszał lektury, krasnoludki występowały w krainie czarów obok Alicji, rycerze okrągłego stołu podawali ręce doktorowi Judymowi, chodzili razem na rosyjskie baśnie filmowe, Janosiki zajmowały się sprawami sierotki Marysi. Chronił jak umiał małą przed powrotem do świata szaleńców i zbrodniarzy, wierzył, że Ania wypełni pamięć pogodą i wiarą.

— Szukaj, studencie, tobie łatwiej.

— A co będzie ze sztandarem?

— Pojedliśmy, popiliśmy, czas do roboty. Leć po sztandar, później pogadamy.

(cdn.)

CZARNA MSZA

W serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich ukazała się powieść islandzkiego pisarza, Johannesa Helgi, „Czarna msza". Autor zadebiutował w roku 1957 zbiorem opowiadań, „Czarna msza" — to jego druga powieść, która ukazała się w roku 1965, przyniosła mu rozgłos i uznanie. Twórczość Johannesa Helgi, prozaika, ale także i dziennikarza, jest silnie związana ze społeczną rzeczywistością Islandii lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Przemiany, jakie w tym czasie dokonały się w kulturze narodowej Islandii, a więc: nagłe zetknięcie się z kulturą Zachodu, odejście od tradycji narodowej, rozluźnienie obyczajów, triumf pseudosztuki, to wszystko jest przedmiotem surowej krytyki jaką Helgi — pisarz-społecznik — przeprowadza w „Czarnej mszy".

Z całą pewnością powieść tę można zaliczyć do tzw. literatury zaangażowanej. Publicystyczne pasje autora równoważone są tu poprzez liryzm, elementy fantastyki i poetycką zadumę, nad tym, co w kulturze Islandii powinno zachować najważniejsze miejsce. Symboliczna czarna msza dokonuje się w sennych marzeniach głównego bohatera powieści — poety Murta. Oskarżeni są ludzie reprezentujący naród, surowej ocenie podlega jednak całe islandzkie społeczeństwo.

Johannes Helgi — „Czarna msza", przełożyła z rosyjskiego Z. Gadzinjanka, Wyd. Poznańskie, Poznań 1977, str. 332, cena zł 55,—

SŁAWY SPORTU

„W mojej książce nie będzie — jak sądzę — za wiele mędrkowania na temat sportu i poszczególnych dyscyplin. Moim zamiarem było pokazanie znanych — ba! — wybitnych ludzi w swojej dziedzinie takimi, jacy są, bez wielkich słów, za to w otaczającej ich rzeczywistości. Bo wielcy są takimi bez wielkich słów". Taki cel postawił przed sobą autor książki „Tajemnice olimpijskich sukcesów" publicysta sportowy „Głosu Pracy" Janusz Cieśliński. Cel nie taki prosty, bo o Waldemarze Baszanowskim, Irenie Szewińskiej czy Jerzym Kuleju czytaliśmy już przecież wiele i prezentowanie mistrzów po raz n-ty kryje w sobie niebezpieczeństwo powielania tego samego schematu. Cieślińskiemu udało się to niebezpieczeństwo szczęśliwie ominąć. Pokazał naszych wielkich mistrzów olimpjskich przede wszystkim jako ludzi, których pasją, ale i ogromną życiową radością jest sport. Cieśliński spróbował raz potrenować z Waldemarem Baszanowskim, posledział z Ireną Szewińską w ślepej kuchni jej M-3, odszukał Jerzego Kuleja w warszawskim liceum, gdzie dawny mistrz jest teraz nauczycielem wf. Rozmawiał z nimi, podpatrywał ich, a potem zaczął ich opisywać. Rzeczywiście bez wielkich słów.

Dla porządku dodajmy, że bohaterami książki Janusza Cieślińskiego, poza wymienioną już trójką sportowców, są jeszcze — Tadeusz Szmidt, Witold Woyda i Józef Zapędzki. A książka ukazała się w nakładzie 20 tysięcy.

Janusz Cieśliński — „Tajemnice olimpijskich sukcesów", Iskry, W-wa 1977, str. 181, cena zł 20,—

WSPOMNIENIA PANAJEWEJ

Zanim zaczniemy czytać „Wspomnienia" Awdotii Panajewej (Gołowaczowej) trzeba najpierw przeczytać interesujący wstęp pióra Jadwigi Szymczak-Reiferowej. Przede wszystkim dlatego, że z tego wstępu dowiadujemy się, kim była Awdotia Panajewa (1819—1893), autorka licznych, ale dziś już dokładnie zapomnianych powieści, córka pary aktorów, żona wydawcy i pisarza. W swoich „Wspomnieniach" Awdotia Panajewa kreśli sylwetki tak wybitnych pisarzy i krytyków, jak Bieliński, Dobrolubow, Czernyszewski, Slepcow, Turgieniew, Niekrasow. Spotykała się z nimi przede wszystkim we własnym domu, który w swoim czasie pełnił rolę swoistego „zajazdu literackiego". Swoje wspomnienia pisze Panajewa typowo po kobiecemu, opisuje ludzi w momencie, kiedy się z nimi spotykała, nie weryfikując z perspektywy lat i doświadczeń swoich opinii o nich. Przez to właśnie jej książka uważana jest przez naukowców za plotkarską i mało obiektywną, ale pewnie przez to jest chętnie i czytana i cytowana.

Awdotia Panajewa traktowana była przez Lwa Tołstoja jako kobieta w stylu George Sand. Przyczyniło się do tego z całą pewnością jej niebanalne życie. Miała odwagę mieszkać pod jednym dachem z mężem i kochankiem, poetą Mikołajem Niekrasowem, Rosyjskie emancypantki uważały ją za wzór, ale ona sama wyrażała się o swojej sytuacji bardzo gorzko: „Nie dość, że spróbowałam wszystkiego, czym los może doświadczyć kobietę, to zostałam nadto postawiona w sytuacji mężczyzny i sama muszę zarabiać na kawałek chleba".

Awdotia Panajewa (Gołowaczowa) — „Wspomnienia", przełożyła Alia Sarachanowa, Wyd. Literackie, Kraków 1977, str. 318, cena zł 85,—

KROPLA WODY

Satyrykowi pozwolono zajrzeć przez mikroskop do kropli wody i dzięki temu napisał znakomitą humoreskę o tym, jak postanowił zniszczyć w sobie całe to bakteryjne świństwo, aby być idealnie czystym i wyjałowionym. Duncan C. Blanchard zainteresował się inną kroplą wody — kroplą deszczu i pracował nad zjawiskami towarzyszącymi powstawaniu i opadaniu deszczowej kropli przez blisko 17 lat. Wyniki tych badań opisał w książce pt. „Od kropli deszczu do wulkanów", a książka ta ukazała się jako 304 publikacja „Omegi", wydawanej przez „Wiedzę Powszechną".

Duncan C. Blanchard jest amerykańskim oceanografem i pracuje w Woods Hole Oceanographic Institution ale też jest magistrem fizyki i doktorem nauk meteorologicznych. „Od kropli deszczu do wulkanów" jest jego pierwszą książką. Dał jej bardzo trafny podtytuł: „Przygody z fizyką powierzchni mórz".

Duncan C. Blanchard pisze we wstępie, że człowieka poświęcającego się nauce powinna cechować przede wszystkim ciekawość i... odwaga. Każdy badacz posuwa się wytrwale szlakiem, który sam obrał. Ale bywają tacy, którzy opuszczają szlak główny i zapuszczają się w nieznane. Inni idą szlakami już utartymi w nadziei, że znajdą coś, co uszło uwadze ich poprzedników. A jeszcze inni wędrują szlakami badań w grupie, pomagając sobie wzajemnie.

Duncan C. Blanchard zainteresował się kroplą deszczu i to zainteresowanie zawiodło go aż do powierzchni morza i podwodnych oraz nadbrzeżnych wulkanów a także zmusiło do zainteresowania się elektrycznością. Najpierw zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście kropla deszczu jest podobna do łzy, tak jak to sobie wyobrażają artyści? Jak uzyskał odpowiedź? Swojej książce nie przypadkiem dał podtytuł: „Przygody z fizyką powierzchni mórz". Przeżył te przygody i pisząc swoją pierwszą książkę zaproponował czytelnikom przeżycie ich razem. Nie odbierajmy więc tej przyjemności tym, których zainteresuje fizyka powierzchni mórz i nie zdradzajmy odpowiedzi na pytanie, jaki kształt ma kropla wody.

Duncan C. Blanchard — „Od kropli deszczu do wulkanów", przełożyła z angielskiego Aldona Sidorenko, Wiedza Powszechna, Warszawa 1977, str. 208, cena zł 15,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

GDZIE SIĘ KOŃCZĄ ŻARTY?

W las poszedł **„wybitny polski kompozytor Roman Maciejewski z Los Angeles"**. Taką informację przyniósł ostatnio **„Przekrój"**. Otóż nasz rodak z Ameryki rozstał się z piękną Kalifornią i z wygodnym życiem. Ale zanim przeniósł się na Azory, aby narzucić sobie rygor ascety i rozpocząć w lesie żywot pustelnika, wyzbył się wszystkiego, nawet ukochanego fortepianu... Żegnającym go w Los Angeles przyjaciołom pokazał namiot, który miał się stać jego domem w leśnych ostępach Azorów... **Z wieści, jakie dochodzą do przyjaciół w Los Angeles wynika, że Roman Maciejewski czuje się w swej samotni szczęśliwy, od czasu do czasu gra sobie i ptakom na fujarce.**

Kiedy przeczytałem w krakowskim tygodniku tę wstrząsającą wieść, natychmiast sprawdziłem datę, myśląc, że chodzi tu o Prima Aprilis i że owa notatka jest parodią osławionych rewelacji autora **„Mieszanki firmowej"**. Okazało się jednak, że nie jest to ani dowcip pierwszokwietniowy, ani parodia. Słynny (rog.) napisał tę bzdurkę całkowicie poważnie, osiągając szczyty dziennikarskiej perfekcji, bowiem posiadł umiejętność parodiowania własnych tekstów.

Chociaż... Sam kiedyś napisałem do pierwszokwietniowego numeru jednej z łódzkich gazet „bombową" informację o odnalezieniu w rozbieranym domu kolekcji obrazów Gersona, Mehoffera i szkiców Wyspiańskiego. Sekretarz redakcji przetrzymał informację dwa dni myśląc, że jest ona prawdziwa. W efekcie rewelacja o znalezisku znalazła się w sobotnim wydaniu gazety na czołowym miejscu.

Więc może i wieść o tym, że Roman Maciejewski poszedł w las, gdzie gra ptakom na fujarce, też jest spóźnionym żartem?

Ciekawą wiadomość przynosi także **„Życie Literackie"**, w artykule **Jerzego Pomorskiego**. Gdybym tę publikację przeczytał 1 kwietnia, też bym myślał, że to żart.

Otóż pewien pan — **Janisław Juliusz Derwc-Dyrcz** opracował ponoć **„Słownik wyrazów obscenicznych"** i rozsyła do różnych instytucji propozycje wydawnicze tego dzieła. **Jerzy Pomorski** pisze o tym poważnie, ale ja podejrzewam, że za **Janisławem Juliuszem Derwcem-Dyrczem** kryje się jakiś znakomity figlarz.

Jako próbkę swego dzieła **J. J. Derwc-Dyrcz** przedstawia opracowanie jednego hasła. Chodzi tam o słowo... Zresztą domyślcie się sami. Słowo to przedstawiono w 85 wariantach gramatycznych, wydobywając ich 192 znaczenia. **Sam termin podstawowy posiada, zdaniem autora, aż sześć różnych znaczeń, z których centralnym jest: „mieć stosunek seksualny".**

Pozostałe to: **„mówić głupstwa, fantazjować, kłamać" — „partaczyć, psuć, wadliwie i byle jak wykonywać" — „lekceważyć, nie liczyć się z kimś lub z czymś" — „nudnie i rozwlekle opowiadać" — „referować nie na temat".**

Słowo to z rozmaitymi przedrostkami znaczy: **zręcznie rozmieścić, poupychać, posprzedawać korzystnie różne rzeczy różnym osobom, udzielić ostrej nagany nie przebierając w słowach, zjeść, co było do zjedzenia, szybko coś zrobić, sprzedać za byle co, ogolić się, wpaść w coś, wpaść w kłopoty, wejść bez zaproszenia, wtargnąć, zezłościć się.** Gdy słowu dodamy różne końcówki — znaczenia się mnożą.

Jak pisze **Jerzy Pomorski**, propozycja **Janisława Juliusza Derwca-Dyrcza** nie spotkała się z zainteresowaniem uczonych i wydawców. Być może uznali ją za przewrotny żart? Choć oczywiście rację absolutną ma Pomorski optując na rzecz wydania **„Słownika wyrazów obscenicznych"**. Skoro wydaje się słowniki skrótów używanych współcześnie, skoro wieloosobowe zespoły pracują nad 10-tomowym słownikiem wyrazów użytych przez Mickiewicza, to chyba warto wydać naukowe opracowanie polskich obscenów. Co by o tym nie sądzić, obsceny, należą także do obyczajów i kultury.

Do współczesnego obyczaju należy również i to, że Prima Aprilis trwa u nas cały rok i nigdy nie wiadomo, co jest kpiną, co żartem, a co prawdą.

WIDOK

LEWYM OKIEM

STARZEJMY SIĘ SPOKOJNIE!

Prognozy demograficzne mają naturę fal, nie wolnych nawet od piany. Raz jest to fala panicznego lęku przed nadmiernym przyrostem naturalnym, to znowu apokaliptyczna wizja tetryczejącej ludzkości, nie chcącej się rozmnażać. Jedna fala uruchamia drastyczne środki zwane planowaniem rodziny, w czym zawiera się także przymusowa sterylizacja opornych rozpłodowców, druga fala za to stara się wynaleźć jak najbardziej kuszące zachęty do pomnażania rodzaju: a to premie i ordery za dziecko piąte i następne, a to ulgowe bilety do kina dla rodziców mających bliźnięta. Bogato argumentowane artykuły i rozprawy jednej i drugiej szkoły demografów wprawiają nas w tęgą myślową huśtawkę, aż wreszcie sami nie wiemy z czego się cieszyć i czym kłopotać bez narażenia się na zarzut zacofania w poglądach i dywersyjnej obstrukcji społecznej.

Kiedy dopuszczam do głosu niepewny, niezbyt sprawny instrument, jakim jest tak zwany zdrowy rozsądek, ogarnia mnie pełne niepokoju zdziwienie. Bo tak: wyliczają mi tu uczenie, że przedłużenie życia ludzkiego zmienia niekorzystnie proporcje demograficzne. Starsze roczniki stanowią coraz większą część społeczeństwa. Społeczeństwo się — horrendum! — starzeje. Starzeje się — rany boskie! — mniej dynamiczne. Młodzi muszą — o jasny gwint — utrzymywać więcej nieproduktywnych staruchów. Mówiąc po prostu: stare, bezużyteczne ramole nie tylko zaczynają objadać pracowitych młodzieńców i odbierać im część ciężko zdobytych produktów, lecz w dodatku psują krajobraz swoimi pomarszczonymi twarzami, za dużo ich wszędzie widać, cały tłum na ulicy zaczyna jakby iść wolniej, kuśtyka, pokasłuje. Oczywiście, jest w tym jakaś racja, tylko zastanówmy się wreszcie, że ten, komu się taka racja nie podoba, kto widzi ją w kolorze czarnym, chciałby po prostu, aby ludzie umierali w kwiecie wieku. N i e m a i n n e j r a d y na „odmłodzenie społeczeństwa". Najmłodsze i najbardziej prężne są społeczeństwa Trzeciego Świata. Tam się żyje przeciętnie 40 lat. Chcielibyście, żeby cały świat był taki jak ten Trzeci?

Od tysięcy lat wszystko, co człowiek robił wynikało z dążenia do przedłużenia życia. Jeżeli mi teraz mówią, że może z tego wyniknąć nieszczęście, to ja nie rozumiem i się nie bawię. Przedłużenie życia musi być i będzie zawsze celem ostatecznym (myślę naturalnie o sprawnym, prawdziwym życiu, nie o żałosnym galwanizowaniu nieboszczyków). A jeśli jest i będzie celem, to przestańmy się straszyć „starzeniem społeczeństw", bo to są zjawiska iunctim, nierozłączne.

Że ekonomika ucierpi, bo starców więcej niż dzieci? Dzieci też są nieproduktywną i o wiele bardziej kosztowną grupą demograficzną niż starcy. Niech ich lepiej będzie mniej, a za to niech nie muszą rosnąć, dojrzewać i żyć w rytmie wściekłego wyścigu, co okrążenie to szybszego i bardziej brutalnego. Niech będą zdrowsze i spokojniejsze. Niech dożyją — wszystkie! — swoich dziewięćdziesiątek. Jeżeli każde z nich przepracuje pół wieku — to wytworzona przez nich wartość dodatkowa wystarczy zarówno na normalny postęp i ciągły wzrost dochodu społecznego, jak i na zaoszczędzenie części tego dochodu na konsumpcję późniejszą — w okresie emerytalnym. Wystarczy na pewno, nie ma obawy, zwłaszcza jeśli nikomu nie będą deptać po piętach tłumy nowych pokoleń, powołanych niefrasobliwie do życia.

Właśnie ogłoszono, że w naszym kraju przeciętna długość życia mężczyzny wynosi 67 lat. To bardzo dużo w porównaniu ze stanem sprzed pół wieku. Ale przecież ten 67-latek tylko dwa lata żyje z emerytury i to nieprawda, że żyje kosztem innych: to są jego własne oszczędności, on je przez całe życie ciułał, a raczej ZUS ciułał za niego, bo robił to mądrzej. Ale z jego składek, z wypracowanego przezeń dodatkowego dochodu narodowego!

Szlag mnie trafia, kiedy spotykam czasem owe wzmianki o życiu kosztem innych, o obciążeniu kosztów społecznych itd. Każdy z nas zjada dzisiaj mniej po to, żeby mieć co jeść na starość. Ot i cała filozofia, i na tym przecież polegała zawsze oszczędność, przezorność, zapobiegliwość. Starzejmy się spokojnie. Niech się podnosi przeciętny wiek, bo będzie to wyrazem przedłużania się naszego na tym świecie pobytu. A przecież warto tu dłużej posiedzieć, nie?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

ROK TRZECI

Na początek zagadka. W jakim województwie znajduje się aż 5 rezerwatów przyrody? Już widzę oczyma wyobraźni, jak ten i ów sięgają po mapę Polski, aby zobaczyć, gdzie najwięcej jest lasów. A odpowiedź jest bardzo prosta. W myśl zasady, że sami nie wiemy, co posiadamy. A to właśnie my, mieszkańcy województwa łódzkiego miejskiego posiadamy 5 rezerwatów przyrody. Oto one: we Wiączyniu rezerwat buków, Molenda w lesie tuszyńskim stanowi rezerwat jodły, buku i świerku, Wolbórka — to olcha, Ciosny koło Zgierza — to jodła, a na Zdrowiu, już w samej Łodzi — to grab i olcha, a kiedyś była tu jeszcze jodła i świerk.

Ukazał się już i jest do nabycia w księgarniach trzeci numer rocznika **„PRZEGLĄD EKONOMICZNO-SPOŁECZNY MIASTA ŁODZI"**. W numerze tym **Maksymilian Jutta** i **Kazimierz Wasilewski** opisują województwo miejskie łódzkie, lokując go na mapie kraju. Z tego artykułu można również między innymi dowiedzieć się, że obszar województwa w 14 procentach pokryty jest lasami. A mimo to jest to województwo najgęściej zaludnione, gdyż na 1 km kwadratowy przypada tu 718 osób, a tylko w Łodzi — 3 712 osób. Jest to też województwo, gdzie przeważają kobiety, gdyż na 100 mężczyzn przypada 114 kobiet, a w miastach — 116.

„PRZEGLĄD EKONOMICZNO-SPOŁECZNY MIASTA ŁODZI" wydaje Rada Naukowa przy Prezydencie miasta Łodzi, a na czele Komitetu Redakcyjnego stoi prof. **Jerzy Kortan**. **„PRZEGLĄD EKONOMICZNO-SPOŁECZNY MIASTA ŁODZI"** ukazuje się już od trzech lat, ale też z roku na rok staje się bardziej interesujący, przynosząc coraz ciekawsze materiały, będące wynikami prac badawczych i naukowych analiz dokonywanych przez różne placówki naukowe Łodzi. Nie jest to jednak lektura popularna, ale też i nakład trzeciego numeru **„PRZEGLĄDU EKONOMICZNO-SPOŁECZNEGO MIASTA ŁODZI"** nie jest znów tak wielki, zaledwie 500 egzemplarzy. Powiedziałbym jednak, że jest to lektura o b o w i ą z k o w a. Przynajmniej dla tych wszystkich, którzy interesują się Łodzią, sprawami przemysłu lekkiego, ekonomiką i socjologią. Aby nie być gołosłownym, przykład.

Gdybym w czasie jakiejś dyskusji imieninowo-towarzyskiej, których przecież nigdzie nie brakuje, powiedział, że bywają u nas jeszcze dyrektorzy, legitymujący się tylko wykształceniem podstawowym, popatrzonoby na mnie z litością i pomyślanoby, że chyba sobie zbytnio umoczyłem język w alkoholu. Sam zareagowałbym podobnie, gdyż coraz silniej utrwala się przekonanie, że rośnie nam kadra rezerwowa, że coraz więcej ludzi dobrze przygotowanych obejmuje kierownicze stanowiska. W końcu nie bez przyczyny zaprzęgnięto komputery do akcji „Magister". I oto z artykułu **Stefana Lachiewicza, Jerzego Nowakowskiego** i **Czesława Szmidta** z Instytutu Ekonomiki i Organizacji Produkcji Politechniki Łódzkiej dowiaduję się, że w 1974 roku w polskim przemyśle włókienniczym i odzieżowym 73,93 proc. ludzi ze średnim i 13 proc. przedsiębiorstw posiadało wykształcenie wyższe, 25 proc. — średnie i 1,07 proc. — niepełne średnie i podstawowe. Nie dziwi mnie natomiast fakt, że wykształcenie niepełne średnie i podstawowe posiadało 53,77 proc. mistrzów. W przemyśle tym bowiem, gdzie poważny procent pracujących stanowią kobiety, funkcje mistrzów muszą pełnić mężczyźni i to z dużym doświadczeniem. Cieszyć więc może tylko fakt, że wśród mistrzów było 41,73 proc. osób ze średnim wykształceniem i 1,67 proc. — z wyższym.

Ale oto drugie zaskoczenie. Okazuje się z badań wspomnianych autorów, że wśród głównych specjalistów i specjalistów przemysłu włókienniczego i odzieżowego znajdowało się wówczas tylko 25,38 proc. ludzi z wyższym wykształceniem, 61,62 proc. ludzi ze średnim i 13 proc. — z niepełnym średnim i podstawowym.

W Łodzi jednakże nie ma ani jednego dyrektora naczelnego w zakładach przemysłu włókienniczego i odzieżowego z wykształceniem mniejszym niż średnie. Ze średnim jest natomiast 20,27 procent. Wśród zastępców dyrektorów również nie ma ani jednego z wykształceniem mniejszym niż średnie, a ze średnim jest tylko 13,22 procent. Ale już zespół głównych specjalistów i specjalistów stanowią w województwie łódzkim miejskim ludzie z wykształceniem mniejszym niż średnie w 13,21 proc., ze średnim — w 60,08 proc. i z wyższym — w 26,71 procentach. Przypominam, że dotyczy to przemysłu włókienniczego i odzieżowego.

Trzeci numer **„PRZEGLĄDU EKONOMICZNO-SPOŁECZNEGO MIASTA ŁODZI"** przynosi wiele innych interesujących materiałów na tematy: ochrony środowiska człowieka, rozwoju przestrzennego miasta, demograficzne i ekonomiczne oraz kulturalne. Śledzę to wydawnictwo od początku, od pierwszego numeru, i uważam, że każdy numer przynosi ogromny ładunek wiedzy o mieście i regionie. Jego zaletą jest fakt, że nie stanowi ono li tylko okazji do publikowania wyników badań specjalistów z różnych dziedzin nauki, ale stawia sobie ambitny cel przekazywania czytelnikom możliwie najbardziej aktualnej wiedzy o mieście i województwie i tym samym wzbogacania naszej wiedzy o naszych sprawach. Gorąco więc zachęcam tych wszystkich, którzy interesują się sprawami Łodzi i województwa do zainteresowania się trzecim numerem **PRZEGLĄDU EKONOMICZNO-SPOŁECZNEGO MIASTA ŁODZI".**

MARCIN RODAK

magazyn

Kiedy czyta się wywiady ze słynnymi piosenkarzami, muzykami i innymi artystami ze świata show businessu (i nie tylko) wydawałoby się pozornie, że ci wszyscy artyści poziomem intelektualnym dorównują Albertowi Einsteinowi. Całe życie zastanawiają się nad relatywistyczną teorią grawitacji, korpuskularną naturą światła, cześć życia spędzają nad analizą książki „Niebezpieczne związki" Choderlosa de Laclosa i nad faktem czy książka ta zapisana jest w rzędzie trwałych bogactw literatury francuskiej, czy też nie. Śmiało wypowiadają się na temat trzynastowiecznego fresku z kościoła w Tahull opiewającego sceny z życia św. Klemensa, a jeszcze śmielej poruszają się w rejonach sztuki ludów prymitywnych operując konkretnymi przykładami z Nowej Gwinei, Ekwadoru i Nigerii. Oczywiście w wolnych chwilach śpiewają przed mikrofonem, grają na gitarach, występują na estradach i w telewizji. Ten wyrafinowany intelektualizm artystów z reguły tworzony jest przez dziennikarzy, którzy w ten sposób lecza się z własnych kompleksów i maleńkich snobizmów, a u czytelnika wyrabiają przekonanie, że mit idola i kult gwiazdy jest rzeczą słuszną, gdyż idol o tak wszechstronnych zainteresowaniach w pełni zasługuje na bezwzględną i ślepą admirację.

Randall Jarell twierdzi, że nasza kultura jest w zasadzie kultura przemijania i jeśli kiedyś mówiliśmy o intelekcie jako atrybucie pewnych funkcji, zawodów i wartości pewnych cech umysłu to teraz zastanawiamy się czy ma rację Jacques Barzun utrzymujący, że intelektualista jest to... człowiek z teczką.

Jednak nasz „człowiek z mikrofonem" według relacji mitologizujących kadzicieli jest inny i jedynie Beatlesi odbiegali od tego towarzystwa wprowadzając zamieszanie swoimi realistycznymi wypowiedziami.

— Co sądzicie o Beethovenie? — pyta dziennikarz.

ANDRZEJ JÓŹWIAK

BEETHOVEN? TO ŚWIETNY POETA

— Uwielbiamy go. To świetny poeta — odpowiadają Beatlesi.

— Jaka aktorka wam się najbardziej podoba?

— Królowa Anglii.

Les enfants terribles dwudziestowiecznej muzyki popularnej psują więc trochę wizerunek artysty tworzony przez środki masowego przekazu. Ale przecież już w XIX wieku jedna z wielkich sopranistek koloraturowych tego stulecia **Adelina Patti** zapytana dlaczego pobiera wyższe honoraria miesięczne niż całoroczne zarobki prezydenta Stanów Zjednoczonych — miała ponoć odpowiedzieć:

— po pierwsze to ja, a nie prezydent, urodziłam się na deskach Madryckiej Opery (jej matka śpiewała „Normę" i przedstawienie przerwano, kiedy rozpoczęły się bóle porodowe — przyp.: A. J.), a poza tym jeśli prezydent jest tańszy, to niech zaśpiewa.

Czyli jak powiedział Georges L.L. Buffon „le styl c'est l'homme" — styl to (sam) człowiek. Gorzej jest, kiedy styl artysty tworzy dziennikarz, jeszcze gorzej kiedy artysta uwierzy w ten obraz.

Artysta nie może być skromny. Skromność to jego największa wada. I stąd też artysta najtańsze nawet komplementy, płaskie jak pierś chłopczycy, połyka sprawnie jak kaczka kluski, mlaskając z zadowoleniem nad pikantnym smakiem swego autentycznego talentu. Stan ciągłej ataraksji nie powinien więc doprowadzić do depresji. Dba o to wyrocznia, czyli PUBLICYSTA—KRYTYK. Artysta mu wierzy, jeśli pisze o nim dobrze.

Doc. dr hab. K. Ulturalny zapytał kiedyś krytka mgr N. Aiwnego, czy z wyjątkiem ustabilizowanej od lat publicystycznej czołówki istnieje u nas krytyka w sensie profesjonalnym. I choć mgr N. Aiwny podciął gałąź na której siedział i pluł (z rozpaczą) we własne gniazdo odpowiedział mu cichutko — Nie, nie istnieje. Dla pewnych „krytyków" jest to sympatyczne i pożyteczne hobby — podobnie jak zbieranie znaczków, czy zapałczanych etykiet — i uprawia się je na marginesie innego zawodu, dla innych tzw. „krytyków dochodzących" (inaczej: omnibusów) jest to ciężka katorga. Wczoraj pisał o wpływie strzyżenia owiec na produkcję traktorów, dzisiaj o skupie mleka, jutro zrecenzuje Targi Estradowe (jak leci, byle źle), lub — w nagłym zastępstwie — występ Renaty Tebaldi (jak leci, byle dobrze).

O jazzmanie napisze dobrze; fascynujące bogactwo pomysłów i prawdziwie ognisty temperament.

O jazzmanie napisze źle; nieefektowne, zbyt glissandowe wykonywanie kadencji.

O śpiewaku rockowym napisze dobrze: walory głosu i techniki, siła indywidualności i ekspresji.

O śpiewaku rockowym napisze źle: zimne i bezduszne wykonanie wokalne itd. itp.

Największe jednak pole do popisu pozostawia dla krytka — omnibusa nie pop — music, lecz opera. Bo tu można — a nawet trzeba — pójść na całego: na wyżyny wokalnej maestrii, wszechstronność aparatu głosowego, kryształowo czyste brzmienie, subtelność intepretacji (jeśli publiczność nie słyszy artysty), wyjątkowy temperament artystyczny lub rzadko spotykana siłę głosu (jeśli artysta przekrzyczy orkiestrę), techniczne mistrzostwo, piękność brzmienia olśniewająca technikę i wyjątkową muzykalność itd. itp.

Doc. dr. hab. K. Ulturalny po wysłuchaniu tego speechu przypominającego słowniczek dla początkujący recenzentów łagodnie spytał: „czy to oznacza, że ta która wczoraj zeszła z drzewa dzisiaj może napisać recenzję? Co zrobić żeby temu zaradzić?" Mgr N. Aiwny posiadający kilkuletnią córeczkę i stąd też osłuchany w domu z najnowszymi (starymi również) przebojami odpowiedział mu, że rada jest jedna (pilnie notowałem te wypowiedź stojąc nie zauważony z boku): Redakcje muszą angażować fachowców i stosować się do zasady wynikającej z refrenu piosenki śpiewanej przez „Tropicale Thaiti Granda Banda": „KOTY ZA PŁOTY, WÓŁ DO KARETY, AZOR DO BUDY, ŚLEDZIE DO SETY.

Długo zastanawiałem się, czy mam prawo odtworzyć tę rozmowę o charakterze pseudofilozoficznej powiastki. Czy nie jest to sprzeczne z moimi dotychczasowymi poglądami? Czy przyznając rację mgr N. Aiwnemu, nie zmieniam poglądu na dotychczasowy styl mojej „recenzenckiej" roboty. Zdecydowałem się na to wtedy, kiedy przypomniałem sobie, że E. Wescott powiedział:

Tylko ten może zmieniać poglądy, kto je posiada.

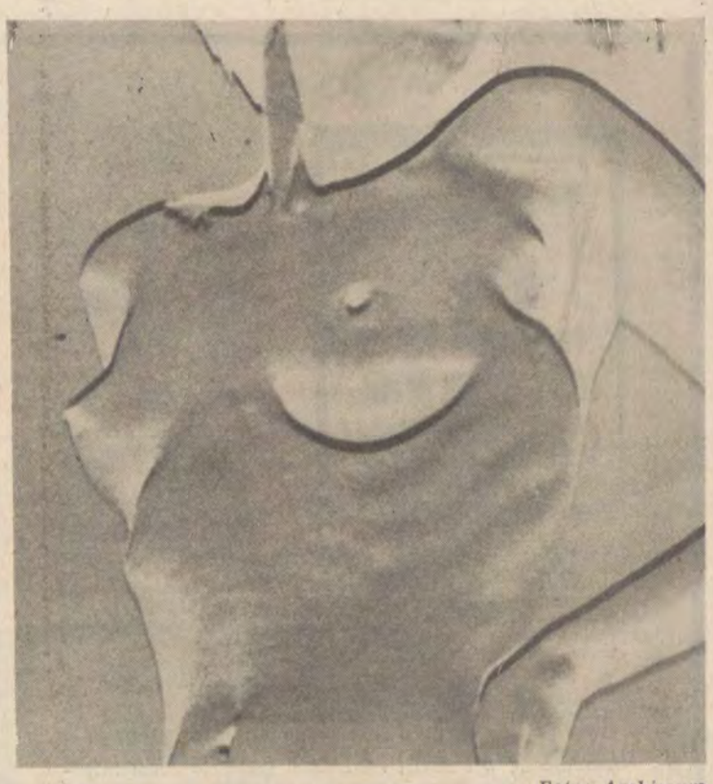

Foto: Archiwum

KOLUMNA MULINOWICZA

Na Starych Chojnach, w pobliżu kościoła św. Wojciecha, znajdują się ulice Kolumny i Mulinowicza, których nazwy związane są z pewnym wydarzeniem, jakie według ustnego przekazu zaszło na początku XVII stulecia w miejscu, gdzie dzisiaj ul. Kolumny styka się z ul. Rzgowską. Legenda głosi, że tu właśnie przed wiekami pastuszek-sierota, imieniem Janek, przygarnięty został przez podróżujące bezdzietne małżeństwo Mulinowiczów z Krakowa, które go usynowiło, wykształciło i uczyniło swoim spadkobiercą. Po wielu latach, kiedy jego opiekunowie, zmarli, Jan Mulinowicz przybył w rodzinne strony, wznosząc na miejscu owego spotkania trwałą pamiątkę w postaci obelisku.

Kolumna Mulinowicza z szaromarmurowego ciosu, umieszczona była na czworobocznej podstawie wysokiej na dwa metry, wykonanej z jednego bloku czarnego marmuru. Po bokach piedestału wyryto złocone napisy w języku łacińskim. Napis po stronie wschodniej kolumny brzmiał: D.O.M. JOANNES MULINOVIC CIVIS CRAC. EREXIT A.D. 1634 (Bogu najlepszemu, najwyższemu wzniósł Jan Mulinowicz, obywatel krakowski w roku Pańskim 1634). Pozostałe napisy były treści religijnej. Głowicę kolumny wieńczył metalowy krzyż. Według dziejopisa Łodzi, Oskara Flatta (Opis miasta Łodzi — 1853 r.), kolumna chojeńska miała 13 łokci wysokości. Inny dziejopis, łodzianin Oskar Heike, określił jej wysokość na około 8 metrów („Lodzer Volkszeitung" — 1927 r). Obaj historycy są więc zgodni co do wysokości obelisku.

Zdania są podzielone, gdy chodzi o nazwisko wystawcy kolumny. Wymienia się je bowiem różnie: Malinowicz (O. Flatt), Mylinowicz (O. Heike), wreszcie Mulinowicz (ojcowie gminy Chojny). Rozbieżność w odczytaniu nazwiska fundatora wynikła stąd, iż jedna z liter uległa pewnemu zatarciu i odczytywano ją jak a, u lub y. Wydaje się jednak, że wersja nazwiska przyjęta przez władze gminy przy nadawaniu jednej z ulic chojeńskich miana ul. Mulinowicza, jest właściwa, sądzić bowiem należy, że uprzednio sprawdziły one prawidłowość nazwiska fundatora obelisku. Przypuszczenie to opiera się także na okoliczności, iż w 1861 roku zamieszkiwał w Krakowie zamożny mieszczanin Mulinowicz (Szkice z dziejów Krakowa — 1968 r.), być może ten sam o którym piszemy, lub jego potomek.

W latach międzywojennych mieszkańcy Chojen ustawili u podnóża obelisku wielki głaz polny z wyrytymi na nim napisami, upamiętniającymi racławickich bohaterów Tadeusza Kościuszkę i Bartosza Głowackiego. Pomnik, pomimo że stał tuż przy szosie wiodącej do Piotrkowa, był mało widoczny, gdyż kryła go gęstwina drzew i krzewów.

Kolumna Mulinowicza aż do 1939 roku była najstarszym zabytkiem łódzkim. W listopadzie tegoż roku hitlerowscy barbarzyńcy niszcząc pomnik Kościuszki na pl. Wolności, zburzyli także obelisk i kamień pamiątkowy na Chojnach. Pamięć po zabytkowej kolumnie i jej fundatorze utrwaliła się jednak w wymienionych na wstępie nazwach chojeńskich ulic.

WACŁAW PAWLAK

SILVER CONVENTION

Foto: Archiwum

Niedawno Redakcja Rozrywki Zespołu Poznańskiego Telewizji Polskiej pokusiła się o sprowadzenie do Polski — w celu realizacji audycji telewizyjnej w kolorze — znanego tercetu wokalnego — SILVER CONVENTION. Grupa ta znajduje się aktualnie w okresie wysokiej prosperity i fakt zaproszenia jej na nagranie telewizyjne do naszego kraju budzi uznanie.

W programie poznańskiej TV, emitowanym przed paroma tygodniami, zobaczyliśmy Penny McLean, Ramonę Wulf i Rhondę Hearth, które śpiewały swe najgłośniejsze przeboje: „Like It", Fly, Robin, fly", „Everybody's Talking About Love", „Save Me", „Tiger Baby", „Get Up and Boogie" i inne.

Silver Bird Convention powstała w listopadzie 1974 roku w Monachium jako siedmioosobowy ansambl wokalny. Inicjatorem założenia zespołu był producent i autor tekstów — Michael Kunze, który podarował nowo powstałej, nieznanej grupie utwór „Save Me". W krótkim czasie piosenka ta zdobyła szaloną popularność. Wtedy właśnie artystyczni opiekunowie zespołu postanowili zreorganizować go; ograniczyli skład do trzech dziewczyn, których zadaniem jest nie tylko śpiewanie, ale również taniec i „robienie show". Zmieniono również nazwę z Konwencji Srebrnego Ptaka na Srebrną Konwencję.

Grupa SILVER CONVENTION od początku istnienia związała się na wyłączność z wytwórnią płytową Jupiter Records w Republice Federalnej Niemiec, a za jej pośrednictwem (filie w paru krajach) naprywane krążki trafiają na rynek europejski i amerykański. Stąd też piosenki zespołu spotkać można w wielu różnych notowaniach. Największym dotychczasowym bestsellerem grupy jest bodaj „Get Up and Boogie", która to piosenka na zbiorczej liście przebojów Ameryki roku 1976 znalazła się na 10 miejscu wyprzedzając utwory z repertuaru m.in. Diany Ross, Kiki Dee, Eltona Johna, Chicago, Bee Gees.

Pozycja ta nie była przypadkowa, bowiem płyty SILVER CONVENTION cieszą się sporą popularnością na całym świecie, sprzedano dotąd 2 miliony longplayów (trzy dotąd zostały nagrane) i prawie 5 milionów singli. Kompozytorem wszystkich utworów jest Silvester Leray (instrumenty klawiszowe), który wraz z Gary Unwinem (gitara basowa), Elmerem Lenisem (bongosy) i Martinem Harrisinem (perkusja) oraz sześcioosobową grupą skrzypków-filharmoników towarzyszy dziewczętom w czasie nagrań. Repertuar SILVER CONVENTION jest wprawdzie mało zróżnicowany (utrzymany w konwencji „dyskotekowego soul"), ale konsekwetnie realizowany przez grupę stał się niezwykle modny, zwłaszcza w klubach dyskotekowych.

STANISŁAW WILCZYŃSKI

WYPISY ŁÓDZKIE

RAPORTY RAJMUNDA REMBIELIŃSKIEGO o stanie rozwoju Łodzi w roku 1820 i 1828

Jest to okolica górzysta i po większości części piaszczysta, na pierwszy rzut oka dzikiej jeszcze natury czyniąca wrażenie. Ponieważ obszerne bory do prywatnych właścicieli należące żadnego onym nie przyniosły dochodu, przeto wielu z nich pozakładało huty szklane i osadziło kolonistów, którzy ciągle wytępiają zbyteczne tamże bory, lecz właścicielom niewiele płaca za nie i dotychczas lasy te nie są w dobrym stanie. Przeprowadzenie publicznego traktu przez te posępną część obwodu łęczyckiego było potrzebne nie tylko dla otworzenia komunikacji między Piotrkowem a Włocławkiem, która przed tym przedsięwzięciem była bardzo utrudniona, lecz też i dla ożywienia tamtejszej okolicy, w której dla taniości drzewa budowlanego i dla łatwości zakładania folusżów wielu fabrykantów sukiennych osiadło.

Trakt rzeczony w prostych prawie kierunkach od miasta do miasta, aż do granicy województwa kaliskiego, z przeciążeniem wszelkich miejscowych zawad przeprowadzonym został; w przyszłej wiośnie zupełnie kończonym będzie. W gęstych borach obalono i rudowano wyniosłe drzewa, zarównywano parowy, droga jest zupełnie okopaną i wypukle zrobiona, a gdzie potrzeba — powybudowywane mosty. Cały ten trakt przejechałem konno, a co jeszcze zrobić wypada, obecnemu komisarzowi obwodowemu na miejscu zadysponowałem....

Położenie miasta Łodzi także jest na osiedlenie fabrykantów usposobione. Na terytorium miasta znajdują się rządowe grunta, Wójtówka zwane, które także z austeria na dochód Kasy Miejskiej odstąpionymi być by mogły. Przed trzema jeszcze laty wezbrawszy woda w strudze tamtejszej zniosła zupełnie młyn rządowy z upustem, który pod samym stał miastem (Mniej więcej w tym miejscu, gdzie dzisiaj stoi zegar słoneczny — w parku Staromiejskim. Przyp. mój H.R.) Można by w tym miejscu łobry wybudować folusz, cegielnię wystawić i budującym się rękodzielnikom z bliskiego boru rządowego, który tam żadnej nie ma ceny, drzewa bezpłatnie udzielić. Bór do miasta należący jest dość znaczny, ale za czasów Księstwa Warszawskiego przez brak urządzenia do szczętu prawie spustoszony. Wydałem tymczasowe polecenie burmistrzowi, w jakim sposobie bór rzeczony na korzyść i użytek miasta ma być administrowany, ażeby przynajmniej zniszczeniu nie popadł **(Prezes Rembieliński wydał także zalecenia co do budowy drewnianego Ratusza Łódzkiego. Projekt ten jednakże nie doszedł do skutku i w roku 1826—27 wybudowano ratusz murowany, do dzisiejszego dnia egzystujący pod nr 1 na pl. Wolności).**

...Ponieważ Rynek, na którym odbywają się jarmarki jest bardzo nierówny, przeto poleciłem burmistrzowi miejscowemu ażeby przyzwoicie rynek splantowany został. Komisarz obwodowy dostarczy taczek tak potrzebnych, skoro już do roboty traktów używanymi nie będą.

Burmistrz tutejszy, Czarkowski, były oficer, jest dobrym urzędnikiem i z czasem do znaczniejszego miasta użytym być może. Kasę Miejską, przez niego utrzymywaną, zastałem w porządku i całości, dla której ulepszenia służby stosowne wydałem zarządzenie.

Szkoła elementarna, przez Komisję Wojewódzką zorganizowana, dobrze jest utrzymywana. Nauczyciel zdolny i regularnie opłacany, uczniowie dosyć korzystają, ale żydowskie dzieci, których 14 w szkole zastałem, cellują! Ale proboszcz tutejszy, z nałogu pijak i gorszących obyczajów, nigdy w tej szkole nauki religijnej nie daje. Już w roku przeszłym po odbytym urzędowym śledztwie przez Komisję Wojewódzką Arcybiskupowi doniesionym został; skazał on go na rekolekcje, ale tych zapewne przez ułaskawienie konsystorza nie odsiedział, w nałogu też pijaństwa bynajmniej nie poprawił się. Donoszę o tym Arcybiskupowi z wnioskiem, aby od beneficjum był odsunięty, a to dla dania przykładu innym. Dach na kościele prawie zupełnie obleciał, co jest także dowodem niezaradności plebana. Komisja Wojewódzka naprawę świątyni już zarządziła, do której materiały są przygotowane.

PS. Powyższe teksty wyjęte są z raportów Rembielińskiego, sporządzonych w roku 1820. Istnieje jeszcze jeden raport Prezesa Komisji Woj. Maz., sporządzony w osiem lat później, w roku 1828:

Miasto Łódź nie miało w roku 1815 większej nad 331 głów ludności i stosowna do niej ilość chałup z kominami lepionymi. Z rokiem 1824, kiedy rozpoczęto sukienników w urządzonej w tymże mieście osadzie sukienniczej osiedlać, podwoiła się niemal ludność rzeczonego miasta, a z końcem r. 1825 doszła już była do 1000 głów, zwłaszcza gdy wówczas nową, drugą dla rękodzielników wyrobków bawełnianych utworzono osadę.

Na teraz zaś, a mianowicie z końcem roku 1828, obejmuje miasto Łódź głów 3.930 stałej ludności i obok tego 979 czeladników, czyli w ogóle 4.909, a zatem przeszło czternaście razy więcej aniżeli w początkach zawiązania teraźniejszego rządu Królestwa Polskiego, a cztery razy więcej niż przed czterema laty.

W miarę pomnażającej się w powyższy sposób ludności rozciągłość samegoż miasta odpowiednio powiększać się musiała, co też istotnie miało miejsce.

Mianowicie zaś celem postawienia się w możności osadzania w mieście Łodzi już to początkowo sukienników, już to następnie tkaczy wyrobów bawełnianych i lnianych oraz przadków — utworzono w Łodzi koleją czasu — trzy oddzielne osady, jako to:

1-o **osadę sukienniczą**, składającą się z placów 196,

2-o **osadę na wyrobki** (wyroby) **bawełniane i lniane**, składające się placów 306,

3-o **osadę dla prządków lnianych**, składająca się z placów 167.

Z placów takowych objętych zostało aż pod koniec roku 1828 przez właściwych rękodzielników i rzemieślników

1-o w osadzie sukienniczej placów 108,

2-o w osadzie płócienniczej placów 115,

3-o w osadzie przadniczej placów w ilości 167.

...W ciągu roku 1828 wyrobiono w mieście Łodzi rozmaitych tkanek bawełnianych ogółem 290.070 łokci, 11233 par pończoch i 5356 par skarpetek, podczas kiedy w roku 1827 tkanek bawełnianych wyprodukowano 47448 łokci, pończoch par 3434 i skarpetek par 868. W proporcjonalnym stosunku zwiększyła się produkcja przędzy bawełnianej. W roku 1827 wyprodukowano w Łodzi 12.263 funty przędzy bawełnianej a w roku 1828 — już 52.920.

Raporty Rajmunda Rembielińskiego przygotował do druku w roku 1928 i 1929/30 prof. Zygmunt Lorentz (Roczniki I i II łódzkiego oddziału PTH).

Wybrał:
HENRYK RUDNICKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 873, W-15.